

PISMA

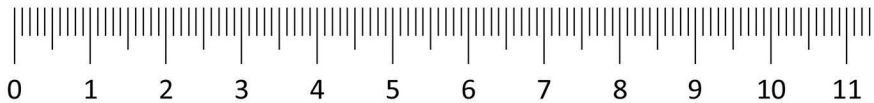
KAROLA BALIŃSKIEGO.



POZNAŃ,

W KSIĘGARNI JANA KONSTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO.

1849.



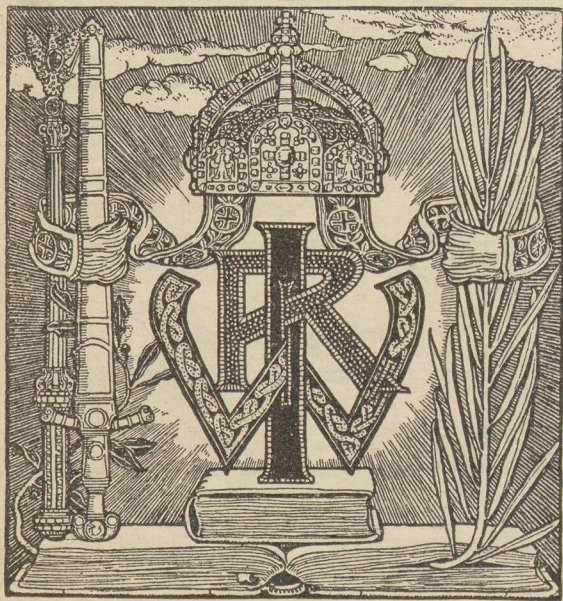
BIBLIOTEKA UNIW. W POZNANIU

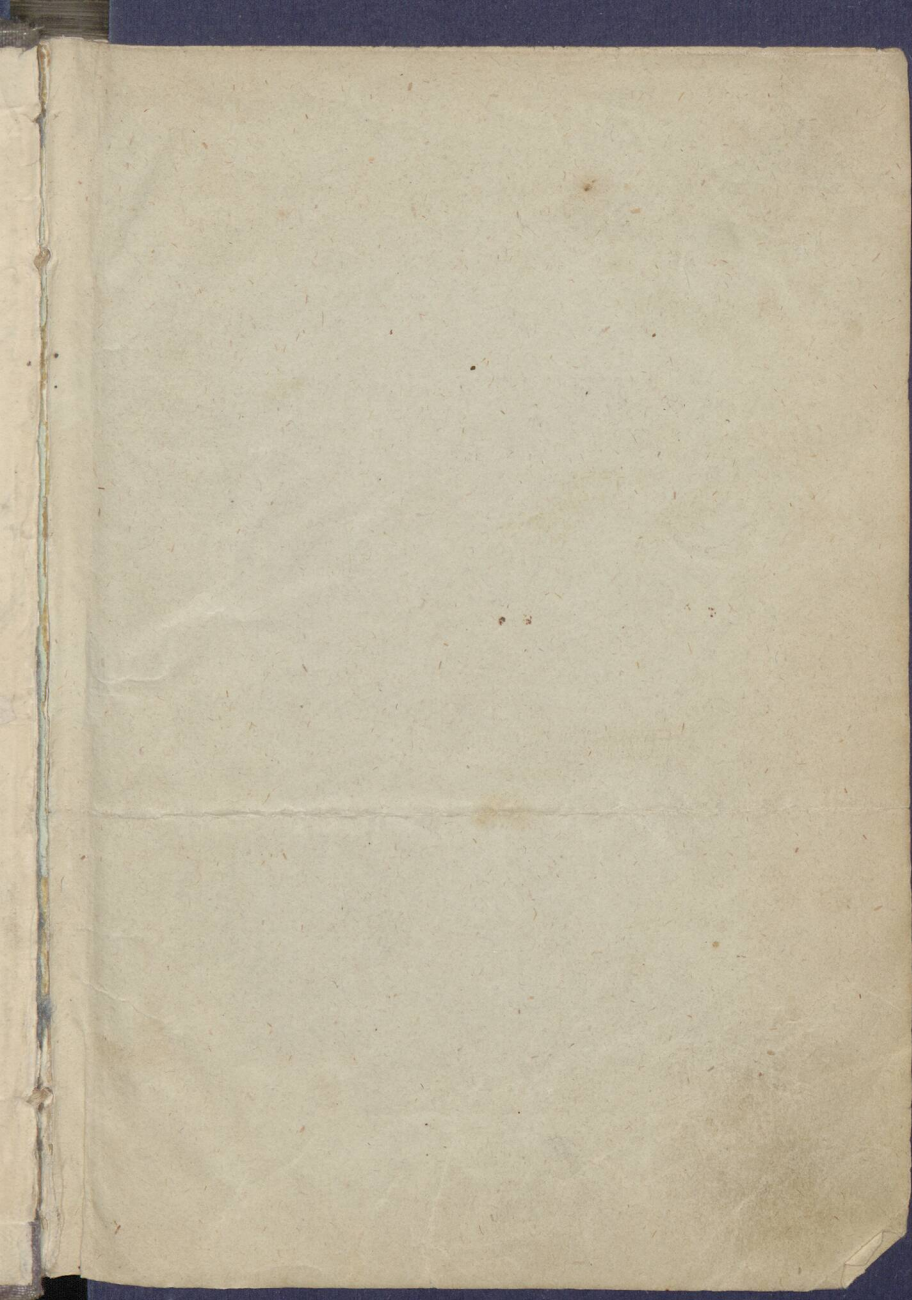


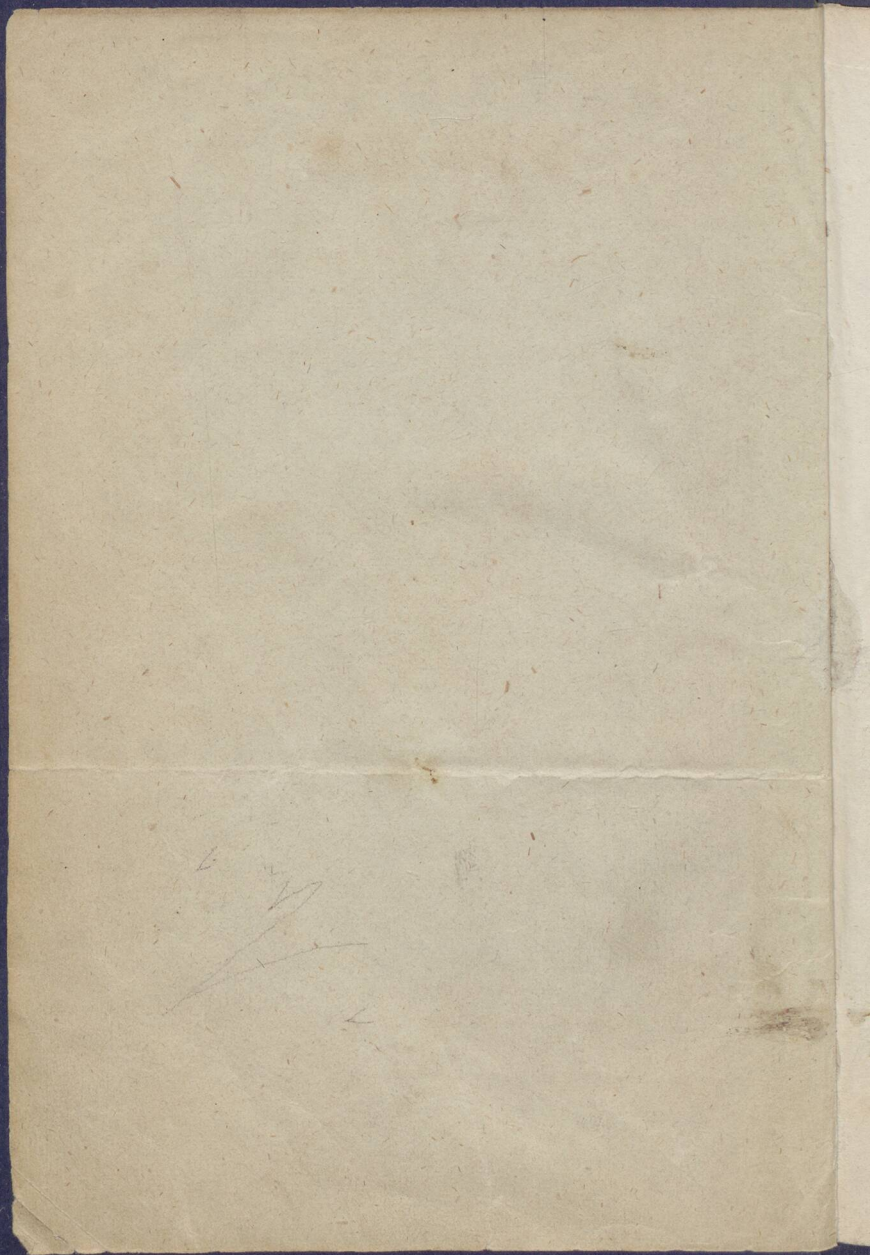
GZC 56041

9

KAISER-WILHELM-BIBLIOTHEK-POSEN







PISMA

KAROLA BABIŃSKIEGO.



POZNAŃ,

W KSIĘGARNI JANA KONSTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO.

1849.



TV 26



..... Nasz naród, jak Chrystus na krzyżu
W pośrodku dwóch zbrojców na pału —
W pośrodku dwóch światów, w trumienném orkirzu
Wciąż cierpi, wciąż w mękach, wciąż w żalu ...
Szczęśliwy — bo w świata wewnętrznej rozterce
Duch boży i wiara go grzeje —
I wszystkich narodów boleściom ma serce —
I wszystkim nadziejom — nadzieje! — ...
I krąży pogłoska pomiędzy narody,
Iż prędkiej nie wszędzie dzień wielkiej swobody,
Aż on niepowstanie w swój chwale. —

KAROL SZAJNOCHA.

20

Faint, illegible text, possibly bleed-through from the reverse side of the page.

Tyle szczęścia — co człek prześni! —
Tyle życia — co jest w pieśni! —
I tak mija życie całe —
Z wielkich bólów — pieśni małe! —

WINCENTY POL —

Każdy naród jęczący w niewoli, jeżeli nieskonał duchowo, ma dwa zupełnie sprzeczne oblicza. —

Jedno, — bezduszne, martwe, skrzywione tylko czasami śmiechem, jakim niewolnik wykrzykuje vivat swemu panu — i tém obliczem obraca się do wrogów; — drugie — pełne myśli, czucia i milczącej boleści — a odślania je tylko swoim ulubieńcom — poetom. Jedno ciągle spokojne, rzeczy można zwierzęco głupowate — drugie ciągle ruchome od tajemnych duszy konwulsii. — Kto się w to ostatnie oblicze zapatrzył — kto je przeniknął do głębi — kto się w tém ogromném a milczącym jego cierpieniu rozkochał, — ten już mimowoli nawet staje się odbiciem narodu, ową kropelką, w której się cały świat narodowy odzwierciadla, staje się poetą słowem lub życiem — albo i słowem i życiem.

Dla tego téż niepojmie poety, kto niezna historii jego narodu, — i nawzajem niepojmie historii narodu, kto nie rozumie narodowych poetów.

To do tyle jest prawdą, że możnaby napisać historią narodu dobywając ją z samych pieśni narodowych.

Bo jeśli widzisz łzy na pieśni — bądź pewny, że naród wtedy płakał — jeśli widzisz krew — bądź pewny, że wtedy krew wylewał — jeśli śmiech szyderyczy — bądź pewny, że wtedy rozpaczał i wątpił — jeśli grzmot i jasność, to wierzył i powstawał.

Niemasz silniejszej magnetyczności, niemasz potężniejszej władzy przyciągania ku sobie, jak ból niemy — ból bez jęków — bez słów nawet, — ból, którego ogromu tylko domyślać się trzeba, tak się ukrywa troskliwie. — Jest jakaś nadziemska wielkość w takiej boleści.

Takim bolem cierpi Polska — i tém właśnie wytłumaczyć się daje taka okwitość u nas prawdziwie narodowych śpiewaków. —

Dziwnieź to a ogromnie piękne to życie naszej ojczyzny w grobie! —

Któż niezna legendy o Śtym Janie Nepomucenie, owym patronie Sławiańszczyzny? — Na miejscu, gdzie go utopiła ręka króla — nad grobem jego — Bóg zesłał gwiazdy, aby świeciły i dawały znak ludziom, że tu

spoczywa święty męczennik; — tak samo nad chwilowym grobem naszej matki męczennicy Bóg zapalił gwiazdy narodowe — poetów — i kazał im świecić. —

A ileż to w tym grobie odegrało się i odgrywa dotąd dramatów tajemnych a szczytnych! — dla tego też na niebie dziejów naszych mleczna droga wraz się powiększa — rozszerza — boć co chwila prawie, przybywa nowa gwiazda, nowy męczennik, nowy poeta!

Naród nasz w swojej ciemnicy więziennój byłby zmarniał i znikczemniał, gdyby nie te gwiazdy wskazujące mu drogę — i dla tego właśnie kocha swoich śpiewaków, swoich jedynych przewodników i nauczycieli.

Naród nasz kocha swoich poetów — bo u niego poeta, to człowiek, który kocha, cierpi, szaleje lub kona dla ojczyzny — i tak wierzy w jego śpiewy, jak w jego więzienie, męki, lub skon — Mickiewicz i Konarski u niego — to też samo! —

I biada temu, kto przed narodem śmie kłamać uczucia swoje! — biada temu, czyje życie sprzeczne z jego pieśnią! niedługo naród daje się zwodzić — poznawszy kuglarza karze go okropnie pogardą i milczeniem.

Dla tego właśnie, że tak wielkie znaczenie przyznają poezyi, nienadają jój imienia zbiórkowi prac moich, które dziś wydają na widok publiczny — byłoby to

grubą zarozumiałością — w takiej sprawie sędzią jest tylko naród, on tylko jeden wyrokować może.

Szanowni nasi troiści sąsiedzi, twórcy naszej narodowej tragedyi naszą krwią pisaną, niemogli się ustrzedz wielkiego błędu klassycznej sztuki dramatycznej — niemogli zachować jedności miejsca. — Odgrywali ją jednocześnie prawie to w Galicyi, to w Poznańskim, to w Wilnie, to w Warszawie; — dla tego téż widzowie jednej sceny niemogli widzieć drugiej, trzeciej i czwartej. — Dopóty więc niebędziem mieli dokładnego wyobrażenia o całej sztuce, o całej tragedyi, póki widzowie czy aktorowie niezejdą się razem i niepowiedzą, co każdy widział lub odegrał. —

W tej to myśli wydaję dziś pisma moje — są one po większej części malowaniem wierném choć tylko cząstkowém scen tej narodowej tragedyi i ducha jej, nad brzegami Wisły zaczętej, a za Wołgą nad Irtyszem kończonęj. —

Niech każdy z widzów lub aktorów toż samo uczyni, a będziemy mieli historyą naszą pogrobową, wstęp do historyi naszego zmartwychwstania. —

Nieulega żadnej wątpliwości, że wszyscy trzej nasi sąsiedzi w jednej i tejże samej działali i działają myśli, to jest w myśli zabicia polskiego ducha; — bo czują, że

jeżeli go nie zduszą, to on ich zdusi. — Ale nie jednaki trzymają się środków — i to podobno stanowi całą między nimi różnicę. — Każdy z nich wysila się jak może — jeden od drugiego przejmuje, co uważa za skuteczniejsze i dowcipniejsze — ale przy-tém cudzém ma i własne, instynktowe, którego się trzyma — i od którego odstąpić niemoże. — Nie tutaj miejsce zastanowienia się nad naturą tych rządów drapieżnych — tu chcę tylko to powiedzieć, że u nas, w Polsce kongresowej, inaczej objawiały się prześladowania, w Galicyi inaczej — a u was znowu inaczej; — inną więc postać mieć musiało życie narodowe, choć ani lepszą ani gorszą, ani weselszą ani smutniejszą. — Dla zrozumienia więc większej części moich pieśni, będących wierném nadwisłańskiej Polski tajemnego życia odbiciem, potrzebne są objaśnienia, bez których téż pieśni nie miałyby właściwej woni, którą miały w chwili, gdy wychodziły na świat.

Lecz te objaśnienia muszą być koniecznie niedosteczne, boć oglądać się ciągle muszę na braci moich niegdyś towarzyszków, zostających dotąd pod ręką moskiewskiego kata; każde nieostrożne słowo mogłoby los ich pogorszyć. —

Czy pamiętacie powieść o owym Wawelskim smoku, któremu Krakowianie składać musieli swych braci na

pożarcie? — Wy myślicie, że to bajka! Oj! nie bajka to bracia moi! — Ten smok, ten potwór dotąd jeszcze żyje — przeniósł się tylko do środka kraju wraz z jego stolicą — położył się przy sercu Polski, aby lepiej mógł słyszeć bicie tego serca, którego tak pilnuje, że żadna myśl polska nieujdzie jego wzroku ostrowidzowego.

A karmi się jak dawniej krwią najczystsza, najzdrowszą, serdeczną, młodzieńczą, — dla tego też jak upiór czerwony i zdala widny, — a Wisła skrępowana u nóg jego, dąsa się i szaleje, że go pochłonać niemoże. —

O! to nie bajka! ja'm go widział na własne oczy — i w jego wnętrzu jak ów prorok izraelski we wnętrzu wieloryba, przemęczyłem najpiękniejsze lata mego życia. Bo potwór ten połyka żywcem — a czyjego ducha niestrawi, to go wyrzuca daleko, daleko — to pod noże Czerkiesów, to pod jurty Kirgizów — to w kopalnie sibirskie — to pod szubienice moskiewskie. — On wiecznie niesyty, wiecznie pożera — a mazurska matka codziennie budząc się ze snu najpierw ze drzeniem rzuca wzrok na dzieci swoje, czy są wszystkie — a jeśli którego brak, och! to wie pewno, że go smok porwał — i wtedy usłyszałbyś jeden tylko krzyk, jeden jęk, jedno tylko słowo, ale w którym całe piekło rozpaczy się mieści „on w Cytadelli!“

Szczęśliwy to naród ci Francuzi! — im zdaje się czytając Eugeniusza Sue, że już po za jego romansów okropnościami niema nic — posądzają go nawet o przesadę — szczęśliwi! — Gdyby ten sam Eugeniusz Sue mógł domyślić się choć części tych misterji, tych tajemnic cytańskich codziennie odgrywanych, toby osłupiał z całą swoją fantazyą, z całą swoją władzą malowania.

Gdyby zobaczył tych, co porwani przez cytańskie smoka dziećmi, wychodzą z niego po niedługim czasie, niedołączonymi starcami — wtedyby się nauczył, że są męcznie ciała czy ducha, od których mózg się przewraca, a o których jemu ani się śniło! —

Największém dobrodziejstwem powstania 1831. r. było to, że jak grzmot ziemię, wzruszyło młode serca, nauczyło nas patrzeć nie na siebie, nie na karierę, jak świat nazywa, ale na ojczyznę. — Już więc męczeńska śmierć Artura Zawiszy szerokie echo znalazła w młodzieży naszej. — Kilku porwano z jego mogiły, zbierających szczątki jego szubienicy i grudki ziemi krwią rozstrzelanych jego towarzyszków zecerwionój — i wysłano do wojska na Kaukaz. — Wiersz z Wirgiljusza: „niech mściciel powstanie z kości naszych“, napisany w klasie na tablicy w dzień jego skonu, był kluczem do mojego najpierwszego więzienia. — Więzieniem tém

była sala, w której niegdyś Lelewel nauczał — a na szybie jednej wyrznięta była zwrotka z ody do młodości:

Witaj jutrzeńko swobody!
Za tobą zbawienia słońce!

Po pierwszym śledztwie powiedział mi z szyderstwem rektor — ha! to poezya! wszystko to poezya!

Ten niemiec — gdyż to był niemiec — w szyderstwie powiedział prawdę — bo poezya a miłość ojczyzny, to dwa promienie jednego światła — kto prawdziwej poezyi nieczuje, ten pewnie Polski niekocha. —

Przypatrzmy się wszystkim naszym prawdziwie polskim stowarzyszeniom — tam gruntem, podstawą, dźwignią, jest poezya! tam wszyscy są poeci, jeśli nie słowem to czynami — tam wszyscy żyją poezją — miłością — braterstwem — niebem! — To téż idą na wygnanie lub na śmierć spokojnie, bo wiedzą, że są zaślubieni z niebem — że się im niebo należy — że dla nich nie ma innéj siedziby po ojczyźnie, jeno w niebie!

I niech nikt niemyśli, że idealizuję. — Proste to bowiem i najlogiczniejsze następstwo — niema religii bez poezyi — niema poezyi bez religii — im duchowniejsza poezya tém prawdziwsza religja — im duchowniejsza religja tém prawdziwsza poezya!

Chociaż niejednen z nas dzięki zagranicznej filozofii wstydzil się wyznać, że kocha Boga, choć niejednen wypierał się i za mądrość poczytywał to sobie, jednak całe jego postępowanie zadawało fałsz tym słowom. — I dość było jednego spojrzenia w siebie przy ciszy więziennój i oderwaniu się od świata, a wnet ów mniemany bezbożnik stawał się samym sobą, to jest wyznawał się głośno i sumiennie uczniem Chrystusa. — Polska stawała mu się świętością religijną, — cierpieć i umierać za Polskę, było u niego cierpieć i umierać w sprawie Bożej. —

Otóż jest cała tajemnica potęgi i nieśmiertelności polskiego ducha! —

Poezya i miłość ojczyzny skupiła nas, jeszcze w ówczes studentów, w małe grono literacko-polityczne. — Zbieraliśmy się zwykle wieczorami na poddaszu jednój z kamienic przy ulicy Mylnój w Warszawie. — Do tego to Mylnego poddasza odwołuję się w piosence mojej w Moskwie pisanój. — (Str. 11.)

Poddasze to, inaczej facjatą zwane, długie, szerokie, ale ciemne i przez małość okien z dachu wysterczających — i od massy tytoniowego dymu nieustannie tworzącego obłoki, było ogniskiem zbierającym w siebie całą prawie ówczesną młodzież warszawską zaczynającą czuć

i myśleć po polsku. — Tam to czytaliśmy książki zakazane przez cenzurę, a szczególnie historii naszej dotyczące — i poezye. —

Tam to nieraz uniesieni czarodziejstwem wiary i poezyi wykrzyknawszy chorem „hój! ramie do ramienia!“ stawaliśmy kołem niby opasując cały świat stary, i kończyliśmy z Mićkiewiczem:

Dalój! z posad bryło świata!
Nowemi cię pchniemy tory!....

Och! święć się! święć się wiecznie wieku młody!
Raz wpadły nam w ręce pamiętniki własne Kilińskiego. Cóż to była za uciecha! dziś jeszcze ją pamiętam!

Ten szewc zacny knujący za warszatem tak wielkie zamiary, ten Polak prawdziwy wierzący tylko w Boga i szablę swoją, ten pułkownik wojska narodowego głośno i dumnie przyznający się do swojej dratwy, tak nam głowy zawrócił, taką w nich sprawił rewolucyą, że wszyscy jednogłośnie depcąc pergaminowe szlachectwo, przezwaliliśmy się Szewcami. —

Szewcami — aby jak ów cechmistrz Kiliński z niego dobić się pocziwój sławy — Szewcami, aby jak on urągać lalkom uprzywilejowanym — Szewcami nakoniec, aby jak on uszyć buty Moskałom — bo Niemców

zostawialiśmy miotłom i ożogom przekupek warszawskich — i krakowskich. —

Twórcy Stowarzyszenia Ludu polskiego znaleźli więc już gotowy żywioł w Warszawie — i my Szewcy utonęliśmy wkrótce w większym, bo cały kraj obejmującym stowarzyszeniu. —

W r. 1838. — 9. Czerwca w nocy, w sobotę, jedynym zamachem kilkudziesięciu nas porwano do Cytadelli. — Nie tu miejsce wchodzić w przyczyny tak obfitój branki — jedną tylko scenę wspomnieć muszę.

W kilkanaście dni po uwięzieniu — cicho było w mojej celi, cicho w naturze — nadchodził wieczór. — Nagle z głębi kurytarzy rozlega się echo stapań szybkich, — trzask drzwi otwieranych i zamykanych, szczęk urywany kajdan, i przytłumione niby z głębi ziemi wychodzące, ale wyraźnie w duszy współwięźnia rozlegające się jęki — jęki braci katowanych! — To oprawcy pracują! biesiada szatanów!

I oto nagle cicha dotąd natura zaczyna szumić i wyć wichrami — niebo coraz się mocniej zachmurza — i piorunami po piorunach grzmi nieustannie, jakby mówiło: „ja patrzę, ja słyszę, ja niezapomnę!“ —

O pamiętacie zimę 46go roku? owe huragany śnieżne w czasie samej rzezi Galicyjskiej?

A pamiętacie prześliczną wiosnę zeszłoroczną uśmiechającą się tak wczesnie, oswabdzającą się ludzkości?

Natura harmonizuje z ludzkością. —

Wspominając o Szewcach niemogę pominąć tego, który był duchem ożywczym w tym związku czystopolskim. Michał Olszewski! — drogi, jedyny, kochany, nasz Michaś! — Nikt z tych co go znali na wspomnienie to od łez się nie wstrzyma. — Nazywaliśmy go Michasiem, boć to było stworzenie takie jeszcze młodzieńskie! takie pieśzotliwe! a tak lgnące do serca!

Biedny Michaś!

Ja nie więcęć powiedzieć niemogę — w tém westchnieniu za nim jest wszystko! — Boć i jego życie było to jedno tylko krótkie, gorące a łzawe westchnienie za Polską do Boga! — przyszło — i przeszło po naszych sercach, po naszej Polsce, jak westchnienie ciche, więziennie, którego prócz współwięźniów nikt niezrozumiał, które tylko Bóg usłyszał!

Była to gwiazdeczka, co powinna była długo, długo świecić — ale car ją zgasił więzieniem — wygnaniem — Sybirem! — Został się po niej tylko promyczek w naszych sercach — w sercach współtowarzyszów i współwygnańców promyczek miły, łagodny a smutny o! smutny! Został się dla świata urywek mały jego

prac historycznych, o którym z pochwałą wspomina Michał Wiszniewski w 1. Tomie Historji Literatury Polskiej. —

W r. 1839. skazany jako sołtys stowarzyszenia Ludu polskiego na lat pięć do kopalni sibirskich w Nerczyńsku, a potem na posilenie, umarł w ciągu drogi w lazarecie wojskowym w Irkucku w kajdanach moskiewskich. — Na jego to żądanie, gdy już pewni byliśmy, że nas Sibir czeka, napisałem na krótki czas przed wywiezieniem z Cytadelli. „Pożegnanie do braci związkowych“ (str. 4.) tych, których komissya śledcza wykryć niemogła — a jednocześnie wiersz „do Piewcy“ (str. 1.). — Oba umieścił Demokrata Polski w r. 40tym do dziś wychodzący w Paryżu. —

Jak w szkole na jednej siedzieliśmy ławce, tak w więzieniu na jednym korytarzu rozdzieleni tylko dwiema celami. — Na kilka godzin przed mojem wywiezieniem — szczęśliwym a rzadkim przypadkiem — spotkaliśmy się na tym korytarzu. — Wyraźnie Bóg chciał, żebyśmy się pożegnali. — Uścisnęliśmy się raz pierwszy i ostatni po tak długim bo całoroczném niewidzeniu — niepowiedzieliśmy do siebie ani słowa, bo w tym uścisku braterskim usta nie miały wyrazów. — A wiedzieliśmy dobrze, że widzimy się raz ostatni na ziemi — że jednego z nas wywiozą téj nocy, bo po-

przedniej czterech z nas wywieziono — to téż pożegnaliśmy się myślą „do widzenia tam! wysoko — u Boga!“

W parę godzin potém, przeczytano mi wyrok.

Najprzód na śmierć za zbrodnicze zamiary przeciw *prawemu* Rządowi — później do wojska na Kaukaz bez wysługi — później z wysługą — nakoniec ostatecznie na Sibir — i wpakowano w kibitkę. —

Żandary krzyknęły „ruszaj!“ — i kibita pognęła — zachuczwała na moście u bramy Cytadelskiej, zatętniła po bruku Warszawskim — mignęła koło teatru, z którego właśnie w téj chwili tłumy szczęśliwych widzów wychodziły — bo była to godzina dziesiąta w nocy — potém dalej — na plac saski — na most pragski — przez Wisłę, przez rogatki, przez pola Grochowe, Wawru, Dębego. — Obejrzałem się — za mną trzy jeszcze kibity! trzech braci! trzech kolegów! — dalej za mną, dalej — coraz dalej czerniło się wielkie ogniste serce mojej ojczyzny — kolebka i grób mego szczęścia — Warszawa!

Ja przynajmniej sierota, — mało kto prócz braci za mną tam tęschni — ale oni! ci trzej za mną! tyle matek! tyle rodzin! — Niewiecie, co to poczta carska — to toż samo, co myśl carska — szybka — niewstrzymana niczém! — To téż lecieliśmy jak myśl carska —

szybko — szybko! — A już teraz ja zamykałem pochód. — Już nie zamną, ale przedemną pędziły trzy kibity — trzój bracia! — jakby umyślnie na sroższą męczarnią, żebym ciągle ich miał przed oczyma. — A przy każdym z nas zbir — żandar — szatan! — Aż nakoniec Wołgę — Ural — granicę Azji — cisnęli między nas a kraj — rzucili z kibit i kazali nam żyć!

Z sibirskich moich pieśni bardzo mało zostało — albo raczej prawie ich niebyło. — Bo na cóż było pisać, kiedy niebyło nadziei powrotu — gdyż byliśmy skazani bez ograniczenia czasu. — Z resztą, odcięci od kraju jak gałązka od drzewa — straciliśmy wszystkie siły żywotne. — Tęsknota za krajem to ma w sobie najokropniejszego, że jój ani wyśpiewać ani wypłakać nie można — nie jój ulgi przynieść niemoże.

A jednak przyroda Sibirska nie jest bez wdzięków. — Jak wszędzie tak i tam, Bóg rozrzucił piękność. — Wszystko tam olbrzymie — ogromne jak step Iszymski — jak step nazwany głodnym. — W zimie, to jakby lodowe bez granic morze, po którym od czasu do czasu huragan się przesunie — biały jak duch — straszny jak duch. — A coraz bardziej rośnie, coraz bardziej grubieje, — coraz szerzej ramiona rozciąga — aż podbieży pod miasto drewniane — rzuci się na nie z szu-

mem i wyciem — i wszystkie ulice zasypie śniegiem jak ów Wulkan lawą ulice i domy Pompei. —

Dawniej jam na to wszystko patrzył — nie widząc — boć wiecie, że można patrzeć niewidząc. — Niewidziałem, bo na oczach między mną a Sibirem stał ciągle mój kraj, moi bracia, moi towarzysze szkolni i więzienni i... dużo — o! dużo stało!... jedném słowem wszystko, co utraciłem. Dziś gdy z tych zasłon jedno Bóg, inne los, czy ludzie, usunęli, dziś to widzę jasno tamte obrazy i kiedyś może wydobędę je z teki pamięci — tutaj nie ma dla nich miejsca. —

Dziwnaż bo to rzecz ta pamięć ludzka! to coś niby przędza na kołowrotku — jak zakręcisz korbę, to c snuje i snuje i snuje jak nić, jak pajęczyna — a nie wiedzieć zkąd! — Bo zkądże? powiedzcie proszę. — Gdzie się chowają te wszystkie sceny — obrazy — obrazeczki od lat dziecinnych aż do starości ciągle gromadzone niby w skrzynce jakiejś? — A taka ich mnogość, że możnaby nimi całe muzea pozapełniać! — I to wszystko mieścić się ma, jak powiadają panowie anatomici — w mózgu! takiej odrobince mózgu! Czy oni z nas żartują?

A jednak — to szczególna! — my sami czujemy dobrze, że my gdzieś to chowamy, bo gdy czasem po-

trzeba nam czego z tego składu — to wiemy dobrze, że mamy to, czego potrzeba, tylko jakoś tak głęboko w nas, że od razu znaleźć nie możemy — ale jak zaczniemy szukać i szukać — to nakoniec znajdziem koniecznie. —

A myśl znowu ludzka — niezawsze, ale czasem — jest jak ów latawiec papierowy — jak się puści w górę, to zaleciałby Bóg wie gdzie, gdyby go niepociągniono za sznurek i niewrócono gwałtem do ziemi — albo niekazano mu lecieć wzdłuż — prosto — nie w górę.

Otóż i moja myśl tak się rozbijała, że trzeba ją gwałtem pociągnąć za sznurek — bo odbiegłem trochę za daleko — przebaccie!

Z sibirskich pieśni został się tylko obrazek jeden umieszczony w Warszawskim Naukowym Przeglądzie także wiersz „Do majowego wietrzyka“ (str. 9.) i do „współtowarzysza wygnania.“ (str. 6.)

Wszystko to napisałem w Azji — w Iszymie. —

W r. 1842. wracając do domu, w Moskwie napisałem Wspomnienie, (str. 11.) którym chciałem objąć całe te lat kilka. — Imiona w tej piosnce umieszczone, są przybrane w więzieniu nazwiska, po których przywołaliśmy się do rozmowy przez okna kratowane — surowo zabranianej i przestrzeganej. W ostatniej zwrotce

tėj pieśni wspominając o braciach ległych pod moskiewskim kijem, miałem na myśli sprawę zwaną Omską — od miasta Omska w Syberyi. —

W sprawie tėj dziewięciu braci naszych przekonanych o naczelnictwo w związku po całej Syberyi rozgałęzionym między Polakami służącymi w sibirskich bataljonach, pędzono jak Moskale nazywają „czerez stroj“ — to jest przez różgi. — Ośmiu zabito na śmierć, na miejscu — między tymi był kanonik *Sierociński*, — *Drużyłowski* i *Wróblewski* — reszta imion wyszła mi z pamięci. Jeden tylko *Szokalski*, doktor, ocalał — potem posłano go do kopalni. — Innych mniej winnych skazano na mniejszą ilość kijów, po wytrzymaniu których — rozesłani są to do kopalni, to do rot aresztanckich — to — na całe życie do wojska bez wysługi.

Piewca oniemiały (str. 14.) i Konik Zwierzyniecki, (str. 18.) którego mi cenzura Warszawska na szczątki podarła zgorazona ukrytą w nim myślą — są to pierwsze moje prace po powrocie do kraju.

Nadchodził rok 44., a z nim związek ks. Scieyennego, w tėj myśli napisałem „Farys-Wieszcz.“ (str. 42.)

Dzięki arabskiemu przebraniu szczęśliwie przeszedł cenzurę. — Młodzież Warszawska jednakże poznała owego sibirskiego brata pod tą suknią obcą — i przy-

jęła go całym sercem. — Ona zrozumiała, że ten huragan stepowy pochłaniający żywcem tyłu naszych braci — to car! — Ona pojęła dobrze, że ci farysy kochający tylko niebo i słońce — to bracia z syberyi — to ona sama — młodzież polska! — I dostała mi się od nich jedyna nagroda, której pragnąłem „cisza owa — święta, uroczą, z której odgadnie, że w duszach wielki zamiar się knowa, co kiedyś światu zagrzmi wszechwładnie! cisza, co mówi, że ziarno wschodzi, i myśl — kwiat, wkrótce owoc — czyn zrodzi! — Wkrótce też Farys — wieszcz pokazał się na scenie poznańskiej i krakowskiej. Smutek rozlany na prośbie o krzyżyk do Konstancyi B. (str. 39.) jest wiernym odbiciem zawiedzionych wyżej wspomnianego związku nadziei.

Jednocześnie z Farysem — wieszczem umieszczono w Bibliotece Warszawskiej podobno w roku 44. wiersz Edmunda Chojeckiego pod nazwą „Wenecja.“

Być może, iż autor miał rzeczywiście Wenecją na myśli — ale publiczność warszawska przyzwyczajona przez cenzurę wszędzie szukać i widzieć Polskę, pod wszelakiego rodzaju przebraniami, słowa jego następne o Wenecji wzięła za słowa powiedziane do Polski i zaiste trudno było inaczej tę zwrotkę rozumieć:

„Nad tą Wenecją niegdyś tak dumną,
 Dzisiaj zaguby anioł ulata —
 Gród, bohatera zdaje się trumną,
 Z której popioły wichur rozmiata. —
 Snać wielkość wyszła gdzieś na tułactwo,
 Ostanki przemoc w okowach trzyma —
 A władzcy miasta — to jak robactwo
 Dogryzające *trupa* olbrzyma!

Dzieląc powszechne oburzenie napisałem odpowiedź Wenecyanina — ale rzecz prosta, że w Warszawie wyjść niemogła — mówiono mi, że umieściło ją któreś pismo ówczesne poznańskie. —

Rok 46ty wystąpił z nowymi nadziejami — nowém wysileniem. — Związek już nie pojedyncze cząstki, ale całą Polskę obejmujący miał wybuchnąć szeroko — zwyciężko. — W tém to usposobieniu — w tém przekonaniu, napisałem na kilka dni przed terminem powstania, to jest: przed 21. Lutego 1846. r. — Naszą pieśń (68).

Przepowiednia była zawczesną — jednakże spełnić się ona musi co do słowa. —

Więzień do zbirów (str. 79.). — To nie miłość (str. 88.). Żywy — trup (str. 83.) i cześć szaleńcom, napisałem w Cytadeli Warsz. w czasie powtórnego mego uwięzienia, to jest: w r. 46. i 7. —

Dzięki bolowi serca, który konsylium lekarskie tak w błąd wprowadził, iż już godzinę śmierci mojej oznaczono, uwolniono mnie w Kwietniu 1847. r.

Ale radość powrotu do domu zatruta była myślą, że oto sam jeden ocalałem — sam jeden uszedłem śmierci fizycznój lub cywilnój, bo wszystkich moich kolegów posłano na Sibir — a jeden z nich sam sobie życie odebrał.

Tym prawdziwym bohaterem naszego wieku, naszój Ojczyzny, był Józef Rakowski. —

Dumny jestem, że mogę się pochwalić jego przyjaźnią, boć był to prawdziwy Polak, prawdziwy człowiek, prawdziwy Chrześcianin. — Całe jego życie było ciąglem zaparciem się samego siebie. — On, nie cząstkę zbywającą od codziennych potrzeb i zabaw życia, jak to zwykle się czyni, ale całe życie, wszystkie chwile życia oddawał braciom, oddawał Ojczyźnie. A słaby był, wątył, ciągle bolami cielesnemi trapiiony. — Toć niedziw, że nieufał tak osłabionemu ciału i kiedy przyszła chwila ostatniego poświęcenia, to zabił ciało swoje! — nie z rozpacz, bo on w zmartwychwstanie Polski wierzył jak w Boga! — Nie z obawy męczarni, boć całe jego życie jedną tylko było męczarnią, — ale jedynie dla tego, aby skonem swoim przerwać wrogom nieć, po którój doszliby byli do kłębka stowarzyszenia, będącego w jego ręku. —

W tym to czasie napisałem Jesień (str. 91.) i Kwiat tajemniczy (str. 96.). — Smutno było dokola — więc od boleści i gorzkiej ironii uchronić się niemogłem. — Całe nasze niebo pokryte było ciemnymi chmurami. — Nikt w ówczas nieprzeczuwał tak okwitego w obiecanki

roku 48go. — Cała Polska we łzach, widziała tylko swoich synów zamęczonych — wieszczowie nasi umilkli — jedna tylko Gabriela zaświeciła słońcem, którego ja wtedy dojrzeć niemógłem, więc też prosiłem ją „choćby o jedną iskierkę słoneczną.“ (str. 105.)

Chwila z czasów Łokietkowych (str. 110.) jest obrazem ściśle historycznym — każdy łatwo w nim odgadnie Wincentego Szamotulskiego. —

Niemcy i Polska (str. 123.) obrazy także ściśle historyczne. — Chciałem niemi objąć wszystkie główniejsze stosunki Niemiec z Polską. — Brak w tych obrazach najpierwszego — którym była przysięga Alberta pruskiego na wierność i poddaństwo wieczne Polsce — przed Zygmuntem Starym złożona — czyli początek Monarchii Pruskiej. —

Rewolucya francuzka w lutym 48go roku odżywiła znowu nadzieje Polski — i w tych to błogich nadziejach napisałem piosnkę (str. 136.). —

W wierszu poeci przed Bogiem (str. 139.) miałem na myśli trzech żyjących naszych poetów; — zdaje mi się, że charaktery ich odmalowałem tak, że każdy odgadnie, kogo miałem na myśli. —

Dzisiejszy rycerz (str. 151.) powstał z głębokiego wpatżenia się w historią wszystkich naszych działań związkowych. — Dziś już nam niewolno uważać Polskę za Francją — niegodzi się nam dzisiaj na ojczy-

źnie naszej czynić francuskich doświadczeń. — Doświadczenia takie czynią się tylko na zwierzęciu lub na trupie.

Galwaniczne środki na nic nam się niezdadzą — bo ojczyzna nasza, dzięki Bogu, niejest ani ową istotą tak pozbawioną czucia, że aż sprzecznych naturze ludzkiej potrzebuje podniecań, — ani trupem. Z resztą ruch ciała, ruch zwierzęcy — nie jest życiem. A nam trzeba życia, duchowego życia — trzeba światła — trzeba miłości. — Póki naród cały niepoczuje się narodem — póki niespostrzeże i nie zbrzydzi swoich więzów — póki ciałem swoim ogromnym sercem wolności niezapragnie i w niej się nierozkocha — póty wszelkie zamiary powstania będą tylko krwią naszą oblane — Polska nie-wstanie. —

Dziś powinniśmy już odwrócić wzrok od obcych i szkodliwych nam wzorów, a skierować go wewnątrz siebie — w nas samych — w dusze nasze; — całemi siłami w to ugodzić, aby braci śpiących obudzić — ślepych oświecić — upadłych podnieść — a wszystkich miłością Boga i ojczyzny rozplomienić. — Wtedy naród nasz powstanie sam przez się — i nieupadnie już niezawodnie, choćby wszystkie cary były przeciw niemu. — A powstanie, nie jako najemnik żądający wynagrodzenia — nie jako zwierz krwi i złota chciwy — ale jako prawdziwy Polak — dla swobody! — ale jako prawdziwy człowiek — dla swojej godności człowieczej! — ale na-

koniec jako prawdziwy chrześcjanin — dla szczęścia i zbawienia ludzkości! —

Requiem staremu światu (str. 159.) zacząłem na zgliczczach Lwowa spalonego w przeszłym roku przez nikczemną zemstę austryacką. —

W téj łunie ognistój szeroko przez kilka nocy na niebie rozciągnionój widziałem płomienisty miecz Archanioła niosącego sprawiedliwą zagładę staremu światu; — a w was, w waszój malój garstce, młodzieży Lwowska! widziałem cały nasz naród biały niewinnością swoją stojący odważnie śród pogańskiego barbarzyństwa rozwalin, — bo na czole swojém i na sercu swojém nosi piętno nieśmiertelności. —

Niepotrzeba już dziś prorockiego wzroku, aby dostrzedz, że oto ostatnia godzina wrogom wybija. — Świat stary, pobielony z wierzchu chrześcjanizmem, ale szczeropogański w treści swojój, wali się, dogorywa w pożarze przez siebie samego wznieconym; przegnija w zgniłźnie przez siebie samego zaszczepionój. — Nas zniszczyć niemoże, bo w naszych sercach jest Polska święta — jest ludzkość odrodzona — jest Bóg sam! —

— Otóż pisząc historiją pieśni moich, prawie mimowoli napisałem historiją dziesięciu lat mego życia — gdyż tyle ich jest między pierwszą a ostatnią stronnicą tego zbioru.

O! bo życie toć to także pieśń! — czy moja wesola? ja niewiem? — Sieroctwo — więzienie — i znowu

więzienie — i kilkoletnie wygnanie — i radość powrotu
zatruta boleścią — i znowu więzienie — i znów krótka
moskiewska wolność — i znowu tułactwo osłodzone
waszém bracia Galicyanie braterstwem — i znowu wy-
gnanie — i znowu oto tułactwo!

Wydarłem tylko umyślnie z téj książki mego życia
jedną kartkę — bo jestem przekonany, że byłaby dla
was obojętną — bez zajęcia. —

Tę kartkę każdy w życiu zapisać musi, choćby na-
wet pisać nieumiał lub niechciał. — Mam tu na myśli
owo czarodziejstwo, przez które zwykle wchodzi się
w świat — owo czarodziejstwo, które pospolicie nazy-
wamy — Kochaniem. —

Dziś widzę — a na moje nieszczęście niezawsze by-
łem tak rozumny — że pisarz powinien w sobie rozró-
żnić dwie istoty: jedną — jako osobną jednostkę, ma-
jącą własne, osobiste, jój tylko samój dotyczące dzieje;
drugą zaś — jako przedstawicielkę, — jako odbicie na-
rodu, a więc mającą dzieje wspólne z narodem, obcho-
dzące naród cały. —

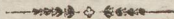
Pierwszój dzieje powinien poprostu schować w kie-
szeń, jeżeli niechce się narazić na śmieszność lub obo-
jętność; — drugiej zaś dzieje powinien wypowiedzieć
głośno, bo są własnością narodu. —

Niech ten wstęp do pieśni moich będzie niby zazna-
jomieniem się z Wami bracia Wielkopolanie! niech będzie

Hand
Urząd
o 2
koniec

niby listem zalecającym — nie dla pism moich, ale dla
mnie samego; — boć jeszcze prawie się nieznamy. —
Przyszedłem do was z daleka — z nad brzegów naszej
Wisły ukochanej. — A pieśni moje przyjmijcie, proszę
was tak jak je pisałem — to jest sercem — bo prawdzi-
wy Polak cenię serce nad wszystko. —

Dn. 19. Marca 1849. r.



DROGIM BRACIOM MOIM
GASNAĆCYM W SIBIRZE

w dowód głębokiej czci

i

doskonnéj przyjaźni

poświęca

Współtowarzysze.

DRUGA KLASA
GASNA CYM W ZIEMI

W ZIEMI

W ZIEMI

W ZIEMI

DO PIEWCY.

W gronie młodzieży śpiewał wieszcz wslawiony
Żałośne pieśni czarownemi tony,
Śpiewał całego narodu cierpienia;
Wszystkich słuchaczy serca rozplomienia
Zemstą, rozpaczą — bo pieśń jego cała
Tylko rozpaczą, zemstą oddychała. —

Pieśń już przebrzmiała, młodzież jeszcze słucha,
Grzmi w ich serc głębi choć zmiłkła dla ucha,
Bicia serc zliczysz, tak cicho do koła —
Spojrz na to grono — ponure oblicza
Ściśnięte pięści, zachmurzone czoła,
A oczy błyszczą jak płomienie znicza.

Aż jeden powstał i rzecze po chwili:
 Do serca śpiewasz mój bracie kochany,
 Umyślnie wstrząsasz naszemi kajdany,
 Byśmy się z czasem do nich niewdrożyli;
 Lecz nie dość, że nam zasypiać nie dacie,
 Nie dość poruszać, nie dość lży wyciskać,
 Na toś jest piewą, byś nam wskazał bracie
 Jaką iść drogą by wolność odzyskać. —

My już ją znamy — wśród przepaści wielu,
 Śród zdrad współbraci i przesądów cieśni
 Pójdziemy śmiało i dopniemy celu,
 Lecz chcemy pieśni — a wiesz jakiej pieśni?

Wścieklój jak młodzian kiedy rozjuszony,
 Rzuca się z kosą na wrogów reduty,
 A tak huczając, jak tron obalony,
 A tak radośnej jak więzień rozkuty!

Gdy na śmierć wrogów straszne nasze kosy
 Nasze prawice uzbroją,
 Gdy trony runą pod naszymi ciosy,
 Jeszcze grzmieć będziem pieśń twoją.

Z zapalem ludzkość powtórzy ją cała,
Wiek jeden poda drugiemu;
O! takiej pieśni wieczna wdzięczność, chwała!
Cześć wieczna piewcy takiemu!

Cytadella w r. 1838.



POŻEGNANIE.

Bracia nasi! — pozdrowienie
 Ślemy wam bratnie,
 I braterskie uściśnienie
 Może ostatnie!

Lecz waszych niechcem — lecz następców chcemy
 Klęska choć wielka, sił wam nie odjęła,
 Póki żyjecie, póki my żyjemy,
 Jeszcze Polska nie zginęła!

Ten nie nasz brat, kogo odstraszy
 Nasze cierpienie, męczeństwo!
 Kto się wyprze świętej sprawy naszej
 Bracia! takiemu — przekleństwo!

Gdziekolwiek wyrok carski nas zawlecze,
 Oszukamy jego dumę,
 Niesiemy z sobą prawa człowiecze!
 Niesiemy wolności dżumę!

W krajach, gdzie wiecznie władza ujarzmienie,
 Kędy światła nie znają narody,
 Czuciem naszém, jak słońca promienie
 Stopim śniegi, skruszymy te lody!

I ten potok wolności, wezbrany
 Spłynie ku wam — wy ku nam spłyniecie,
 Skruszy tamy, pochłonie tyrany
 I po całym rozleje się świecie!

Nowy potop! — niewola zaginie
 I krwią bratnią karmiące się zwierza,
 A z potopu nowa arka wypłynie
 Bratnich ludów z wolnością przymierza.

Żywieź bracia żar, którym pałamy,
 Niech go wściekłość tyrana niegasi!
 Jeszcze raz ostatni was ściskamy
 Nasi bracia! i następcy nasi!

Cytadella 1839. r.



DO
 WSPÓLTOWARZYSZA WYGNANIA
żądającego pieśni
 W SYBIRZE.

Jeszcze chcesz pieśni?! — lubisz pieśni pogrzebu?
 Pogrzebu szczęścia? — innych zapomniałem.
 Inne przebrzmiały. — Patrz — spojrzysz ku niebu —
 Widzisz tę chmurę w przestworzu wspaniałem?

Błyszczy — zachodniem ozłocona słońcem
 Buja rozkosznie, wznosi się i płonie,
 Lecz zajście słońca i jej blasku końcem,
 Zawieje wicher i w przepaść pochłonie!

Jak promień słońca tak uśmiech kobiety,
 Gdy po raz pierwszy w swém sercu zaświecił,
 Chwyciłem lutnię i śpiewem poety
 Głosiłem czucia, jakie we mnie wzniecił.

Lecz gdy Adama usłyszałem pienia,
 Które mi Laurę wślawił w czas daleki,
 Rzuciłem lutnię i wśród oburzenia
 Przestałem śpiewać — myśląc że na wieki!

I w głębi serca poezji uczucie
 Boskie sny duszy, czarowne marzenia,
 Zamknąłem w silne milczenia okucie,
 Śpiewałem w duszy — sam słuchałem pienia!

Jak promień świetny gdy go słońce ciśnie
 W śnieg lodowaty, a ten go odstrzeli,
 W miljon się jasnych gwiazdeczek rozprysnie,
 W miljon się tęczy kolorów rozdzieli

Tak kiedy bole mojego plemienia
 Strzeliły w serce współczucia promieniem,
 Promień ten w duszy miljon rozpromienia,
 I miljonowem dręczył mnie cierpieniem!

Spojrzałem w koło — wszędzie cichość głucha,
 Lutnie nie dzwiczą i bardy nie pieją; —
 Więc chwytam lutnię i w potęgę ducha
 Śpiewałem z wiarą, miłością, nadzieją!

Komu tak duszę paliły te śpiewy
Jak mnie, gdy w serca powstawały głębi,
Kto uczuł wrzące mych uczuć wylewy,
Temu się serce nieprędko oziębi.

Słuchacze znikli — i pieśni skonały
Dziś, gdy o szczęściu tak trudno nam roić,
Chceszże te tony, co w niebo wzlatały,
Na ziemską nutę przestroić?!

Iszym, na stepach kirgizkich 1840. r.



DO
MAJOWEGO WIETRZYKA.

Wiej wietrzyku ulubiony!

Ledwie znasz mnie ty!

Daj powiew z rodzinnej strony!

Zbierz wygnańca łzy!

Wiejesz — jakże skwarne tchnienie!

Wolniej, wolniej wiej!

Ach! rozumiem! to westchnienie

Z lubych piersi Jój!..

Znów powiał — z Jazyma fali

Zwiewa mokre mgły!

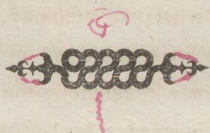
Niby deszczyk — a tak pali!

Ach! to braci łzy!

Zajęczał w tonach złowrogich —
Pojmuję ten jęk!
Te mych towarzyszy drogich
Ciężkich kajdan dźwięk!

Ach! ukończ moje katusze!
Zeszlij sny — śród snów
Weź zmęczoną moją duszę,
Odnieś Bogu znów!

Iszym, 1841. r.



CZY PAMIĘTASZ?

(PIOSNKA.)

Pamiętasz bracie to Mylne poddasze,
 Ciemne, bezładne, przecież tak nam lubie!
 Tutaj nadzieją żyły serca nasze,
 Tutaj ciemniców marzyliśmy zgubę!
 Siedzibo Szewców! w twoje to wieczory
 Łącząc ramiona w upojeniu złotém,
 W nowe świat stary wpychaliśmy tory,
 Powiedz mój bracie czy pamiętasz o tém?

Pamiętasz wilgę okropnej niedzieli,
 Gdy wróg na prawych rozpoczął oblawę?
 Pamiętasz wnętrza groźnej Cytadeli?
 Smoka co wiecznie czycha na Warszawę!
 Pamiętasz dzień ów najwścieklejszej męki?
 Hałas oprawców z piorunowym grzmotem?
 Tłumione braci katowanych jęki?..
 Powiedz mój bracie! czy pamiętasz o tém?

Pamiętasz głosy z za krat wykradzione
 Bartka, Mojżesza, Kufla, Sławianina?
 I Ben-Dawida z rzymska napuszone?
 Ojca, Karasiów, Maryś, poganina?
 Hukania Ola — mowy Kapelana
 Łudzące braci wolności powrotem?
 Ja to pamiętam jak gdyby dziś zrana,
 Lecz ty mój bracie, czy pamiętasz o tém.

Pamiętasz, kiedy Szymona niedola
 Znowu nadzieję Polski przygasila,
 I głos Kościuszki z Maciejowic pola,
 Znowu w serc naszych głębi powtórzyła?!...
 Pamiętasz kiedy wyroki wygnania
 W nas uderzyły ostatnim już grotem,
 Serdeczne, krótkie, z za krat pożegnania?
 Powiedz mój bracie, czy pamiętasz o tém

Pamiętasz, kiedy śladem Batorego
 Gnały nas zbiry jak duszę szatany,
 Gdy w mury Kremla, bracia Żółkiewskiego
 Nieśliśmy w sercu rozpacz — i kajdany!
 Pamiętasz nasze do Polski westchnienia,
 Tłumione Wołgi ponurym łoskotem —
 I z Azji długie w Europę spojrzenia —
 Powiedz mój bracie, czy pamiętasz o tém?

Pamiętasz Sibir? tę ziemię przekłątą,
Stokroć przekłątą, choć już w niej nie gnijem,
Naszemi łzami i krwią przesiąkniętą,
Braci poległych pod moskiewskim kijem!
Pamiętasz Irkuck, gdzie Skiba spoczywa!
Miny Nerczyńska głośnie polskim młotem!
Tam Piotr! tam oni! — tam wszystko nas wzywa!
Ach bracia! wiecznie pamiętajcie o tém. —

Moskwa, 1842. r.



PIEWCA ONIEMIAŁY.

Po długiej wędrówce, z dalekiej krainy
 Wracał śpiewak do swojej rodziny —
 Pobladle miał lica czy z trudów, czy z troski,
 Szedł smutny powoli środkiem znanej wioski,
 Aż nagle go w koło otoczą dziewczeczki
 Wołając: dudarzu! piosneczki! piosneczki!

Dudarz się zatrzymał w około okiem cisnął —
 Wszędzie radość i myśli swobodne —
 Potem spojrział w siebie — i żał serce ścisnął —
 Porównanie okropnie niezgodne!

Więc wyrzekł z westchnieniem — o! moje dziewczeczki!
 Próżno, próżno zaszyście mi drogę!
 Wam trzeba koniecznie wesołej piosneczki —
 A wesoło ja śpiewać nie mogę!

Dla was, jeszcze życie zielone, różowe,
 Świat do was tak mile się śmieje!
 Dla was jeszcze chowa wdzięki miljonowe,
 Marzenia i złote nadzieje!

Dla mnie świat smętarzem! — dla mnie szczęścia kwiecie
 Na zawsze uwiedło, pobladło!
 Gdzie stąpię, grób depcę — i sam na tym świecie,
 Błądę jak grobowe widziadło.

Moje niebo czarną powlokło się chmurą,
 Z tyła gwiazd ledwie jedna polyska!
 Lecz i te tak smutnie, tak blade, ponuro,
 Że tylko lzy gorzkie wyciska. —

Niegdyś jam był wesół — ach! bo mnie kochało
 Lube dziewczę anielsko, czarownie!
 Dla mnie dzisiaj jeszcze, jak dawniej bywało
 Serce boli i bije gwałtownie!

Lecz ona! lecz ona? ach! czyż mnie powita
 Dawnym swoim uśmiechem, spojrzeniem?!
 Czy pozna?.. czy miłość z tych rysów wyczyta?
 Czy do serca przycisnie ze drzeniem?

Powiedzcież! — wy wiecie — kochane dziewczeczki
 Czyż nadziei nie dacie mi w drogę? — —
 Nie dają nadziei, a chciały piosneczki!..
 Nie! wesoło ja śpiewać nie mogę.

I westchnął — ku ziemi skłonił smętne czoło —
 Dumał, błądził po szczęścia smętarzu. —
 Aż znowu młodzieńcy otoczą go w koło
 I wołają — śpiewaku! dudarzu!

Czyż nam nie zaśpiewasz? co z tobą się stało?!
 Dawniej pieśni tak chętnie śpiewałeś —
 Ach! i jakie pieśni! aż serce pękało
 Tak płomienne uczucia wlewałeś.

Od twych świętych śpiewów olbrzymiała dusza,
 Nasze siły, zamiary, nadzieje!
 Czemuż dziś twa ręka strun lutni nie wzrusza
 I pieśń - ogień w twój piersi marnieje?

Bóg kazał ci śpiewać — czemuż niemy stoisz?
 Czy grom nieszczęść tak zwałił twe siły,
 Że już na ton męzki lutni nie nastroisz
 Ni słów co by duszę paliły?..

On zadrzał i jęknął tak dziko, tak smutnie!
W młodzień oczy utopił zbłąkane —
Płaszcz zrzucił — wyciągnął prawicę — w niej lutnię —
Struny lutni zerwane — zerwane!

Jarosławice 1842.



KONIK ZWIERZYŃIECKI.

Co to! co to!
 Inne czasy, inni ludzie!
 Mówię prawdę szczerzotłą,
 A słuchajcie jak o cudzie!
 Gdzież z wami
 Gnuśnikami
 Darmo, darmo prawić wam!..
 Co mi tam!

J. B. Zaleski.

I.

Gudnie słońce świeci nad Krakusa grodem,
 Nad Wandy mogiłą, nad Wisły nurtami,
 A Wisła niezwykłym szumiąca pochodem,
 Pogląda na Kraków oczami — falami;
 Bo w grodzie Krakusa okolica cała
 Zebrała się święcić dzień Bożego Ciała.

I oto z świątyni Maryi przenajświętszej
 Lud wypłynął tłumami gwarnemi,
 Modlił się — i nigdy modlitwy gorętszej
 Niesłał w niebo lud biednej téj ziemi.

Bo głucha wieść niesie, że psy Dżengishana
 Wpadły w Polskę chmurami szarańczy,
 O! biada krainie, gdzie ta dzicz szatana
 Piekielny swój taniec przetańczy!

Lecz cóż to?.. słyszycie od Zwierzyńca strony
 Tę wrzawę, ten popłoch, znak trwogi?
 Tatarzyn w Zwierzyńcu! dalej do obrony!
 Do broni! do broni! na wrogi!

I któż zdoła skreślić ten obraz straszliwy
 Krzyki chcących walczyć — wołania strwożonych,
 Te wrzaski rozpaczy, jęk niewiast płacziwy,
 Śpiew księży, głos dzwonów gwałtownie zbudzonych!

No! Panie Krakowski! czas spuścić przyłbicę
 Czas już przecie z Tatarem się zmierzyć,
 Za wiarę, za wolność, za Polski stolicę
 Miecz podnieść i chobrze uderzyć!

No! księżę Biskupie! Pawle z Przemankowa!
 Porzuć lube sokoły, ogary,
 Weź w rękę krzyż święty, miecz Bożego słowa,
 Wiedź lud twój do walki dla wiary!

Daremnne wołania — mężny Pan Krakowski
 Uszedł z królem przed najściem szarańczy!
 Cześć ci Leszku Czarny! cześć synu Piastowski!
 Tatar w krótkce w Wawelu zatańczy!

II.

W Ratuszowej sali Rajcy się zebrali,
 Śród narad i sporów poczną serca tracić, —
 Znaleźli się podli, co śmiało wołali:
 — „Trzeba wysłać posłów, trzeba się opłacić.“

Aż oto młodzieniec na środek wyskoczył,
 Gniew lica mu pali, wre serce i głowa,
 I wzrokiem ognistym po Rajcach zatoczył,
 Głos jego był grzmotem — a mówił w te słowa:

— „Kto śmie okup wnosić?.. ha! Mości rozjemcy!
 Żal wam składów, co zniszczą Tatary?
 Żal fabryk i sklepów?.. tak! panowie Niemcy!
 A nam, żal wolności i wiary!

Nam, dzieciom Krakusa, żal czci, co po świecie
Szeroko rozniosła to imię!

O! damy im okup! lecz godny nas przecie!
W krwi naszój, w zwaliskach, i dymie!“ —

I wybiegł — miecz w dłoni — a ratusza dworzec
I bliskie ulice lud tłumem zalewał —
On skoczył ku Włóczkom, porwał ich proporzec,
I wznosząc go w górę tak braci zagrzewał:

— „Za wiarę! za wolność! za drogą tę ziemię,
Do broni rodacy! idźmy w imię Boga!
Lepsza śmierć chwalebna nad niewoli brzemię,
Za mną bracia! na wroga! na wroga!“

O! stokroć szczęśliwy, komu nieba dały
Moc władania współbraci sercami,
Co za jedném słowem, swój duszy zapalał
Wlewa w braci wrzącemi falami!

I patrzcie! jak łuna bije blask oręży,
I sunie się chmura ku Zwierzyńca stronie!
Ha! któż ją powstrzyma? i któż ją zwycięży?
Boską siłę ta chmura ma w łonic!

Tak Wisła urocza rzek naszych królowa
 Gdy nagle uniesie się gniewem,
 Gdy wzburzy swe łono i brzegi rozkwa,
 Jakiejż tamy nieskruszy wylewem?!

Powódź już daleko — tylko z czoła chmury
 Miga jeszcze proporzec Włoczkowski,
 Na nim świeci orzeł, orzeł śnieżnopióry —
 Bezpiecznyś narodzie Krakowski!

I orzeł już zniknął — lecz jeszcze z daleka
 Grzmi pieśń święta, hymn: Bogarodzico! —
 Maryo! niech nad nimi czuwa Twa opieka!
 Broń naszych! o! Matko - dziewico!

III.

Godzina powoli płynie za godziną,
 Starcy i niewiasty modlą się ze łzami —
 Okropna niepewność! jeśli nasi zginą...
 Boże! Boże! cóż stanie się z nami!

O! ślepi! o! ślepi! wam zakryła trwoga
 Prawdę uświęconą wieków doświadczeniem:
 Że jako głos ludu jest istny głos Boga,
 Tak i ramie ludu jest Bogu ramieniem!

Słyszycie tę wrzawę? — to nasi wracają!
 To nasi wracają, zwycięzcy!
 Słyszycie pieśń świętą? to nasi śpiewają!
 Zgromieni Tatarzy, ciemiężcy!

I patrzcie! na czele widzicie Tatara?
 To wódz churdy w niewolę zabrany —
 Do koła krakowska otacza go wiara!...
 O! nie!.. to ów młodzian nieznanym!

To on, co do boju współbraci zapalił,
 Stygnących swém męztwem napoił,
 Uderzył na Hana i trupem powalił,
 I w jego się szaty przystroił!

To rycerz prawdziwy — chociaż ni łańcucha
 Ni złotój używa ostrogi,
 Ale w piersiach karmi krakowskiego ducha
 I serce bez skazy, bez trwogi!

Godłem jego — widzisz niesiony w pośpiechu
 Z orłem białym proporzec Włoczkowski?
 To jest jego godło! — on syn tego cechu,
 Sławetny mieszczanin Krakowski.

IV.

Imię twe zginęło — ale sława czynu
 Utkwiła w twych ziomków pamięci,
 Spoczywaj spokojnie na łożu z wawrzynu,
 Potomność twą pamięć uświęci. —

Co rok w dzień ten wielki — gdy modły skończone
 Lud pospiesza jak tylko wydola,
 Kędy bractwo Włoczków świetnie zgromadzone
 Poważnie wychodzi z kościoła.

A z Zwierzyńca strony otoczon tłumami
 Tatar sunie, a konno i zbrojnie
 Do cechu się zbliża, łączy się z Włoczkami,
 Płyną dalej powoli, spokojnie.

Aż kędy swój pałac ma Biskup krakowski
 Orszak się wstrzymuje złączony,
 Tam na cześć Biskupa, proporzec Włoczkowski
 Trzykrotne wybija pokłony.

Cech zwolną odstąpi — Tatarzyn wesoło,
 Skacze z koniem to w lewo to w prawo,
 I żwawo harcuje i krąży wokoło
 I gromi potężnie buławą.

Aż gdy wszystkich wrogów rozgromi, rozściele
 Syt boju i trudów i sławy
 Łączy się z Włóczkami i jak wódz na czele
 Z zwyciężkiej powraca wyprawy.

I spieszą radośni, gdzie cechmistrz Włóczkowski
 Braciom swoim biesiadę zastawił,
 Tam to się weselą jak on lud krakowski
 Gdy go Włóczek z niewoli wybawił. —

Znikły cechu Włóczków świetne przywileje
 Żupy już im dani nieplacą,
 Ale w piersiach Włóczków ten sam ogień tleje,
 I serca ich męztwa nietracą!

Wiek szósty!.. a cech twój czyny twe pamięta,
 Braterstwem i zgodą jaśnieje;
 Ach! kiedyż! ach! kiedyż ta ich miłość święta
 Na cały się naród rozleje!

Cudnie słońce świeci nad Krakusa grodem,
 Nad Wandy mogiłą, nad Wisły nurtami,
 A Wisła niezwykłym szumiąca pochodem
 Pogląda na Kraków oczami — falami; —
 Cudzoziemiec mniema, że milczenie chowa,
 Ale ona mówi! Krakus słyszy słowa;

— „Cześć wieczna! cześć wieczna krakowskiej ziemicy,
Co syna takiego wydała!

Cześć wam! cześć wam wieczna dzielni wojownicy!

I mnie, com te czyny widziała!

Mnie, — com cię nosiła o! Włoczku krakowski!

I tobie cześć wieczna o! cechu Włoczkowski!

Jarosławiec 1843. r.



PRZYPISKI DO KONIKA ZWIERZYŃECKIEGO.

Jak wieść powszechna niesie, jak lud prosty utrzymuje, co i z historiją zgadza się, około r. 1281. gdy Leszek Czarny panował, Tatarzy po trzeci raz grasując w Polsce, aż pod sam Kraków podsunęli się, który już za Bolesława Wstydliwego dwakroć ogniem i mieczem pustoszyli. — Właśnie podczas processyi Bożego Ciała dano znać do miasta, że znaczny oddział tój hordy popelnia gwałty i rabunki na przedmieściach Zwierzynca. — Chwilowa trwoga ogarnęła umysły ludu; myślano już zdać się na litość krwawych najeźdców, gdy nawet w zdolnych do boju zachwiało się męztwo. — W tém jeden z pomiędzy Włóczków Zwierzynieckich, zagrzany odwagą bohatera, porywa za chorągiew, której dotąd jest godłem orzeł biały i krzyknąwszy na swoich: „Za mną bracia! uderzmy na tych zbójców! gińmy, a niedajmy bezkarnie nachodzić ziemi naszój.“ — Obudza powszechny zapal, i na czele uzbrojonego ludu spiesza na Zwierzyniec.

W kilku godzinach zasłano trupami nieprzyjaciół nadbrzeża Wisły, która się krwią ich zarumieniła; — a waleczny dowódzca przystrojony od ludu w ubiór zabitego naczelnika pohańców, z tryumfem prowadzony do miasta witany był z okrzykami radości, w tém samym prawie miejscu, przy Wislnój niegdyś bramie, w którém się dzisiaj łączy z powracającą z processyi Włóczków chorągwią. Gołombiowski: Gry i Zabawy str. 100.

„*Tak panowie Niemcy.*“

W skład Magistratów, to jest Rad miejskich, po wszystkich naszych miastach, a szczególnie w Krakowie i w Warszawie dużo Niemców wchodziło. — Nieprzychylni Polakom prawie

zawsze wyplacali się zradą za gościnność. — Że inne przykłady pomine, pamiętną jest w dziejach naszych zrada Albertusa Ławnika, srodze, lecz sprawiedliwie przez Łokietka skarcona. — Na kapitulacjach miast naszych niewylączając ostatniej Warszawskiej, najwięcej niemieckich podpisów. —

Włóczkowie. Tak nazywani w krakowskim trudniący się spławianiem drzewa na Wiśle, na Bugu zaś Oryłami. — Krakowscy Włóczkowie posiadali odwieczne prawo spuszczenia drzewa do miasta z miejsca zwanego przystanie, ztamtąd nikomu niebyło wolno oprócz nich, prowadzić go dalej. — Ten przywilej w nagrodę waleczności otrzymać mieli. — Jaki dowód męstwa w czasie napadu Tatarów okazali i jaki z tego powodu nastąpił obrządek — opisane wyżej dosłownie. —

Jedność i miłość wzajemna są głównym ich obowiązkiem. Na pogrzebowym obchodzie każdego z członków bractwa, powinni się znajdować wszyscy. Z żup solnych wielickich pobierali corocznie na Suchedni po 2 beczki soli oprócz zwyczajnych wynagrodzeń. —

Biskup ówczesny krakowski Paweł z Przemankowa, jeśli wyrazom Bielskiego przez Naruszewicza przytoczonym zawieńczyć mamy, tak był myśliwy, iż gdy mszą miewał, tedy psi około niego chodzili, i z ptaki przed nim stali myśliwcy.

Gołębiowski: Gry i zabawy str. 135.

W IMIENNIKU

Marji Gu . . .

Polska dziewico! czemu w twym ogrodzie
Nieswojskie kwiatki chodzisz troskliwie?
Czy nie ma pięknych w ojczystej przyrodzie?
Czy nie ma pięknych na ojczystej niwie?

Polska dziewico! nie ciesz się nadzieją,
Niewierz im, niewierz, nie trwałe to kwiatki!
Lada przeciwność, zbledną i zwiędnieją,
Bo się wyrzekły i wstydzą swój matki!

Polska dziewico! spytaj twych rówieśnic,
Czemu tak matkę rzuciły wzgardliwie,
Do jakich uczuć lub serca tajemnic
Braknie im kwiatów na ojczystej niwie?

Kto chce mężczyzny miłość wyobrazić,
Ma nieśmiertelnik — on nie zagraniczny!
Kto chce kobiecie kochanie wyrazić,
Ma kwiat paproci — mówią, że prześliczny!

Kto chce umając bohaterów skronie,
 Popiołom wieszczów nieść napis grobowy,
 Temu król lasów w jemiolnej koronie
 Na wieniec sławy rzuci liść dębowy.

By wygnańcowi słodzić los zawzięty,
 Ulżyć boleści i łagodzić smutki,
 Przyjazne dłonie z pod serca odpięty,
 Dają najmiłszy kwiatek niezabudki.

On mu najdroższy, bo mu przypomina
 Wszystko, co stracił — chroni od rozpaczy —
 On mu zaręcza, że łuba kraina
 Tęszni po synach, pamięta tułaczy!

Marjo! na pustym stepie mego życia
 Jeden kwiat jeszcze serce moje nęci,
 Jeden ocalał z nieszczęść gradobicia —
 Dzięki ci Marjo! to kwiat twój pamięci. —

Warszawa 1844. r.



W DZIEŃ ŚLUBU

Marji Gr.....

W gronie co cię powiedzie do ślubnych ołtarzy
 W kole twojej rodziny i przyjaciół rzedzie,
 Szukać będziesz daremnie jednej drogiej twarzy,
 Serce rzewniej, niż zwykle tęsknić za nim będzie.

O! tęsknij za nim wiecznie! — lecz, wierz słowu memu,
 Kto z nim razem choć chwilę podzielał męczeństwo,
 Czyje serce z nim w równi bije po dawnemu
 Może ci w jego miejscu dać błogosławieństwo.

Przyjm je Marjo odemnie — bo z serca ci życzę
 Szczęścia, ile dać może ta ziemia nieplodna,
 Niechaj wszystkie przez niego wypite gorycze
 Kupią dla ciebie szczęście, któregoś tak godna.

Dziś właśnie stoisz Marjo na progu dwóch światów,
 Za tobą świat ułudy dziewczicy, uroczy
 Obfity w ideały, w cudne barwy kwiatów —
 Po raz ostatni za nim obróć twoje oczy. —

Lecz go nieżałuj Marjo! — świat to fantastyczny,
 Świat marzeń, pięknych wprawdzie, ale bezowocnych —
 Przed tobą masz świat drugi — choć może mniej śliczny,
 Lecz pełen cnót promiennych i działań wszechmocnych.

Wierz mi — nad wszelkie sławy, nad wszelkie godności,
 Nad wszelkie dary nieba i ziemi dostatki,
 Nad wszelkie urojone tytuły wielkości
 Stokroć wyższe, i stokroć świętsze imię: matki!

O! ty pojmujesz całą wielkość tego słowa!
 Matka! — to nie piastunka, to nie czcza karmicielka!
 Matka — to córka kraju, co jemu gotowa
 Oddać ostatnie dziecię — to obywatelka.

Więc cześć ci przyszła matko! — a gdy przyjdą chwile,
 By prawdę nauk dzieciom potwierdzić przykładem,
 Wtedy spójrz w jego stronę — ku braci mogile
 Niech jego idą drogą, świeżym jeszcze śladem! —

Niezrażaj się cierniami — gdy ziemi bluźnierce
„Jakaż nagroda?“ — krzykną szyderczemi głosy, —
Za nagrodę twym synom wskaż własne ich serce
Za nagrodę twym synom wskaż — krzyż i niebiosy!

Warszawa 1844. r



PRAWDZIWA PIĘKNOŚĆ.

POWIASTKA

(napisana umyślnie dla Zorzy, pisma wychodzącego w Warszawie dla młodzieńczego wieku — pod redakcją Pauliny Kraków.)

I.

Zaledwo słońko majowe wstało
 Brat starszy w ogród szedł z siostrą małą;
 A wszystko do nich śmieje się w koło,
 Wszystko ich wita mile, wesolo;
 Ptaszka z gniazdek radośnym śpiewem
 Milutki wietrzyk świeżym powiewem,
 Kwiatki tysiącznych wonią pachnidel
 Motylki barwą i blaskiem skrzydeł. —

„Ach! mój braciszku! — woła Ludmilka —
 Patrzaj — czy widzisz tego motylka?”

Jaki on ładny! — ach! a te róże!
 Czyż co na świecie zrównać im może!
 A tam znów lilja ... albo fioletek!
 Słuchaj — to pewno jakiś aniołek
 Wszystko dogląda w tych stworzeń rzędzie,
 Że tylko piękność wszędzie, a wszędzie!”

Kiedy tak mówi — mały robaczek
 Niekształtny, ciemny, środkiem drożyny
 Pełnie powoli pod bliski krzaczek --
 Pewnie do swojej rodziny. —

— „Ach! jaki brzydki! Ludmilka woła —
 I nim dopelznął do krzaczka
 Nim brat spóźniony przeszkodzić zdoła,
 Depce biednego robaczka!

A brat rzekł smutnie — „zła ogrodniczko!
 I za cóż jesteś tak groźną?
 O! pożałujesz tego siostrzyczko,
 Ale już będzie zapóźno!

Westchnął — i więcej nic niepowiedział,
 Lecz smutny wracał do dworu.
 Czegoż się smucił? ... wszak dawno wiedział,
 Że ludzie cenią z pozoru!

II.

Gdy słońce zaszło, a księżyc złoty
 I za lasów czoło wychyli;
 Siostró, brat rzeczce — niemasz ochoty
 Pójść, gdzieśmy rano bawili?

— „O! dobrze bracie — i już wybiegli —
 W ogródku cisza dokoła
 I długo, długo nic niespostrzegli —
 Aż nagle siostra zawoła:

— „Ach! mój braciszku! patrz! te światełka...
 Czy to kawalki gwiazdeczki?
 Czy taka świetna rosy perelka?
 Czy takie cudne kwiateczki?

— A prawda, siostró, że cudnie świecą?
 Ale te drobne światełka,
 Co takie świetne promienie niecą,
 O! to nie rosy perelka!

Ani to gwiazdka spadła w te krzaczki
 W drobne się iskry roztlila,
 To takie same brzydkie robaczki
 Jakiegoś rano zabiła! —

A gdzież są one poranne blaski?
 Kwiatów kolory rozliczne?
 Gdzież te motyli skrzydeł obrazki
 Tak krasne, lśniące, prześliczne?...

Wszystko to znikło — bo słońce zgasło!
 Bo razem z słońca skonaniem
 I dla nich skonu wybiło hasło! —
 Wstaną aż z słońca powstaniem!

A te robaczki świecą tak jasno,
 Choć niebo chmury powleką!
 Choć blaski słońca dawno zagasną,
 A zorza jeszcze daleko!!...

Nietrudno błyszczyć promieniem jasnym
 Cudzym, i tylko odbitym —
 Lecz jak ten robak promieniem własnym
 Promieniem w duszy ukrytym!

Nietrudno błyszczyć przy dnia pomocy,
 Gdy słońce przyświeca jasno,
 Ale w ciemnościach, wśród nieszczęść nocy,
 Gdy wszystkie światła pogasną!

W ogrodzie świata droga Ludmilko
 Zobaczysz dużo motyli —
 Ale na piękność duszy patrz tylko,
 Ta tylko jedna niemyli!

W ogrodzie świata lica niejedne
 Ujrzysz zmienione cierpieniem,
 Wtedy przypomnij robaczki biedne
 I rzuć współczucia spojrzeniem!

Bo może pod tą brzydką powłoką
 Dusza promieni tak jasno,
 Jak te robaczki z nocną pomroką,
 Siłą prawdziwą — bo własną!

Zewnętrznych wdzięków — w muszkach, w kamieniu
 Lub w kwiatach szukaj Ludmilko!
 Ale w myślącym — jak ty — stworzeniu
 Ceń duszę — ach! duszę tylko!

Warszawa 1845. r.



PROŚBA O KRZYŻYK.

DO

Konstancji B.....

Został się krzyżyk śród twoich rzeczy
 A na nim święta postać Chrystusa —
 Daj mi go! — on mnie może uleczy —
 Bo przed nim każda niecna pokusa,
 Każda myśl czarna w duszy wzbudzona
 Jak noc przed słońcem blednie — i kona. —

Bo w mojem życiu — o! siostró moja!
 W téj ciągłej walce ze złemi losy,
 Jakże mi taka potrzebna zbroja
 Co i najsroższe odbija ciosy!
 Ciosy zwątpienia, ciosy rozpaczny,
 Których tak pełno w życiu tułaczy!

Ach! nieraz, nieraz uśmiech goryczy
 Rozdziera duszę, gdy wspomnę sobie:
 — „A więc już dla mnie nie ma słodyczy!
 I wszystkie moje mary już w grobie!“

Ach! od téj myśli co serce krwawi,
 Może mnie widok krzyża wybawi!

Gdy chęć miłości serce rozdrażni
 To serce, co tak kochać przywykło,
 Gdy Ona stanie w méj wyobraźni
 I myśl bolesna: wszystko to znikło.

O! wtedy, wtedy niech krzyż zobaczę —
 Może ucichnę znów — i przebaczę!

Lub kiedy lata przypomnę młode
 Zwiędłe na siejbie dotąd bezżniwnéj,
 Gdy tylko męki wziąłem w nagrodę
 A żadnéj dotąd kropli ożywnéj;

Krzyż może zdoła stałość mi wrócić,
 On kazał wszystko dla cnoty rzucić!

Jam téż porzucił wszystko na świecie!
 I nieżałuję — lecz jako człowiek,
 Gdy ciężar życia zanadto gniecie,
 I boleść serca lży ciśnię z powiek:

Nieraz... upadam!... ach! w takiej chwili
 Widok mnie krzyża wesprze — zasili!

Kiedy w prawdziwój serca żalobie
 O drogiój Matce dumam i płacę —
 O Matce dawno złożonój w grobie!...
 I bluźnię wąpiąc czy ją zobaczę...

Ach! od rozpaczy niech mnie ochrania
 Krzyż! znak zbawienia i zmartwychwstania!

Krzyż mego życia dźwigam już dawno!
 Dawno już z cierni noszę koronę!
 Dawno już żółcią octem zaprawną
 Poją się moje usta spieczone!...

Krzyż ten mnie wzmocni — on mi przyrzeka,
 Że i Kalwarya już niedaleka!

Jarosławiec 1845. r.



FARYS-WIESZCZ.



! i ja niegdyś byłem farysem!
 Lecz czyż wy wiecie, co farys znaczy?!
 Ha! niech step mówi swoim opisem! —
 Olbrzyma, olbrzym niech wytłumaczy!
 On tylko jeden prawdę wam powi,
 Jemu więc wierzcie jak koranowi. —

Farys — step mówi — to dziecię moje!
 To duch, tęsknotą nieba trawiony —
 Zesłany tutaj na ciągłe boje,
 Na ciągłych pragnień żar niezgaszony!
 A tak mu trzeba nieba i słońca,
 Że tylko za nim pędzi bez końca!

I nic go w pędzie wstrzymać niezdola! —
 Ani uroczej cienie oazy,
 Ni beduinka głosem anioła
 I blaskiem oczu — milszym sto razy!
 Próżne pokusy! — bo tacy gońce
 Kochają tylko niebo i słońce!

Więc jam był gońcem — i gońców Bardem. —
 Cudneż to było to nasze grono!
 Z tą myślą wiecznie w słońce zwróconą
 I z tém ramieniem młodzieńcem, hardém,
 Co krawędź nieba z krawędzią świata
 Sili się spoić — wierząc, że zbrata!

Patrzcie tam — w koło piaszczyste wzgórza
 Niby umyślnie słane mogiły —
 Czasem się z głębi skielet wynurza —
 Spytaj skieletów, czém one były!...
 Ha! te mogiły Arabistanu...
 To tylko ślady stóp huraganu!

On to — farysów pochłonał w sobie!
 Pochłonał żywce braci kochanych!
 Ja'm tylko jeden został na grobie
 Na grobie gońców — już zapomnianych!...
 Czy to jest łaska czy kara nieba
 Allah żyć kazał — więc żyć potrzeba!

Jak młode orle z złamanem skrzydłem,
 Co się już nigdy w niebo niewzniesie,
 Życ, życiem gadu, gnuśném, przebrzydłem,
 W tych smutnych murów ciasnym zakresie! . . .

Ha! próżne żale! śpiewaj Pajaco!

Tylko zabawnie — bo niezapłacą!

O! wieczna hańbo! wieczna sromoto!
 Ja farys, piewca z niebios natchniony,
 Pieśń mą na ziemskie przestrajac tony
 Pieśń mą sprzedawać muszę za złoto!
 By czém okupić cień cudzej strzechy
 Lub zgłuszyć z nędzy szydzące śmiechy!

Oni niewiedzą, że wieszczą pienie
 Jest jako słońce na niebios sklepie,
 Co na wszechwładne Boga skinienie
 Świeci wędrowcom błędzącym w stepie —
 A przecież słońcu nieplacisz za to,
 Że cię zbawienną poi oświatą!

Oni niewiedzą że wieszczą śpiewy
 Jak ów dziewiczej ogień miłości,
 Co za niebiańskie swoje wylewy
 Nic! nic niepragnie — prócz wzajemności!
 Sprzedawać miłość — hańba kobiecie!
 Sprzedawać śpiewy — hańba poecie!

Przecież tą hańbą wlokę dziś życie!
 Allahu! jakże dręczysz mnie srogo!
 I jeszcze nieraz ktoś niby skrycie,
 Niby pocichu powie: za drogo.

 Za drogo mówisz?... powiedzże bracie
 W jakiejż wy cenie życie sprzedacie?...

 Bo słuchaj! — pieśń ma, to cząstka życia
 Tam jest krew moja, tam są łzy moje,
 I mego serca gwałtowne bicia
 I uczuć moich i myśli roje!

 A każdą żeby dostać, wyjawić,
 Muszę wprzód serce mocno rozkrwawić!

 Więc cóż? za drogo?... o! bądźcie szczerzi!
 Gdyby wam przyszło życiem frymarczyć,
 Jak ja, pelikan, rozrywać piersi,
 By krwi za cenę złota dostarczyć,
 W jakiejżeby cenie była kropelka
 Krwi lub łzy waszej — choćby niewielka?...

 Męczarnia wieszczą w chwili tworzenia
 To boleść matki w chwili porodu —
 Ile wlał życia do swego płodu
 Tyle wziął życia z swego istnienia —
 Ile on pieśni dla was utworzył,
 O tyle kroków grób swój przysporzył!

Czasem — w dodatku — słyseż oklaski —
 Szczerze czy zwodne — wszystko mi jedno!
 Znam tych błyskawic przelotne blaski!
 Znam ich gruntowność i trwałość biedną!
 Wasze pochwały! — toć to szyderstwo!
 Wasze pochwały! toć to bluźnierstwo!

Gdy syn rozpaczłą pięścią kołace
 W grób, co mu drogą matkę ukrywa,
 Czém niemówicie, że ślicznie płacze?
 Czém niemówicie, że z czuciem śpiewa?
 Jak ta Iza syna na matki grobie
 Tę samą szczerokość śpiew mój ma w sobie!

A więc porzućcie marne pochwały,
 Gdy, śpiew mój święty jako Iza syna. —
 Nie takie wieńce wieszczom przystały!
 Wieszcz takie wieńce depce, przeklina!
 Duch jego wielki i wiecznie młody
 Innój — o! innój! żąda nagrody!

Nagroda piewcy — to cisza owa
 Święta, uroczna, z której odgadnie,
 Że w duszach wielki zamiar się knowa,
 Co kiedyś światu zagrzmie wszechwładnie!
 Cisza, co mówi, że ziarno wschodzi
 I myśl-kwiat wkrótce owoc-czyn zrodzi!

Nagroda piewcy — to te spojrzenia,
 Co świecą całym duszy wulkanem!
 Krótkie, milczące dłoni ściśnienia
 Z westchnieniem długo w piersi stłumianem;
 I owa chmura cieniąca czoła,
 Z której połyska miecz Archaniola!

To mi nagroda!!... ja'm ją odbierał!
 W koło mnie stali bracia farysy,
 Każdy pieśń moję sercem pożerał,
 Pieśń ma wnikała w ich twarzy rysy,
 W krew tych serc wielkich, w ich myśli gniazdo
 Lśniła im w drodze przewodnią gwiazdą!

Farysy znikli! — głucho na stepach!
 A w stepie życia, och! smutniéj jeszcze!
 Czasami tylko wiatr zaszeleszcze
 Dmąc po wywianych czaszek czerepach!
 On wszystko wywiał! — wszystko przewiało,
 Co było cnotą, prawdziwą chwałą!

O! i mnie pora spocząć w mogile,
 Zasnąć snem braci błogosławionych!
 Aż kiedyś, kiedyś, za męczarni tyle,
 Gdy głos Allaha budząc uśpionych
 Na swoje rajskie zwoła ogrody, —
 I ja niebiańskiej doznam nagrody!

W tym boskim raju, w tém siódmém niebie,
 W waszój ojczyźnie, o! prawowierni!
 Allah mnie wielki wezwie do siebie,
 Zdejmie mi z głowy ten wieniec z cierni
 I źmiję tyłą krwi przesiąkniętą,
 Wyrwie mi z serca pamięć przeklętą!

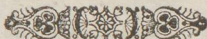
I najcudniejsze wezwie dziewice
 I rzeknie: służcie jak Padszachu!
 Ja, — i niespojrzę nawet w ich lice, —
 Ale z pokorą powiem: Allahu!
 Ja'm tylko prawdy szukał na świecie!
 Czyż taką miłość znajdę w kobiecie?!

Niechcę hurysy! choćby piękniejszój
 Od téj, co'm niegdyś kochał na ziemi —
 Lecz ja niegardzę dary twojemi —
 Ja tylko łaski błagam pełniejszój...
 Za wszystkie, wszystkie twoje hurysy
 Niech wstaną moi bracia farysy!!...

I pozwól! pozwól choćby na chwilę
 Zstąpić nam jeszcze w nasz kraj cyprysów,
 I w dawnój naszej młodzieńczej sile
 Pobujać orlim lotem farysów!
 I piersi dawném ożeźwić biciem,
 I dawném naszym zablysnąć życiem!

Allah wysłucha — wnet grmiące głosy
Wystraszą w głębi śpiących tygrysów,
I okrzyk szczęścia buchnie w niebiosy!!...
Widźcież raz w życiu polot farysów!
Może wam w ówczas biedne robaki!
Przyjdzie ochota do jazdy takiej!

Warszawa 1845. r.



PALMA PRZEKŁĘTA.

LEGENDA ARABSKA.

Jest palma na stepie jedyna, zielona —
 Gdy pod nią wędrowiec spoczywa,
 Wnet tchnieniem tajemném łagodnie wzruszona,
 Kołysze się zwolna i śpiewa:

 Słuchajcie! słuchajcie! — och! było nas dwoje,
 Brat, siostra u lubej rodziny —
 Nad niego nikt śmielój nierzucił się w boje,
 Nademnie niebyło dziewczyny.

 W obozie uśpionym podeszły nas wrog
 Wpółsennych napadli, wysiekli —
 Poległa rodzina — mnie, z krawej pożogi
 Porwali i w jasyr powlekli. —

Niedługo'm tęschniła, niedługo'm płakała
 Rodziny i stepów swobody,
 Bo'm giaura poznała, bo'm giaura kochała,
 Bo giaur był przecudnej urody.

Ach! ja'm zapomniała i giaura i wroga
 W tym franku urodnej postaci,
 I w jego objęciach wyrzekłam się Boga!
 W objęciach mordercy mych braci!

Raz w nocy na boje pocichu wymknęli —
 I pusto w namiocie kochanka —
 Ja'm legła wpółsenna na jego pościeli
 Przy słabym połysku kaganka.

Sen dziwne przedemną malował widziadła:
 Ów obóz tak dobrze znajomy —
 I twarz mego brata, ponura, wybladła —
 A oczy — . . ha! oczy — to gromy!

Wyciągnął dłoń ku mnie — ja zrywam się, budzę,
 Przejęta obawą tajemną —
 Ach! to nie marzenie! nie! ja się nieładzę!
 To brat mój! to brat mój przedemną!

Jak kindżał zatruty do głębi aż łona
 Wzrok jego okropny przenika —
 I nagle mnie w silne pochwycił ramiona
 Dopada stepowca i znika. —

Jak wicher, jak piorun i leci i leci
 Aż oddech się w piersiach tamuje —
 I minął dzień jeden i drugi i trzeci —
 Koń zarżał, znać swoich już czuje. —

O! bracie! o! bracie! miej litość nademną
 Wołałam pocichu ze drzeniem
 — „Ha! żal ci kochanka? daremno! daremno!
 Milcz, niehańb mię brata imieniem.

Już widać namioty — na tętęt kopyta
 Wybiegły zdziwione gromady —
 On zakrył mnie szatą, ze swymi się wita
 I starszych przyzywa do rady.

Wnet starsi z plemienia otoczą nas w koło
 Szron wieku pośrebrza ich głowy,
 On milczał przez chwilę — aż znów podniósł czoło
 I temi odezwał się słowy:

„Gdy gniazdo orłowi wyrodek pokala,
 To orzeł go z gniazda wyrzuca,
 Lecz cóż Arabowi Bóg czynić pozwala
 Z wyrodkiem co czystość zakłóca?

Miał Arab rodzinę — na gardłach rodziny
 Nóż giaurów przytepił swe ostrze —
 O! płakał młodzieniec po matce jedynéj
 Po ojcu, — najwięcej po siostrze!

Bo on w téj dziewicy — w arabskiej dziewicy
 Chciał widzieć przezczystość niebianki!
 On czcił ją jak świętość Koranu tajnicy,
 Jak boskiej zjawisko posłanki! —

Raz w giaurów siedlisko w północnej wszedł dobie
 I w namiot ich wodza się wciska
 A pusto w namiocie i cicho jak w grobie
 I smutnie kaganiec połyska.

Przy blasku kaganka — ha! widać! łożnica . . .
 A na nią z daleka coś bieli —
 Zbliża się — o! zgrozo! — ojcowie! . . . te lica! . . .
 To siostra na giaura pościeli!

Gdy krew jój rodziny o pomstę ją wzywa,
 Gdy brat jój szaleje z tęsknoty,
 Ta w wroga objęciach spokojna, szczęśliwa!
 Z psem giaurem podziela pieśczoty!

Ha! oto ją macie! — i zerwał zasłonę —
 Uświęćcież jój z giaurem małżeństwo! —
 I wraz całe plemię nademną schylone
 Przekleństwo ci! — woła — przekleństwo!

Żyj córko wyrodna! żyj wiecznie shańbiona,
 Dla drugich postrachu, przykładu! —
 Od wszystkich zbrzydzona, od wszystkich wzgardzona,
 Ha! nawet od zwierza i gadu!

I wszyscy zniknęli — i wszystko przewiało
 Jak widma sennego marzenia —
 Lecz w sercu, lecz w duszy na wieki zostało
 Przekleństwo całego plemienia!

I zrywam się z miejsca siłami wszystkimi,
 By ukryć gdzie moje męczeństwo —
 Daremnie! daremnie! tak ciężę ku ziemi!
 Tak gniecie mnie braci przekleństwo!

A ziemia podemną tak huczy, tak gore,
 Jak lawy eblisów potoku! —
 I słyszę głos ziemi: weź! weź tę potworę!
 Ja niechęć jej dźwigać proroku!

W tém zawył huragan — nadzieja pogrzebu!
 Gdy na mnie zatrzymał wzrok hardy,
 Osłupiał ze zgrozy — i buchnął ku niebu
 I minął z uśmiechem pogardy!

Ha! słyszę — zgłodniały tam szakał się wścieka,
 On skończy to moje męczeństwo!
 Przyskoczył — i zadrzał! — ze wstrętem ucieka
 A wzrokiem mi ciska przekleństwo!

I sęp mnie omija i gadów gromada —
 Tak brzydzą się dotknąć niegodnej!
 I syczą żądlami: ha! biada ci! biada!
 Przekleństwo Arabce wyrodněj!

A ciało mi pali i głód i pragnienie!
 A duszę mi pali zgryzota!
 A niema lekarstwa na moje cierpienie
 Ni końca takiego żywota!

Bo wiecznie, ach! wiecznie trwać mają katusze!
 Bez przerwy od słońca do słońca!
 Choć w palmę zaklęta ja przecież czuć muszę
 I czuję męczarnie bez końca!

A na tom jest palmą, by chłodem i cieniem
 Wędrowców do siebie zapraszać,
 I życia mojego okropnym wspomnieniem,
 Słabnących, od zbrodni odstraszać.

Słuchajcież! słuchajcie arabskie dziewice!
 O! strzeżcie się giaurów ponęty!
 Pomnijcie na waszą wyrodną siostrzycę!
 Pomnijcie o palmie przeklętej!

Słuchajcie mnie siostry i wiedźcie za młodu,
 Że zbrodnią jest z giaurem małżeństwo!
 Że kiedyś staniecie przed sądem narodu!
 A straszne jest jego przekleństwo!

Jarosławiec 1845. r.



ODPOWIEDŹ WENECJANINA

(na wiersz *Edmunda Chojeckiego*, umieszczony w *Bibliotece Warszawskiej* r. 1845.)

Przedrukowany w *Gęśli* jego.

.... Nad tą Wenecją niegdys tak dumną
Dzisiaj zaguby anioł ulata —
Gród, bohatera zdaje się trumną,
Z której popioły wicher rozmiata,
Znać wielkość wysła gdzieś na tułactwo
Ostatki przemoc w okowach trzyma,
▲ władcy miasta to jak robactwo
Zagryzające trupa ołbrzyma. —



ojczyznę moję trupem nazwałeś!
A ja ci mówię: bluźnisz młodzianie!
Niedziw! salonów okiem patrzałeś!
Na oko mistrza czyż cię niestanie!

Dziś głosić fałszów już się nie godzi!
 Niezartuj z wiary! — przypatrz się lepij!
 Tu nie o ciebie jednego chodzi!...
 Są inni ślepi!... słuchajcież ślepi!

Czyż niesłyszycie jak fala grzmiąca
 O most *) uderza wygięty łukiem?
 Jakiś jęk z fali mięsza się hukiem...
 Ten jęk... to echo westchnień tysiaca!
 Tu małowierni przyłożcie dłonie,
 Jak ów Apostoł do rany bożej,
 A wnet wam serce żarem rozplonie
 I anioł światła oczy otworzy.

I usłyszycie tętno po tętnie...
 Bo tu się zbiegło życie olbrzyma!
 Tu serce bije silnie, namiętne,
 Aż fale burzy i most wydyma!
 I gdzieś tajemną wulkanów drogą,
 W Szpilbergu krzepi duch Carbonara,
 I w tron Habsburga bije złowrogo
 Aż drzy korona na łbie cezara!

*) Most zwany mostem jęków — więzienie ofiar politycznych — i w Cy-tadelli Warszawskiej jest most podobny.

Coś tam bluźniłeś i o tułactwie,
 Że z niem ubiegło ostatnie tchnienie!
 I to nieprawda! już nie w żebractwie
 Dziś wie Wenecja w czém jój zbawienie!
 W czém? czy chcesz wiedzieć? wynijdź z salonów,
 Zstąp nocą w skromną łódkę rybacką,
 Tam pośród jędrnej muzyki tonów
 Usłyszysz piosnkę życia — prostacką!

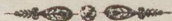
„W letargu leży olbrzym uśpiony,
 A wróg śpiącego w jarzmo zaprzęga,
 I dawniej jego chwale urąga
 I krzyczy: umarł! już pogrzebiony!
 A ślepi wierzą — a słabi płaczą!
 Lecz wieszcz wie dobrze, że tylko drzémie!
 Precz mi z żałami! precz mi z rozpaczą!
 Wstawaj olbrzymie! wstawaj olbrzymie!

I olbrzym zadrzy całym ogromem —
 I wieko trumny złamie jak drzazgę!
 A rozjuszony przeszłym swym sromem
 Te szczątki jeszcze zdruzgoce w miazgę!
 A to robactwo, co go toczy,
 Na które patrzysz z takim przestraczem,
 Choć takie mnogie! za ledwie zoczy
 Strząśnie i zgniecie jednym zamachem!

Błogosławieni ci, którzy wierzą,
 I mężném sercem trwają do końca!
 Bo oni tylko niebo odziera,
 Ujrzą promienie zbawienia słońca!
 Błogosławione święte ofiary,
 Któremi nasza ziemia się krwawi!
 Takie jest naszój wyznanie wiary
 I taka wiara wkrótce nas zbawi!

Lecz wiara martwa gdy dłoń próżnuje!
 Więc zgodne z wiarą niech będą czyny.
 Patrzcie! Sycylja już dzwon gotuje
 Wezwać na nieszpór Italji syny!...
 Więc gdy uderzy... dalej z wiosłami!
 Śmiało a razem sieć zarzucajcie!
 Przekleństwo temu, kto niejest z nami!...
 A teraz bracia! — cisza!... słuchajcie!...

Jarosławiec 1845. r.



DO BRACI LEKARZY.

Ludzkość choruje! — wołają lekarze —
 I źródło złego upatrują w ciele;
 Więc ten namaszczać, ów krew puszczać każe,
 Tamten cudowne wymyśla kąpiele;
 Radzą i piszą — i piszą i radzą —
 Ale te leki na nic się niezdadzą!

O! ludzkość cierpi! choruje okropnie!
 Ale zaprawdę, nie ciałem lecz w duchu!
 Cieleśna rada niczego niedopnie!
 Duch z paraliżu wezwijcie do ruchu!
 Ducha ratujcie! bo w strasznych suchotach!
 I tak go mało w dzisiejszych żywotach!

Duch ten po całym rozlany wszechświecie —
 W wnętrznościach ziemi, w łonie zimnej fali,
 W kielichach kwiatów, lodowych gór grzbiecie,
 Zaklęty słowem, płomieniem się pali;
 Bóg wlał go wszędzie w tajemnej iskierce,
 Nawet w człowiecze, w najzimniejsze serce. —

Otóż tę iskrę z serc, jakby z krzemienia
 Trzeba wykrzesać, wydmuchać w popiele,
 I wydobytą roztląć do płomienia
 I płomień rozdać po ludzkości ciele.
 Płomień miłości! tylko on wyleczy
 Chorobę twoję, o! rodzie człowieczy!

Jeśli na drodze życia napotkacie
 Chorobę straszną, nazwaną zwątpieniem,
 Nerozpaczajcie o cierpiącym bracie,
 Och! nierzucajcie na niego kamieniem!
 Spróbujcie wprzód czy w tém zimném łonie
 Skryta miłości iskra nierozplonie!


Bijcie w to serce jak w łono krzemienia
 Czarem wszechmocnym przyjaźni, miłości,
 Nućcie mu szczytne wieszczów naszych pienia,
 Mówcie o ojców cnotach i wielkości,
 Wskażcie mu drogę, co do nieba zbliża,
 Drogę zbawienia Cołgoty i krzyża!

Po tém na chorém sercu kładąc dłonie
Wymówcie nagle imie . . . przenajświętsze,
Ha! jeśli wtedy niezawrzy w tém łonie
Życie ogniste, silne, najgorętsze
Rzućcie ten potwór! mijajcie zdaleka!
Och! bo to tylko parodja człowieka!

Warszawa 1845. r.



SPOWIEDŹ PRZED ANIOŁEM.


 dym w samolubnym ducha oslabieniu
 Pod wlasnych cierpien upadal ciezarem;
 I bluznil niebu w grubym zaslepieniu,
 Ze mnie przeciazala boleści nadmiarem;
 Ty mnie Aniele uslyszales w niebie
 Podales rękę — i wzniosles do siebie!

Dzisiaj juz widze samolubstwa małosć!
 Zycie? — to przejście! — to zaslugi pole!
 Sercem objalem dzis, ludzkości całosć,
 W bolach ludzkości zmlkly wlasne bole, —

Ja'm nieśmiertelność zbadał i zrozumiał!

Ja dzisiaj kocham, jak nigdy'm nieumiał!

Dzisiaj — już skarga ust moich nieplami —

Jeżeli płaczę — to już nie nad sobą,

Jeżeli płaczę — to Chrystusa łzami!

Ja'm już nie człowiek! ja'm już nie osobą,

Ja'm dzisiaj tylko uczuciem! — miłością! —

Uczuciem wielkiem, cierpienia wielkością!

Ogromem czucia — do nieba się wnoszę —

Ogromem bólu — do ziemi przykuty —

Boleścią braci skróć serca przekluty

W mękach, niebiańskie przezezwam rozkosze.

Przez ciebie wielki — przez ciebie wzniesiony,

Umiem dziś kochać i czuć za miliony!

Ale niezawsze! — och! jeszcze są chwile

Głosu ziemskiego pragnienia — tęsknoty:

Za uczuć tyle, za męczarni tyle,

Nigdyż ni jednej niedoznam pieszczoty!

Ani jednego tkliwego spojrzenia!

Ani jednego z serca uściśnienia!

Niegardź mną za to! — głos ten przeraźliwy
 Ja klęę, potępiam, odpycham od duszy —
 I kiedyś duch mój w walce uporczywój
 Musi go stłumić, na wieki przygłuszy,
 Już nigdy w głębi serca się niezbudzi,
 I jak ty, będę aniołem dla ludzi!

Spowiedź tę moję czynię w obec ludu —
 Umyślnie głośno i w szczerości ducha,
 Bo mam nadzieję, czekam prawie cudu,
 Że kto mnie z braci pojmie i wysłucha —
 I mojem czuciem do nieba się wzbije,
 I chrztem braterstwa dla braci odżyje.

Wiém ja, że w tłumie znajdują się krzykacze,
 Co mnie wyszydzą, potępią z pospiechem —
 Żli bracia moi! ja nad wami płacę
 Nietylko łzami — nawet... nawet śmiechem!
 Śmiechem serdecznej boleści, szaleństwa,
 Co się niemoże zdobyć na przekleństwa!

Czemuż niemoże? — Gdy mistrz nad mistrzami
 Napotkał drzewo, co nic nierodziło,
 To je potępił przekleństwa słowami!
 I drzewo uszło, w popiół się zmieniło!

Och! kto miłością serca nieocuci,
 Jak owo drzewo w popiół się obróci!

Nieplodne drzewa! — o! jest nieśmiertelność!
 Ale nie dla was! — jój dobić się trzeba
 Życiem poświęceń i przez ducha dzielność,
 I miłość wielką, czystą, godną nieba!
 Jest nieśmiertelność — ale dla miłości!
 Jest i nicestwo — tylko dla nicości!

Warszawa 1836. r.



NASZA PIEŚŃ.

Kto ma uszy ku słuchaniu,

Niechże słucha i rozumie!

Kto ma ręce ku działaniu,

Niechże teraz działać umie!

Bo wam mówię głosem Boga!

Czas na wroga! czas na wroga!

Czas rozpocząć bój piekielny,

Nam weselny, im śmiertelny!

Taką moja pieśń dzisiejsza

Z najświetniejszych najświetniejsza!

Ja'm dla niej trudów nie skąpił!

Ja'm ją marzył całe życie!

Ja'm dla niej do piekieł zstąpił,

I karmiłem się obficie

Głosem polskich oblubienic,

Min sibirskich i szubienic!

Jękiem mogił, więzień ciemnych,
 Tylu cnót i mąk daremnych!
 Aż pierś moja zolbrzymiała
 Jak Polska, jak ludzkość cała! —
 Wlałem w nią wszystką krew polską,
 Krew męczeńską, apostolską,
 Z nią stanąłem w niebios progu,
 Rozlałem — i rzekłem Bogu:
 Ach! tyle łez! ach! tyle krwi!
 Nie dośćże już? nie dość ci?!
 I Bóg dał mi pieśń dzisiejszą
 Z najświetniejszych, najświetniejszą!

Pieśń ma — to nie Konradowa
 Owa gwiazda zaświatowa,
 Którój twórca wyrzekł w dumie,
 Że jój ludzkość nie zrozumie!
 A nam co po téj gwiazdzie?!
 Nam potrzeba innéj gwiazdy,
 By świeciła naszej jaździe,
 Była duszą naszej jazdy!

Taką moja — towarzysze!
 Ja widzę ją, czuję, słyszę!
 Jeśli i wy widzieć chcecie,
 To spojrzycie po wszechświecie!

Wszystkie ludy w jarzmach — drzemią!
 Drżmiąc jęczą — a nad ziemią
 Noc ponura — noc bez końca,
 Bez księżycy i bez słońca!

Ciemność! — nagle jak w przezroczu

Uczuciem natchnionych oczu

Błyska iskra — iskra mała,

Jakaś iskra elektryczna —

I po śpiących się rozlała,

I po sercach się rozlega,

I wciąż bieży — wciąż żażęga —

I jak nitka galwaniczna

Serc tysiące, serc miljony

W jednej chwili łączy, pali!

Już z iskry pożar wzniecony

Bucha lawą wrzącą fali!

I z narodu do narodu

Strzela iskrą pełną płodu!

A naród jak słup ognisty

Wnet wybucha jasny, krwisty!

Ile było ludów trupów,

Tyle teraz świetlnych słupów!

Ha teraz na niebios szczycie,

Na ciemnym wielkim błękiecie

Całą pieśń naszą zobaczycie!

Bo każdego ludu truna
 Spalona świeci jak luna! —
 Każda luna grobów pleśni,
 To tylko zwrotka méj pieśni!

A każda rośnie i sunie,
 Toczy się luna ku lunie —
 Jedna z drugą mięsza, sprzęga
 Na tle ciemném widnokręga,
 Jakby jedna wielka wstęga,
 Jakby krwawe pół obręcza!
 To tęcza! to boska tęcza!
 Ona nam wolność zaręcza!
 To łuk tryumfu nad wrogiem!
 To przymierze ludów z Bogiem!

To pieśń moja! — to początek!
 Chcecież wiedzieć, jaka nuta?
 Nuta pieśni jak jój wątek
 Na łonie Boga usnuta!
 Z razu jak szept potajemny,
 Jakby głuchy gwar podziemny,
 Jak zdrój szemrze, jak rój szumi,
 To się wzmoże — to znów słumi.
 O! nie wiercie takiej ciszy!
 Taka cisza gromem dyszy!

Ha! — mówiłem! — czy słyszycie
 Grzmot rozgłośny i szcęk głuchy,
 Niby strzaskane łańcuchy . . .
 To ludu rozpekło łono
 I bucha zemstą tajoną,
 Tajoną długo i skrycie!
 To lud-wulkan pękł z łoskotem,
 I na drugie woła grzmotem!
 I wulkany rzędem długim
 Pękają jeden po drugim!

Każdy wulkan rozpękniony
 Oczyszczony z jarzma pieśni,
 To tylko zwrotka méj pieśni,
 Pieśni wielkiej, nieskończonej!
 Czy słyszycie, jak grzmią zgodnie?
 Piewcy godnie! niebios godnie!
 One teraz rozmawiają
 Jednym tonem i akordem
 One świata pokój grają
 Jedną nutą — jednym mordem!
 Ten chór ludów, chór wulkanów,
 To requiem dla tyranów!

To część pierwsza mojej pieśni
 Większej nawet Chrystus nie śni!

Nic równego i nic nad nią,
 Ani przed nią, ani po niej!
 Jest jednością i wszechwładnią,
 I ostatnią w dziejów toni!
 Bo w méj pieśni — wszechmoc cudów!
 Koniec męczenniczych trudów!
 Pieśń moja — zbawieniem ludów!
 Wszyscy przyszli wieszczę, piewcy,
 Naszej Polski niepodzielnej,
 Będą to tylko rozsiewcy
 Ziarn méj pieśni nieśmiertelnej!

Lecże teraz święta pieśni!
 W serca braci lawą wbież!
 Z samolubstwa oczyść pleśni,
 A miłości pożar szersz!
 Rozdmij w płomień, co przygasło,
 Wszystkie serca w jednią zwiąż!
 By na jedno słowo, hasło,
 Naród wstał, jak jeden mąż!

Choć pierś wieszczą kat rozdusi
 Pieśni mej nie przytłumi!
 Bo pieśń moja zagrzmieć musi!
 Lud ją pozna i zrozum!

Choć wieszcz skona — bez zawodu
 Koniec będziecie słyszeli! —
 Dośpiewa ją duch narodu!
 Gdzie?.. na gruzach Cytadeli!
 Na jój działach zagwoźdżonych,
 Na jój murach wysadzonych!

Cała ludzkość ją usłyszcy
 I odwórtzy wam z pośpiechem
 I z wami się stowarzyszcy
 Jednym tonem — jedném echem!
 Na wszech berłach podeptanych!
 Na wszech tronach zdruzgotanych!

Ja dziś siłą mojej pieśni
 Nieskończoność ogarnąłem —
 Kiedy ludzkość sen swój prz śni,
 Koniec méj pieśni donóci,
 To pieśń ma do Boga wróci,
 Bo z piersi Boga ją wzięłem!

Warszawa, na dni kilka przed wybuchem 1846. r.



PODOBIENSTWO ROZSIEWCE.

(Z EWANGELJI.)

Wyszedł rozsiewca i siał pełną miarą
 Nasienia zdrowe z nadzieją i wiarą —
 A jedno ziarno na opokę padło,
 Kędy niemogło zapuścić korzenia,
 Więc skwar je spalił i ptastwo wyjadło —
 Pożał się Boże pracy i nasienia,
 A drugie padło na niesprawną rolę,
 Z razu ją bujnym umaiło listkiem,
 Lecz razem zeszyły chwasty i kąkole,
 I bezowocnie zginęło ze wszystkim!
 A trzecie padło na grunt pożądanym,
 Wdzięczny i trudów rolnika pamiętny,
 I tam wydało plon oczekiwany
 Jedno trzydziestny, drugie szczęśćdziesiątymy.

O! bracia moi! jak ziarno rozsiewcy
 W niwę serc waszych pada słowo piewcy —
 Lecz jedne serca twarde jak opoka,
 Niejeździe na nich żadna myśl głęboka,
 Żadne rodzajne słowo się niewciśnie,
 Żadne uczucie kielkiem niezabłyśnie,
 Najświętsze ziarno po nich się ześliznie,
 Jak na opoce, albo na mieliznie!

Drugie, słów życia słuchają z ochotą,
 Z początku wrożą korzyść szczerozłotą —
 Biedny rozsiewco! nieciesz się nadzieją!
 Tu słowa twoje nigdy niedojrzeją!
 W godzinie czynu wszystkie w nich przygłuszy
 Chwast samolubstwa i małości duszy. —

Lecz nierozpaczaj — bo są serca prawe,
 Co ziarno twoje przyjmą aż do głębi,
 Tam żadne chwasty niedojdą plugawe,
 Skwar niewypali i mróz niewyziębi!
 Wiesz, gdzie ich szukać — a więc pracuj śmiało —
 Trzeba je mnożyć — ach! bo tak ich mało!

Jarosławiec, 30. Maja 1846. r.

PIOSNKA ROLNIKA.

(W IMIIONNIKU.)

Cudnie, cudnie słowik śpiewa

W noc majową z brzaskiem dzionka —

Lubą rzewność w serce wlewa,

My jednak woli'm skowronka,

My rolnicy, o! dziewico!

Nas popchnięto drogą łzawą;

Z bólem serca i tęschnicą

Orać musim ciężko, krwawo!

Innym rozkosz — dla nas trudy

Bez spoczynku i ochłody

Zeschłe skiby, twarde grudy,

I zawody! wciąż zawody!

Gdy się strudzą bracia moi,

Gdy zwałpienie pierś rozrywa,

Któż nadzieją ich napoi?

Kto pioszeczkę im zaśpiewa?



Któż pospieszy ulżyć przecie
 Upojenia jedną chwilką?
 Żaden słowik! nikt na świecie!
 Skowroneczek jeden tylko!
 Gdy się z piosnką w górę wzbije,
 Patrząc za nim — niebo widzimy —
 I znów w dłoni moc odżyje —
 I znów śmiało z cierpień szydzimy.
 Komu przyszłość nie jest droga
 Dla próżniaków niech głos traci —
 Tobie każe wola Boga
 Być skowronkiem dla twych braci. —
 Dla półbożków wypieszczonych
 Zostaw miękką pieśń słowika,
 Nas, rolników wciąż zwodzonych
 Śpiew twój wiarą niech przenika,
 Jak skowronek dzwoń nadzieją
 Głos twój cały nam poświęć,
 Och! bo nieraz siły mdleją! . . .
 Więc pokrzepiaj i zachęcaj!

Jarosławiec 1846. r.



WIEZIEN DO ZBIROW.

(Na ścianie cytadelskiej celi w 1847. roku.)

I cóż mi jeszcze więcej wydrzecie?
 A! przyjaciółkę! fajkę sultanke!
 Prawda — lubilem! — ależ na świecie
 Zły los mi wydarł miłszą kochankę!
 Dziś kiedy wspomnę przeszłe z nią chwile,
 Obecność znika, boleść się zmniejsza —
 Bo ileż wdzięków! dobroci ile!
 Tylko ty mała byłaś wierniejsza...
 Chciałbym cię jeszcze dłużej smakować —
 Ale żałować?... ho! ho! żałować!...

Cóż więcej?.. ciebie kitajski czaju!
 Prawda — lubilem! — czasem bez miary!
 Lecz choćbyś nawet szedł prosto z raju,
 Milsze ja stokroć piłem nektary!
 W gronie rodziny, w przyjaciół kole,
 Pod skromną strzechą wiejskiego dachu,
 Z szklanką świeżego mleka na stole,
 Z twoich sorbetów drwiłbym Allahu!

Chciałbym cię w prawdzie dłużej smakować —
 Ale żałować?... ho! ho! żałować!!..

Cóż więcej?.. ciebie koteczko mała
 Mimo czasowych *) aż tu się wkradła,
 Nieraz mnie psotą rozweselała,
 Lecz wczoraj przy mnie myszkę zajadła!
 Dusząc, tak słodkie miała spojrzenie
 I takie ruchy czysto niewieście...
 Że mi wspomniała... precz to wspomnienie!
 Nielubię kotów! — weźcie ją! weźcie!
 Samego, chwilkę mogła zajmować,
 Ale żałować? ho! ho! żałować!!..

*) Żołnierz przy drzwiach eeli stojący zmieniający co godzina.

No! już nic więcej!.. a!.. książki jeszcze!
 Marzenia zbite w okładki ciasne!
 Czyż mało własnych przy sercu pieszczę?!
 Po co mi cudze, kiedy są własne?!
 Słodka trucizna! zda się, że wspiera,
 Że w serca braci miłość przeleje,
 A ona w mojem tylko pożera
 Wszystko!.. nakoniec nawet nadzieje!
 Chciałbym to opium dłużej przyjmować,
 Ale żałować?... ho! ho! żałować!..

No! już jak mędrzec obdarty'm teraz,
 Co szukał ludzi, a mieszkał w beczce —
 I ja szukałem — znalazłem nieraz
 Na milionach choć potroszecze.
 Tych żal mi szczerze — lecz nie dla siebie,
 Dla nich to samych, że się zostali!
 Bo wiem, że ciągle marzą o niebie,
 Tymczasem piekło pali i pali!
 Chciałbym was żywcem w niebo wpakować,
 Lecz gdy niemogę — muszę żałować!

Gdyście mi zbiry wydarły brata,
 Sieroty moje, cień własnej strzechy,
 Już nieznajdziecie w obszarach świata,
 By mi ją wydrzeć, żadnej uciechy!

Mniejsza przyjemność lub męka ciała

Mojego serca pewno niewzruszy,

Bo żeby moja dusza bolała,

Na to sercowych trzeba katuszy!

Kto wszystko swoje w grób musiał schować,

Czegoż ten w świecie może żałować!

Warszawa 1847. r.



ŻYWY — TRUP.

*(Na ścianie Cytadelli Warsz. przypisany Janowi Majorowi-
czowi Mazurowi, dziękując za przysłane mi tam dziełko
jego Historja literatury.*

Pod miastem mogiła leży
Przy niej smutnie Wisła bieży,
A w mogile — cud prawdziwy,
Niby trup — a jednak żywy!
Cud? niewielki! — bo na świecie
Dużo tych cudów znajdziecie!

A trup patrzy przez mogiłę
I nadzieję w sercu budzi —
— „Widzę ludzi! dużo ludzi
I znajomych lica miłe,
Przyjaciele idą do mnie,
Każdy westchnie, każdy wspomnie.

Ale ludzie przeszli drogą,
 O trupie myślić niemogą,
 Niema czasu — żywot krótki —
 Po co darmo wzniecać smutki?
 Kto umarł, niechaj spoczywa,
 Kto żyje, niechaj używa!

Trup jęknął w chłodnej pościeli:
 Zapomnieli! zapomnieli.

Aż ktoś idzie naostatek
 Bładych lic, smętnego czoła
 Obejrzał się dookoła,
 I nieznacznie rzucił kwiatek —
 Lecz ni chwili niepostoi —
 Czy i on się trupa boi?

Żywy trup pomyślał w grobie:
 Dzięki bracie! dzięki tobie!
 Tylu przeszło, nikt niewspomnie!
 Tyś jeden przypomniał o mnie!



CZEŚĆ SZALEŃCOM!

(Wolny przekład z Berangera na ścianie cytadeli.)

Nakształt cynowych żołnierzy
 Wszyscy trzymamy się szyku —
 Gdy z niego który wybieży:
 — „Precz z szaleńcem! pełno krzyku.
 Prześladują go i krwawią,
 Zabiją lub umrze z głodu,
 A potem pomnik mu stawią
 Dla sławy ludzkiego rodu!

Każda prawda mnogie lata
 Błąka się czysta dziewica! —
 — „Precz z nią!“ krzyczą ludzie świata —
 Mędrzec woła: „zakryj lica!“:

Aż szaleniec ją spostrzeże
 I matce boskiego płodu
 Oddaje życie w ofierze
 Dla szczęścia ludzkiego rodu!

Sę Simon dla szczęścia braci,
 Goniąc za lubém marzeniem
 Skarby traci, zdrowie traci,
 Nieulega pod zwątpieniem!
 Infantina nieodstrasza
 Przyszłość zbyt smutna niestety!
 I śmiało światu ogłasza
 Wolność i równość kobiety!

Pod szyderstwami waszemi
 Giną obaj — wielcy szalem!
 O! panowie! szczęście ziemi
 Jest tylko waszym udziałem!
 Lecz gdy się całkiem dostaje
 Wam tylko, wam tylko jednym,
 Cześć szaleńcowi, co daje
 Choć sen szczęścia ludziom biednym!

Nowy świat z ciemności łona,
 Kto? szaleniec wydobywa!
 Szaleniec na krzyżu kona!
 Dziś świat Bogiem go nazywa!


Gdyby jutro słońca szlaki
 Wiecznej nocy skryła szata,
 Jeszczeby szalenięc jaki
 Znalazł pochodnię dla świata!

1847. r.



TO NIE MIŁOŚĆ.

(W Cytadelli Warsz.)

 ! znam ja miłość! znam te dziwne boje!

Ciągle pragnienia, ciągle niepokoje!

A mnie przy tobie płyną życia chwile,

Jakby obłoczki na pogodnym niebie;

Tak słodko-tęszno, tak cicho, tak mile!...

O! nie! ja niekocham ciebie!

O! znam ja miłość! tę żądzę niesytą!

Z wieczną obawą, z zazdrością ukrytą!

A ja się twojej zmienności nielekam —

By zyskać względy nawet niepoehlebię —

O nic nieproszę, nieżebrzę, nielekam!...

O! nie! ja niekocham ciebie!

O! znam ja miłość! w niej, ręki ścisnienie
 Skryte by zbrodnia, pali jak płomienie!
 Ja, gdy na uścisk podaję ci dłonie
 W chwili cierpienia w sercowej potrzebie,
 To jawnie, szczerze, i ręka niepłonie!...
 O! nie! ja niekocham ciebie!

O! znam ja miłość! — żar! a wszystko studzi!
 Bo każe Boga zapomnieć i ludzi!
 Ja, choć sam z tobą, pamiętam o braciach,
 O wszystkich braciach, o Bogu i niebie,
 Umarłych nawet wskrzeszam w ich postaciach!...
 O! nie! ja niekocham ciebie!

O! znam ja miłość! — wciąż o sobie mówi —
 A choć wciąż mówi, nigdy niewysłowi —
 Ja, jeśli jeszcze niebo mnie zachowa,
 Jeśli się jeszcze ujrzy'm obok siebie,
 Wiem, o miłości nierzeknę i słowa!...
 O! nie! ja niekocham ciebie!


Nawet po skonie — w północnej godzinie
 Błądząc z duchami po lubej krainie,

Gdy jak sen wionę nad twojém wezłowiem
I wtedy nawet choć już po pogrzebie,
Choć jak sen tylko — kocham cię — niepowiem!...
O! nie! ja niekocham ciebie!

1847. r.



J E S I E Ń.


 tóż i jesień! — puste w koło pole
 Każdy gospodarz uszedł z swoim plonem —
 Czegoż sam jeden patrzę w moją rolę
 Czegoż wyglądam z sercem rozteschnioném?
 Czego?! mój Boże! wszakżeż i ja siałem
 Nasienie zdrowe i wcześniej i wiele —
 Dotąd i ziarnka jeszcze niezebrałem! ...
 O! smutna moja jesień — przyjaciele!

I w serce moje już zajrzała jesień:
 Żąda na zimę owoców, korzyści —
 Moje korzyści!! — z najświętszych uniesień
 Garść zeschłych cierni i powiędłych liści!
 Jaki w stodole, i w sercu plon taki!
 A u sąsiadów śmiechy i wesele....
 Im ciepło, tuczno!.. szczęśliwe ślimaki!..
 Kto zmną idzie orać? przyjaciele!

O! arcymistrzu! wierzę słowu twemu,
 Że inny zbiera, a nie ten co sieje!
 Że Bóg w zapłacie rozsiewcy biednemu
 Zostawił tylko wiarę i nadzieję! —
 Błogosławieństwo dałeś opuszczonym,
 Smętnym pociechę przyrzekłeś w podziale —
 Więc z łzą otartą, z czołem rozjaśnioném
 Ja jeszcze idę orać — przyjaciele!

Gdy mnie do reszty zły los sponiewiera,
 Może mi w końcu naród wieniec przyzna —
 Smutna nagroda! wiem od Beranżera,
 Że w każdym wieńcu musi być trucizna!
 Jak wielki Stefan w śmiertelnej już dobie
 Powiem: za późno dobroci tak wiele
 Czoło opada — połóżcie na grobie!
 Bądźcie szczęśliwsi drodzy przyjaciele!

Jarosławiec 1847. r.



TERESSIE z KARSKICH KOSSOWSKIEJ

w dowód wysokiego szacunku i przyjaźni.



LEBENS- u. KENNZEICHEN KÖNIGSBERG

VERLAG VON ...

KWIAT TAJEMNICZY.



dy po raz pierwszy bratobojcze ciosy
 Krwią Abła ziemię skalaly dziewiczą
 W téj krwi, ludzkości przewidując losy
 Anioł, syn niebios, zapłakał z goryczą;
 A ta łza czysta, jak Chrystusa słowo
 Padła na ziemię kroplą brylantową.

I wnet wystrzela kwiat dotąd nieznanym
 Cudnego blasku, cudnego uroku!
 Cały promienny, cały malowany,
 A barwy dziwnej, niepojętej oku,
 Bo drga, migoce i ciągle się mieni
 W tysiące blasków, tysiące odcieni. —

Woń tego kwiatu w czyją się pierś wkradnie,
 Ten już na zawsze spokojność utraci —
 Jakaś go dziwna tęsknota owładnie
 W ludziach — rodzonych szukać będzie braci,
 A gdzie tkliwemi powiedzie oczyma
 Ujrzy . . . śmiech tylko! i serca Kaima!

Wtedy ucieknie od ludzi — by w chacie,
 Ot! jak ta moja, smutnej, opuszczonej,
 Po wiary stracie, po nadziei stracie
 Konać w boleści długiej, utajonej;
 A serce zacznie rdzawieć mu powoli,
 Ach! i tak boleć jak mnie dzisiaj boli!

Wszak straszny, prawda, jad takiej trucizny,
 Co takie długie sprowadza męczeństwo?
 I całe życie młodzieńcze mężczyzny
 Zamienia w jedno bolesne szaleństwo
 A ta trucizna okropna, straszliwa . . .
 Ona się bracia! — miłością nazywa!

Miłość! . . o! Boże! Twoje arcydzieło!
 I wszystkich Twoich arcydzieł korona
 Wszystko co wielkie z niej początek wzięło,
 Wszystko co mądre — dąży do jój łona!
 Czemuż przeklęty, przeklęty na ziemi,
 Kto ją rozżarza piersiami własnymi?!

Miłość!!.. Chrystusie! treść twojego słowa!
 Twojej nauki boskie podścielisko!
 Dotąd ją kryje szata purpurowa...
 Twoja krew! boleść! Izy! i pośmiewisko!..
 Gdzie stanąć miały twój budowy ściany,
 Dotąd krzyż tylko świętą krwią zbryzgany!

Miłość!!.. okropna trucizna Tofany!
 Nieuleczone, boleśne szaleństwo!
 A kwiat je rodzi, kwiat zaczarowany....
 Więc temu kwiatu trzeba dać przekleństwo?
 Więc ten kwiat straszny należy wypłenić,
 Wyrwać ze szczętem — z gruntu wykorzenić?

Był przecież naród dziś skarłowaciały,
 Co tak otrutych wielbił i miłował,
 Co tak otrutym dawał wieńce sławy,
 Słowa ich w sercach jak wyrocznję chował —
 A kwiat ten dziwny w Micjadesa mowie
 Kwiat ten o! bracia! poezją się zowie. —

Jarosławiec 1847. r.



EMIL DEBRAUX.

Z Berangera.

(Piosnka ta wyszła jako prospekt przy wydaniu piosnek Emila Debraux, którego sławna: *Te souvienta?* przełożona na wszystkie języki.)

Biedny nasz Emil przemknął się przed nami
Jak cień, cień drogi wesołej drużynie!
Lecz wprzódę ziemię zasłał piosenkami
Jak liść akacyi gdy jesień nadpływie. —
Lat dziesięć żartom panował udzielnie
Miejskim i wiejskim chorom rozkazywał,
Z karczmy do karczmy tocząc się weselnie
Biednego ludu miłość wyśpiewywał.

Żartując z biedy śród wrzawy i huku
Wesoł aż zazdrość, wesoł jak szalony,
Patrząc na życie śmiał się do rozpuku
Jak na szum wina z beczki rozsadzonej.

Głupców bezdusznych zawsze odgadywał,
 I choć wielmożnych, śmiało wyświstywał,
 Niespytał nawet o drogę do tronu,
 W przyjaźni z ludem wytrwał aż do skonu.

Więc miał majątek? bo z kąd radość taka?
 Gdzie tam panowie! on mieszkał na strychu!
 A czas, wśród żartów i śpiewów i śmiechu
 Darł, darł potrochu kapotę śpiewaka!
 Zimą, w ognisku niema ani drewna
 Na szybach, z mrozu połyskują kwiaty —
 On drzy od zimna, lecz myśl jego śpiewna
 Leci z pociechą w biedne ludu chaty!

Łzy oczu pańskich troskliwie zliczono;
 Ale łzy ludu... Bóg tylko przeliczy!
 Francja naówczas swoją cześć straconą
 I twojej sławy płakała zwodniczej;
 Emilu! blaskiem dzieł prawie bajecznych
 Tyś wtedy karczem uszlachetniał pienie!
 W karczmach to, sława znalazła schronienie!
 Bo lud nasz biedny tak lubi walecznych!

Tak jeszcze młodo wchodzi w dół grobowy
 Dla czegoż na mnie chwilkę niezaczeka! —
 Jakaż to wrzawa dochodzi zdaleka
 I czarne myśli odpędza od głowy?...

Jego to pieśni lud śpiewa w tój dobie
 Pieśni, co późna potomność odnowi —
 I któryż z panów zostawi po sobie
 Tak słodką pamięć biednemu ludowi?

Od jego matki kupujcie ten zbiorek
 O wy! wielmożni! i wielmożni jaśnie!
 Dla tylu wdzięków otwórzcie wasz worek,
 W nędzy, największy nawet gieniusz, gaśnie.
 Dla naszych śpiewów niebądźcie surowi
 Na lzy pomnijcie, które słodzim skrycie —
 By znieść los taki, jaki mu czynicie
 Potrzeba piosnek biednemu ludowi. —

Jarosławiec 1847. r.



SAMOBÓJSTWO

DWÓCH MŁODZIENCÓW

VICTOR'A ESCOUSSE i AUGUSTA LEBRAS

w roku 1832. miesiącu Lutym.

(Z *Berangera.*)



ięc obaj zmarli w tój izbie zamkniętej,
 Gdzie jeszcze ciężą wyziewy węglane! —
 A kwiat ich życia ledwie rozwinięty!
 Zabójstwo smutne! straszne! niesłychane!
 Zapewne rzekli: oto świat już tonie,
 Pobladły majtków i sterników skronie,
 Rozbity falą okręt musi zginąć
 Już się pogrąża — trzeba w pław przepłynąć!
 I w długą podróż dając sobie dłonie
 Wzlecieli razem ku niebieskiej stronie.

O! biedne dzieci! — echo jeszcze wtórzy
 Nutę, co brzmiała nad waszą kołyską!
 „Jesli mgła jaka ćmi blask waszój zorzy,
 Czekajcie słońca — mówiono — już blisko!

Oni odrzekli: — cóż że wiosny rosa
 Całą przyrodę wzbogaci, odmłodzi!
 My nic niemamy! drzew, kwiatów, ni kłosa!
 Nic!... czyż to dla nas złote słońce wschodzi!
 I w długą podróż dając sobie dłonie
 Wzlecieli razem ku rodzinnej stronie.

O! biedne dzieci! tak bluźnić szkaradnie!
 Starcy to czynią przez zazdrość jedynie —
 Bo któraż czara w młodości godzinie
 Świętej miłości niezostawi na dnie?
 Oni odrzekli: — miłość! sen aniołów!
 Najwyższe bóstwo z dziedzin ideału!
 Ołtarz jej został wśród ziemskich padołów
 Gdyśmy go tknęli... bóstwo było z kału!!
 I w długą podróż dając sobie dłonie
 Wzlecieli razem ku niebieskiej stronie.

O! biedne dzieci! — toż poroślszy w pierze
 Orłowie z czasem, — po falach błękitu
 Szydząc z piorunów, w górnej goniąc sferze,
 Mogliście sławy dosięgnąć zeniku!
 Oni odrzekli: — laur, w proch się obróci!
 W proch, który zawiść z wiatrami rozrzuci!

Choćbyśmy nawet wzbili się pod nieba
Zawsze do ziemi wrócić będzie trzeba!

I w długą podróż dając sobie dłonie
Wzlecieli razem ku niebieskiej stronie!

O! biedne dzieci! — jakiegoż cierpienia
Niesłodzi święta powinność spełniona?
Kraj, druga matka tuli nas do łona,
Sztandarem swoim spokojnie ocienia —
Oni odrzekli: — tak! ten znak laurowy
Oskłania wodza śpiącego w namiotach,
Lecz przy drzwiach jego biedny szeregowy,
Czuwa i z głodu umiera na czatach!

I w długą podróż dając sobie dłonie
Wzlecieli razem ku niebieskiej stronie!

O! biedne dzieci! — czarnemi widmami
Niańka wasz umysł musiała napoić —
Ależ Bóg świeci za temi chmurami!
Ta myśl powinna była was ukoić.
— „Ach! — spieszmy — rzekli — gdzie lśni ta pochodnia
I nieczekajmy, by to święte miano
Poniewierane jak imie przechodnia
Do szczętu z naszej duszy wymazano!

I w długą podróż dając sobie dłonie
Wzlecieli razem ku niebieskiej stronie.

Boże wszechmocny! przebacz ich szaleństwu
Przebacz rozpaczy młodych marzycieli,
Że twych praw świętych danych człowieczeństwu
Czy zapomnieli, czy też niewiedzieli!
Bo apostołów brak na naszym globie,
Którzyby rzekli, gdy kto siły traci,
Że niedość tutaj żyć samemu sobie,
Ze trzeba jeszcze żyć dla swoich braci!
I w długą podróż dając sobie dłonie
Wzlecieli razem ku niebieskiej stronie.

Luba 1847. r.



DO NARCYZY.

(Po przeczytaniu ję powieści umieszczonych w Przeglądzie Naukowym
Warszawskim.)

Czyj to głos słyseę po tak długiej ciszy?
 Czyj śpiew tak silny, że do mnie dolata?
 Może to który z dawnych towarzyszy
 Zateęchnił do mnie tam — z lepszego świata?
 O! nie! — choć silny — jest to głos kobiety!
 A jasny, świetny, aż serce weseli —
 Pod skromną szatą tętni pieśń poety!...
 Taka bogata!... ach! to Gabrieli!

I nagle brudna zazdrość mnie owładła
 I wzięła górę nad sercem, nademną, —
 Myślałem sobie: — w koło mnie tak ciemno,..
 Tak zimno, smutno, i biada bez końca!...

A ona?... proszę!..., zkąd ona wykradła
 Tyle brylantów? tyle złota? słońca?...
 A tak tym skarbem szasta!... i swawoli!...
 Ho! ho! znać dobrze, że serce nieboli!...

Myslałem długo — dziś już się nietroszczę,
 Już się nie dziwię — choć jeszcze zazdroszczę —
 Dziś już wiem wszystko! — nie twoje to dzieło!
 To jakiś gieniusz wznosił cię tak wysoko
 Nad nasze chmury — że już twoje oko
 Z kolebką słońca na równi stanęło; —
 I tak się bawisz blaski słonecznemi,
 Żeś zapomniała o bólach — i ziemi!

A Twe brylanty? to jest prosto... rosa!
 Którą kwiat raju skrapiają niebiosą —
 Masz ją pod ręką, zrzucasz, — a w przelocie
 Ścięta w kryształę chłodem biednej ziemi
 Z wszystkimi swemi barwy tęczowemi
 Spada przed nami jak brylantów krocie!
 Widzisz — wiem wszystko — mam twą tajemnicę!
 Opłać się dobrze — bo wszystkim wyświecie!

Wiek nasz — Narcyzo! — wszak wiesz — to nie głupiec!
 A on naucza — ten człowiek, kto kupiec!

Wszystko sprzedawać, nic darmo nietracić,
 Nawet z sumnieniem dla złota się rozstać...
 Więc tajemnicę musisz mi zapłacić!
 Przecież raz w życiu muszę mądrym zostać!
 Rozumni mówią, że'm wiek darmo strawił —
 Więc gwałtem trzeba, żeby'm się poprawił. —

A przedewszystkiém potrzebne mi — ciepło.
 Bo u mnie zimno! aż serce mi skrzepło!
 Gdy zacznę spiewać, to stężale dłonie
 Wciąż uderzają w jakąś tęschną nutę! — —
 I z pieśni zaraz takie zimno wionie!
 Takie grobowe, tak gorzkie, zatrute!...
 Rzuć mi garść myśli! — niech błysną przedemną!
 Niech mi choć chwilę niebędzie tak ciemno!

Przy twoich myśli niezemskim połysku
 Raz jeszcze zajrzę w serca mego tonie
 Może w tém zgasłych wulkanów siedlisku
 Pod chłodną lawą choć iskierka płonie!
 Może w téj piersi, w téj lutni zgniecionej,
 Choć jedna struna wyda dźwięki żywe!...
 Poświeć!... bo powiem ciżbie zadziwionej,
 Że wszystkie twoje brylanty... fałszywe!

P. St.

Rozmowę naszą ludzie usłyszeli —
Rzekli: — milcz lepiej, bo chwalisz za mało,
Oni, jak zwykle, i dziś niepojęli,
Że'm ani myślał czić ciebie pochwałą! —
Ja tylko widzę, że masz pełno słońca,
A u mnie ciemność i ciemność bez końca!
Idę więc k'tobie z tą prośbą serdeczną,
Choćby o jedną iskierkę słoneczną!



WŁADYSŁAWOWI DZWONKOWSKIEMU

współtowarzyszowi szkolnemu

i

związkowemu

serdeczny przyjaciel.

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

LIBRARY

1911

CHWILA
z
CZASÓW ŁOKIETHOWYCH,

(POWIEŚĆ MALOWANA.)



CHILIA

GRASSY BOUNTY

GRASSY BOUNTY

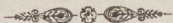


J
J
Z
A
V

PRZEDMOWA.

Mój przyjaciel był malarz — nim zasnął na wieki
 Oddał mi swoje prace, papiery i teki —
 Każda, jak to dziś widzę, jakąś powieść mieści —
 Poznać to po numerach i odmiennój treści —
 Szkice to historyczne z bardzo dawnych czasów,
 Najwięcej tam rycerzy i krwawych zapasów, —
 Ja'm nie znawca — to tylko widzę z tyłu planów,
 Że przyjaciel niebardzo miłował Germanów;
 A może téż pilnował barwy tamtowiecznej,
 Więc niedziw, że kładł czarną tam, gdzie niemógł mlecznej. —

Ja nic niewiem — sumiennie tylko rys po rysie
Jak widzę tak opiszę, — a w moim opisie
Rysownik i historyk będzie wyrokował,
Czy malarz wyrzekł prawdę czy téż pofalszował.



OBRAZEK I.

Noc — z łona srebrnych chmurek księżyc się wynurza
 Oświeca fale rzeki i nadbrzeżne wzgórza,
 I pole, co wnet zagrzmi krwawemi zapasy —
 Bo na niém dwa obozy, jak dwa gęste lasy,
 Stały przeciw sobie, czekając bezpiecznie
 Chwili, w której się wzajem uściskną serdecznie.

Pierwszy zaległ szeroko i groźnie pomiata
 Tysiącami sztandarów z wszystkich krain świata,
 Co na okup bogaty lub skargi zdradzieckie
 Zbiegły się pod namioty krzyżacko niemieckie.
 Drugi mniejszy — lecz śmiało oczekuje wroga
 Znać ufny w świętość sprawy i opiekę Boga. —

Gdy rzutem oka zmierzysz obu wojsk namioty
 Zda się, że to dwie tylko, olbrzymie istoty,
 Co nim strasznym ku sobie rzucą się poskokiem
 Wprzód mierzą się w milczeniu i słuchem i wzrokiem —
 A wzrok dziki, złowrogi, tak krwawo połyska
 Jak żar gorejącego w ciemności ogniska —
 I księżyc także patrzy — lecz jakby niechętny,
 Wzrok jego taki blady, tak tęschny, tak smętny,
 Znać wie, że skoro tylko opuści niebiosą
 Ulubioną mu ziemię krwawa zleje rosa. —

II

Namiot — w głębi namiotu łoże — z niego zwisa
 Pościel jedyna, skóra lwa czy też tygrysa —
 Obok łoża stół wielki kobiercem przykryty,
 Na nim miecz długi, świetny, z pochew wydobyty
 Prosty, żadnych błyskotek niewiadać na głowni —
 Szczerbaty jak mur szturmem zdobytej warowni.
 Tuż korona — lecz chyba po olbrzymia czołe —
 Rzekłbyś, że Chrobry zdjął ją i złożył na stole —
 Mocne światło kagańca, co u góry płonie,
 Promieni się we zbroi, mieczu i koronie. —

W samym środku namiotu — cały w stalnej zbroi
 Król-rycerz, mały wzrostem, w zadumaniu stoi —

Rysy jego wydatne, każdy łatwo schwytać,
 Jak z księgi całą przeszłość można z nich wyczytać.
 Bo w tych głębokich bruzdach wysokiego czoła
 W tym zwroku, co go starość przygasić niezdola,
 W tych włosach srebrnych, rzadkich, pod hełmem wytartych,
 W tych ustach tajemniczą rozmową otwartych:
 Widać przetrwane bole, i pomszczone kłęski
 I gorycze wygnania, i powrót zwyciężki
 I znów jady tęsknoty i nędzę tułacza
 I wytrwałość, co cierpi, ale nierozpacza.
 A gdy te wszystkie rysy zbierzesz, zmieszasz razem,
 To błysną jednym tylko wielkości wyrazem
 Zaręczysz, że gdy ową koronę przywdzieje
 W sam raz będzie dla niego — ani się zachwieje.
 Jedną rękę położył na głowie młodziana,
 Co kornie jak przed ojcem uchylił kolana,
 Druga ku drzwiom namiotu zwrócona w téj porze
 Wyraźnie zda się mówić: idź więc w imię Boże!
 I widać, że młodzieniec już gotów do drogi —
 Czło jego spokojne, ani cienia trwogi
 Choć podróż pełna trudów i niebezpieczeństwa
 Gdy potrzebuje nocy i błogosławieństwa. —
 Ubiór młodziana skromny — krótki a fałdzisty
 Aksamitno zielony — pazia? czy lutnista?

III.

W namiocie, gdzie dokoła błyszczą godła Niemiec
 Stoi rycerz — po twarzy znać, że cudzoziemiec —
 Z jego oczu boleśnie ku niebu zwróconych,
 Rąk załamanych, palców gwałtownie splecionych,
 Widać, że jakaś burza sercem jego miota —
 Ha! może najstraszniejsza! — sumienia zgryzota?
 Lecz jeżeli to zbrodzień, to jeszcze niewprawny
 Jeszcze niestał do szczytu poczciwości dawniej,
 Jeszcze go hańba boli i spokój zatruwa
 I choć wszystko spoczywa — z oczu sen odsuwa. —
 A tak coś szlachetnego błyszczą z jego czoła,
 Co zaręcza, że długo Niemcem być niezdola,
 Że jeszcze byle pomoc, choć cień wsparcia blisko.
 Podniosłby się wysoko tak, jak upadł nisko. —

IV.

Ten sam namiot i chwila znać poprzedniej bliska
 Jeszcze noc, jeszcze żywo kaganiec połyska —
 Najprzód uderza w oczy ów paż czy lutnista, —
 Postać jego pogodna, mężka, uroczysta —
 Jakaż nadziemska siła przewiodła go nocą
 Przez tyle czat niemieckich aż tutaj? — i po co?

Spokojny — znać — że w duszy trwoga nieprzebywa —
 Lecz ręka wciąż na głowni sztyletu spoczywa —
 I wzrok ku drzwiom namiotu z lekka obrócony
 Zda się czekać napaści, gotów do obrony. —
 Przy nim mocno wzruszony stoi cudzoziemiec
 Co choć dotąd wśród Niemców jednakże nie Niemiec
 Jedna ręka na piersiach aż pod serce sięga
 Druga w dłoni lutnisty — prosi? czy przysięga?...
 Ale widno z radości, co mu z oczu strzela,
 Że mu jakaś myśl wielka serce rozwesela. —

V.

Już nie namiot — lecz istna szatanów pracownia!
 Za jednym rzutem oka powiesz: to katownia!
 Jakiś sklep krwią przesiąkły, wymownie ponury —
 Niepotrzebnie tu malarz zostawił tortury —
 Te narzędzia ohydne, które zgroza kreślić,
 Które tylko mózg Niemca zdolny był wymyślić —
 Bo dość spojrzeć na głównych aktorów tej sceny
 Aby wszystko odgadnąć z ich wzroku hyeny!

Lecz cóż znaczy oprawców bezczynność w tej chwili?
 Czy to jest tylko przerwa? — czy już ukończyli?...
 Czy o świeżych, dotkliwszych przemyślają mękach,
 Czy może tajemnicę już trzymają w rękach?

O! nie! spojrzuj po Niemcach — ha! gniewni aż wściekli!
Znać, że męki daremne — że nic niedociekli! —

Na łożu leży ciało bezwładne młodziana,
Rzekłbyś trup, taka bladość na licach rozlana,
Ręce zwisły ku ziemi — piersi obnażone
Nieruchome, wklęsnięte, jak gdyby zgniecione, —
Całe życie tych piersi zbiegło się do oczu
Całą też jego duszę widać w ich przezroczu —
I pogardę dla wrogów i z męczarń szyderstwo
I jedyne prawdziwe — ducha bohaterstwo!

Płomień kagańca zgięty jak ognista żmija
Przygląda się ciekawie, czy dobrze odbija
To narzędzie katowskie zbroczone w krwi świeżej
Przy tych godłach zbawienia na płaszczach rycerzy.

VI.

Bitwa — bitwa zacięta lecz już dogorywa
Już to tylko rzeź straszna, okropna, prawdziwa —
Jeszcze Niemcy się bronią — ale próżne męstwo
Znać, że walczą o życie — już nie o zwycięstwo.

Na czele ów król rycerz w środek wrogów godzi
Zdaje się, że z roskoszą we krwi Niemców brodzi

Znać rad, że z dawnych długów może się wypłacić
Chciałby plemie jaszczurcze do szczętu wytracić!

Po drugiej Niemców stronie — poznać go od razu —
Ów rycerz tajemniczy z trzeciego obrazu —
Miecz jego jak błysk gromu po Niemcach migocze
Wszystko, co opór stawia, łamie i druzgoce —
Po dumie, z jaką teraz w górę czoło dźwiga,
Znać, że swoim napadem zwycięztwo rozstrzyga —
A z wzroku, którym całe mierzy bojowisko
Że podniósł się wysoko tak, jak upadł nisko.

VII.

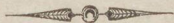
A to? cóż to za łuna w oddaleniu błyska?
Czy szczątki zniszczonego Niemców stanowiska?
Nie! to stós! — stós śmiertelny — widać oczywiście —
To zemsta! zemsta Niemców na biednym lutniście!
Nikt z rodaków niespieszy ku jego obronie!
Główny sprawca zwycięztwa w zapomnieniu spleonie

Płomień, co uciekając Niemcy podłożyli,
Pnie się tysiącem żadeł i do góry sili,
Ognistym splotem spieszy dosięgnąć do łona
Jak ów wąż, by nowego zdusić Laokona. —

A on? jeszcze spokojny!... wzrok i słuch natęża
 W stronę, z kąd go dochodzi zgiełk i szcęk oręża —
 I czegoż tak usilnie z tej strony wygląda
 Czy się jeszcze spodziewa i pomocy żąda?
 Och! nie!... on tylko w siebie wciąga piersią całą
 Ów głos z pobojowiska grzmiący ziomków chwałą!
 Ów głos tak pożądaný, huczny, tryumfalny!
 Usta jego zdają się nucić hymn pochwalny!
 A w jego oczach takie boskie zachwycenie
 Jakby całej ojczyzny słyszał dziękczynienie!
 A na czole tak wielka świeci roskosz duszy!...
 On już w niebie i ziemskiej nieczuje katuszy!

Z początku miałem niechęć i żał do artysty
 Za ten skon w zapomnieniu biednego lutnisty;
 Ale gdy głębiej w dzieje zapuściłem oko,
 Wyznam, że pomyślany prawdziwie — głęboko!
 Bo któż kiedy dla ludzi pracował bezkarnie?
 Gdzież siewca, co za życia wziął plon? nie męczarnie?
 Gdzież człowiek, co za trudy i świętą namiętność
 Wziął w nagrodzie nie wzgardę i nie obojętność!
 Och! jeśli w własném sercu nieczujesz nagrody
 To i lutnię i serce... skrusz śpiewaku młody!

Jarosławiec 1847. r.



KILKA OBRAZÓW
Z ŻYCIA
POLSKI I NIEMIEC.




Germanica fides - nulla fides.
Stare jak świat przysłowie.

WILLIAM A. BROWN

COLLEGE LIBRARY

L

 bóz Turków dokoła bieleją namioty,
 Dokoła świecą zbroją nieprzejrzane roty —
 Śród nich znak Machometa. — Mnogie półksiężyce
 Zdają się na świat cały rzucać błyskawice.

W pośrodku tego morza rozbitych namiotów,
 Pośród obloków dymu i ognistych grotów
 Czerni się niby wyspa-miasto. — Na świątyniach
 Jeszcze wznoszą się krzyże jak palmy w pustyniach —
 Lecz część murów warownych już poszła w ruiny
 Resztę wkrótce wysadzą podłożone miny —
 Wkrótce ostatnim szturmem zahaczy pogaństwo!
 Wkrótce ostatnim krzykiem jęknie chrześcijaństwo!

A miasto tak zaleje pogańskie żoldactwo
 Jak pień drzewa, mrowisko — jak trupa, robactwo!
 Nadludzka chyba siła, jakiś poseł Boży
 Skruszy potęgę wrogów i dumę ukorzy. —

II.

Ze szczytu góry zamek potężny wyrasta —
 Niby duch opiekuńczy szerokiego miasta
 Co u nóg jego legło spokojnie — wesoło —
 Więc dumny tą opieką w niebo wznosi czoło. —

Na galeryi zamkowej, między dworzanami,
 Jak księżyc jaśniejący pomiędzy gwiazdami
 Blyszczy mąż w świetnym stroju, — a z jego postawy
 Łatwo poznać wojenną ulubienca sławy. —
 Czoło wielkie, pogodne, taka znać i dusza
 A na tém czole wyraz, co do czei przymusza,
 Wzrok jego szczery, bystry, tak świeci w źrenicy
 Jak w zapasach bojowych błysk lackiej szablicy —
 Wąs polski a potężny, kręto zawieszony,
 Podnosi wdzięk téj twarzy mężko uroczystej. —

Przed nim w kornój postawie klęczy cudzoziemiec
 I z liców i z ubioru zdaje się że Niemiec —
 Ręce jak do modlitwy załamane wznosi,
 A modlitwa serdeczna, bo łzami ją rosi —

Widać, że o coś błaga, do czegoś zachęca —
 A mąż znać się namyśla — i wasa pokreca. —

Słońce stoi i patrzy — w głębi biała rzeka
 Jak taśma srebrną pręgą spód góry obleka —
 Ale zaledwie tylko przed oczami błyska
 Och! poznałem! to Wisła! święta nasza Wisła!
 Szumi dumna, szczęśliwa, że u nóg jój syna
 Niemiec żebrze ratunku i kolana zgina. —

III.

Znowu obóz turecki — lecz gdzież są pogańce?
 Stoją jeszcze namioty — widać jeszcze szańce,
 Lecz w szańcach i namiotach same trupów stósy!
 Nie teutońska to ręka zadała te ciosy,
 Bo ta luna promienna, co się w koło żarzy,
 Naszych to połysk szablic i skrzydeł husarzy!
 Któż to spoczywa w świetnym Wezyra namiocie?
 U nóg znak Machometa i buńczuków krocie,
 W obliczu ślady znojów rycerskich i męztwa —
 A spokojny — znać z dawna przywykł do zwycięztwa.
 Ostatni to król-rycerz w Chrobrego koronie!
 Ostatnie z jego szczerbcem oswojone dłonie!
 Ów to mąż, co nad łzami Niemca się uzałił
 I jak przyrzekł, dotrzymał — przybył i ocalił!

Znać, że tylko co wraca z krwawego zapasu
 Bo jeszcze zdjąć pancerza z piersi nie miał czasu
 Szablę tylko odłożył — pisze — a pod ręką
 Widać napis: — „kochana moja Marysienko.“

W głębi obrazu owo miasto obleżone
 Dziś radośne, szczęśliwe, bo oswobodzone —
 Bramy wszystkie otwarte — zewsząd tłumy ludu
 Dążą spieszenie na miejsca spełnionego cudu —
 Zapewne świetnych łupów cieszyć się nabyciem,
 Które Polak zapłacił krwią swoją — i życiem!

IV

W końcu długiej alei gmach jak włoska vila
 Z cienia drzew topolowych na pół się wychyla —
 Taki jakiś wdzięk malarz rozrzucił do koła —
 Takim lubym powabem tchną tych topol czoła,
 Taka polskość we wszystkim, nawet na tém niebie,
 Że od razu odgadniesz, żeś w kraju, u siebie. —

Na lawce, którą świeża zieloność pokrywa —
 Jakaś postać samotna w dumanach spoczywa,
 Jest to ten sam bohater, ten sam rycerz prawy
 Niedawno promieniący całym blaskiem sławy. —
 Dzisiaj jakże zmieniony! to czoło szlachetne

Niedawno tak pogodne, tak dumne, tak świetne,
 Dzisiaj jakby bezwładnie ku piersiom opadło
 A tak smutnie ściemniało! tak boleśnie zbladło!
 A ów jego wzrok dawny, ów groźny kometa,
 Przy którym zgasł dwurożny księżyc Machometa,
 Dziś tak blade, tak smętnie miga z pod powieki
 Jak gdyby się objął o grób niedaleki!
 Miałżeby już żałować nieśmiertelnych czynów?
 Czyż samą tylko gorycz wycisnął z wawrzynów?
 Albo może w tej chwili jakiś duch prorocy
 Owoce jego sławy stawia mu przed oczy
 I przyszłość; — a ta przyszłość, którą mu otwiera,
 Musi być smutną, smutną jak skon bohatera. —

V.

W sali suto błyszczącej ozdoby złotemi
 Przy stoliku pokrytym wielką kartą ziemi
 Widać najprzód mężczyznę. — Czub jego fryzury
 W pudrowanych kędziorach wznosi się do góry, —
 Wzrok jego zimnośniący, niby metalowy,
 Ale na ustach uśmiech miłutki, cukrowy —
 Lecz gdy się dobrze wpatrzysz w ten grób pobielony
 Znać, że ten uśmiech jego sztuczny, przyklejony,
 Że długo przed zwierciadłem uczył się i ślepił
 Aż go wreszcie do wargi na zawsze przylepił,

I zakrył nim swój duszy czarność i zgniliznę
 Tak, jak głowę fryzurą — jak miodem truciznę. —
 Ważną jakąś rozmową zajęty w téj dobie
 Zwrócił się ku siedzącej tuż przy nim osobie. —

To niewiasta — teutońską koroną ozdobna —
 Z rysów do Leopolda Wargacza podobna —
 Postać tak święto słodka, powiedziałbyś mniszka!
 Ale spojrzysz w jój oczy — tam wzrok bazyliuszka!
 I wnet całą brzydota szernią się jój lica —
 Stanie ci w myśli owa morowa dziewica,
 Coto ilekroć razy krwawą chustą skinie,
 Tyle świetnych pałaców zmieni się w pustynie,
 A kędy tylko stąpi na siola czy miasta,
 Tam zaraz pod jój nogą świeży grób wyrasta!

Kartę przed nią leżącą pochłania oczyma,
 Jedną rękę w powietrzu podniesioną trzymając,
 A sam widok téj ręki zimno w sercu wznieca
 Bo coś w duszy ostrzega, że ta dłoń kobieca
 Wzniesiona nad tą kartą jak jastrząb nad łupem
 Jak tylko dotknie kraju — ten kraj padnie trupem!
 Trzecia postać obrazu szczególna prawdziwie!
 Kiedy się w nią wpatruję, dziś jeszcze się dziwię.

Mężczyzna. — Gdy mu prosto spojrzysz w twarz i oczy
 Zdaje się obojętnie poglądać z uboczy
 Jak gdyby niepodzielał obu głów zajęcia
 Jak gdyby się niemęszał do ich przedsięwzięcia.
 Ale wpatrz się w te usta z lekka przygryzione
 W te drobne zmarszczki na nich ledwie dostrzeżone,
 W ten odcień na nich jakiś złowieszczo weselny
 Znać, że wstrzymuje w sobie śmiech szczerzy piekielny!
 Nie jest to śmiech kolegi z pudrowanym włosom
 Nie sztuczny — gdyby tylko mógł wydać się głosem,
 To zabrzmiałby w puszczyka przeraźliwym śmiechu,
 Co lud jak śmiertelnego obawia się grzechu,
 Bo w nim wyraźnie słyszy: biada! biada! biada!
 Bo wie, że mu zniszczenie i śmierć zapowiada,
 Z tego śmiechu jedynie jam przysiędz gotowy,
 Że jego właśnie pomysł zaprzęta ich głowy.
 Z stroju, po którym łatwo poznać cudzoziemca
 Lud nasz domyślałby się szatana — lub Niemca.
 Ale kiedy przypadkiem spojrziałem nań z boku
 Oslupiałem — własnemu nieufając oku —
 Bo w miejscu gdzie był Niemiec — któż przedemną stoi?
 Krzyżak! Krzyżak prawdziwy w swój żelaznej zbroi!
 Z tym łbem, co gdy go utniesz drugi rośnie skoro,
 A i ten ścięty znowu rośnie w dziesięcioro!
 Z tém czołem, co najświętsze przysięgi narusza!
 Z tym krzyżem wielkim czarnym jak krzyżacka dusza!

Z tą prawicą, pod którą morze krwi wyciekło!
 Z twém wzrokiem zimnym krwawym, w którym widać piekło!

Zadziwiony — odmieniam kierunek obrazu —
 I oto znowu Niemiec jak pierwszego razu —
 Teraz widzę dokładnie, że postać dwojaka
 Patrz prosto, ujrysz Niemca! — patrz z boku, Krzyżaka!
 Aż przypomniałem sobie tę sztukę malarza
 Co to w jednej postaci dwie od razu stwarza
 I obraz ten szatański ciskam z oburzeniem,
 Bo mi na sercu pali i cięży kamieniem!

VI.

Na niebie groźne chmury jak olbrzymie wzgórza,
 Widać, że je straszliwa poszarpała burza
 Rozpierzchły się dokoła w bezładne gromady —
 Śród nich miga półksiężyc, ale siny, błądy —
 Sili się, ale światła niemoże rozniecić
 Jak ten, co mu Sobieski kazał przestać świecić.

W głębi obrazu rzeka ponura, milcząca —
 O jakieś dobrze znane mury się roztrąca,
 W nich to Prusak zlutrzoney biorąc Prusy w maństwo
 Klęcząc przysięgał wieczną wierność i poddaństwo!

W nich to także na klęczkach w śmiertelnym przestachu
Niemiec wołał ze łzami: ratuj! ratuj! Lachu!...

Opodal — leży wieko jakiejś wielkiej trumny
Ubrane w godła śmierci w żałobne całuny
Na niem jakies postaci, widma czy szatany
Radują się, weselą, skoczne wiodą tany
Gruba ciemność szalonej biesiady niestudzi....
A jeśli wieko pęknie i olbrzym się zbudzi?....

VII.

Jest tu jeszcze obrazek — co znaczy, niewiedzieć
I dla tego sam niewiem, czy mam opowiedzieć.
Jestto widok boleśny — aż serce zasmuca
Jakis człowiek z pod serca gadzinę wyrzuca,
Boleść widno okropna, znać ranny śmiertelnie
A gad patrzy się z boku i śmieje — piekielnie!...

Maż to być owa bajka — wszak bajka panowie?
O owej żmiji zmarłej na polu czy w rowie,
Nad którą jakis biedny głupiec się użalił,
Rozgrzał przy własném sercu i żmiję ocalił.
Głupiec! — bo i któż niewie, że gad zawsze gadem!
Że jak tylko odżyje odpłaci się — jadem!

Zresztą bajka jak bajka, wszystkim dobrze znana,
To tylko trudno pojąć, po co tu wmięszana?
Bo ów człek litościwy... cóż za związek z nami?
Co za związek téj źmiji niewdzięcznej... z Niemcami?
Nadaremnie się trudzę, znać nic niedociekę,
Więc bywajcie mi zdrowi, już zamykam tekę.

Jarosławiec 1847. r.



P I O S N K A .

(Myśl z Beraniera).

Wolności grzmot po świecie się rozlega,
 Z długiego snu zbudzają się narody,
 Niejeden król już z tronu swego zbiega,
 Niejeden lud już wszedł na tronu wschody!
 Wkrótce hymn ludów potężny, rozgłośny,
 Powita świętej wolności zaranie!..
 Powróć mój głosie! słaby, lecz radośny!
 Chcę jeszcze śpiewać Polski zmartwychwstanie!

Najmilsze sny, marzeniem niegdyś zwane
 Równości myśli, już dziś przechodzą w czyn!
 Szlachcie i chłop, imiona zapomniane.
 Każdy dziś brat, bo jednej matki syn!

Wszystko się zlało w jeden stan prawdziwy,
 W jedno za wolność walczące rycerstwo!
 Powróć mój głosie słaby, ale tkliwy,
 Mam jeszcze śpiewać równość i braterstwo!

Biały nasz ptak już rzucił obce strony,
 Na własnym gnieździe wnet skrzydła roztoczy!
 Ciągną już nasze waleczne legiony!
 Wszystko co żyje z niemi się jednoczy!
 Widzę już wrogów rozbite kolumny
 Do Azji zbladłe unoszą postaci . . .
 Powróć mój głosie słaby, ale dumny,
 Mam jeszcze śpiewać tryumf moich braci!

Choć tryumf przy was — nie składajcie broni
 Wspomnijcie braci, których śród was niema!
 Ach! oni gasną w dalekiej ustroni,
 Gdzie wieczne więzy, wieczna władza zima!
 O! czas im oddać dług zbyt sprawiedliwy!
 Czas oswobodzić braci męczenników!
 Powróć mój głosie słaby, lecz szczęśliwy,
 Chcę jeszcze śpiewać powrót Sibirczyków!

Na wolnej ziemi, wolny lud się zbiera —
 Posłowie tłumnie śpieszą do stolicy —
 Tam cały naród rząd sobie obiera,
 Wymowne głosy już grzmiały na mownicy!

O! niech z nich żaden z pamięci nietraci
Tych, co narodów sprawili męczeństwo!
Powróć mój głosie! niech tchnę w serca braci
Wieczną dla królów wzdargę i przekleństwo!

Jarosławiec,
w kilkanaście dni po rewol. fran. 1848. r.



POECI PRZED BOGIEM.

Dawno to było — o! dawno już!
 Na greckiej ziemi, wśród perskich burz. —

Pośrodku bluszczem zwieńczonych skał
 Bożek poezji w milczeniu stał. —
 U nóg mu szemrze srebrzysty źródł
 U nóg mu dymi kadzideł rój,
 Co z woniąjących liści pogrzebu
 Chmurą błękitną płynie ku niebu
 Niby myśl bożka, niby tęsznica,
 Przez marmurowe piersi i lica. —

A ziemia boską zadumę czci —
 Źródło stanęło — i wietrzyk śni. —
 Nagle, święcony zaszumił krzew
 Wyszedł poeta i zaczął śpiew,
 Lecz tajemnym drzeniem wzruszone wargi
 Nie hymn nuciły — nie — ale skargi:

— „Bożku! gdy w naszych górach zagrzało
 Hasło „zwyciężym, lub zginie'm z chwałą.“
 W ówczas ja'm z pieśnią spieszył do gminu,
 By go obudzić, podnieść do czynu. —
 Ale — o! zgrozo! gromada ta
 Podmuchał wrogów ślepa i zła...
 Ha! cóż sroższego wymyślić!... cóż?!
 W pierś swego wieszczą utapia noż!
 Ach! a ja'm wierzył w ten lud — jak w ciebie!
 Czy taką zbrodnię pojmują w niebie?

Ja ocalałem — lecz kraj kochany
 Upadł — a wróg go okuł w kajdany.
 A boleść braci tak dręczy mnie
 Że już sam siebie zaparłem się! —
 Więc niby zimny idę do wroga
 Z tą pieśnią moją, z tym głosem Boga!
 Myśląc że ona, ten boski gość
 Złagodzi wrogów zemstę i złość —

Choć nieda braciom pomocy zbawczój,
To zmniejszy wściekłość dłoni oprawczój.

Lecz gdy mnie naród ujrzał śród wrogów
Mniemał, że'm własnych wyrzekł się bogów,
Że mnie przynęcił tyranów blask
Że idę żebrać względów i łask;
Więc jak istocie bez wiary, czci,
Wzgardę i klątwę, ha! rzucił mi!
Bożku potężny! ach! zlituj się!
Niech lud mój przejrzy i pozna mnie!
Niech wielkość mojej ofiary zmierzy,
I niechaj w moje czystość uwierzy! . . .
Skończył — a bożek milczący słucha —
I była cisza smutna i głucha. —

Nagle znów święty zaszumił krzew
Drugi poeta wyszedł z za drzew —
A tajnym drzeniem wzruszone wargi
Nie hymn nuciły — nie — lecz znów skargi. —

— „Bożku potężny! ja wzywam cię!
Bożku potężny! poznajesz mnie?
Ja'm to w ofierze wszystko ci dał
Wszystko, ach! wszystko, co'm tylko miał!
Najdroższe skarby młodzieńczych lat,

I czarodziejski miłości świat. —
 A za to wszystko ja'm tylko chciał
 W braciach obudzić wolności szal,
 By wszyscy wstali jak jeden mąż
 I za mną biegli wszędzie i wciąż!
 A tyś mi na to — cóż? — lutnię dał.

A więc pobiegłem do ciemnych grót
 Gdzie się przed wrogiem ukrywał lud; —
 Jak burza śpiące echa gór, grzmotem,
 Budzę go mojej pieśni łoskotem —
 I te pioruny, co mi pierś rwą
 Wlewam mu w serca, pieśni mój krwią.
 Toż młodzież nasza istny ród bogów,
 Mojemi gromy bila we wrogów.

Garstka nas była; — więc tajnie, skrycie,
 Zbiegłem kraj cały, by rozbudzić życie.
 I nieraz wrogom popadłem w dłoń,
 Nieraz od męczarń zbladła mi skroń,
 Nieraz przykuty do ich łańcucha,
 Zerwałem więzy potęgą ducha —
 I znówu biegłem do ciemnych grót
 Prawice braci uzbrajać w cud!

Garstka nas była — a wrogów ćma!
 Raz do wąwozu jak chmura gna —
 A w tym wąwozie — my — młode lwy!
 A z nami kraju rozpacz — nie łzy!
 A więc z nas każdy silny jak bóg!
 A więc z nas każdy tysiące zmógł!
 I na tysiącach każdy z nas legł!
 Ja'm jeden został — ja'm jeden zbiegł,
 Lecz na to tylko, by nowe lwy
 Wywołać siłą téj lutni twój. —

Biegnę — a w drodze spotykam — ha!
 Ta myśl jak pocisk w sercu mém drga!
 Z lutnią i pieśnią stoi pacholę
 W dumnego ludu ściśniętém kole,
 A głową dumnie nad wszystkich wzrosło,
 I jak drogozkaż prawicę wzniosło;
 Jak gdyby władzę wzięło od Boga
 Mówiło śmiało: tam wasza droga! —

A naród cały przelał się w słuch,
 I duch swój cały wbił w jego duch.
 Na czole gładkiém bez śladu burz,
 Wieniec, — nie z cierni — nie mój — lecz z róż!
 Wszystko, co'm stracił, w nim jeszcze trwa,
 Młodość i piękność i miłość ma —

Nie dość mi tego, jeszcze chce iść
 W zapasy ze mną o co? — o liść!
 O liść wpółzwiedły! za który przecie
 Oddałem wszystko, co'm miał na świecie!

A więc z wściekłością puszczam się w lot,
 Z piersi mej bije nie pieśń — lecz grzmot!
 Ale daremnie! — słyszysz? — daremnie!
 Lud poszedł za nim! za nim! — odemnie!
 On go powiedzie do szczęścia bram!
 Nie ja! — mnie wzgarda! — ja'm został sam!
 I otóż taką dostał nagrodę
 Za moje ciągle, ciągle męczarnie!
 Za moje lata różowe, młode
 Zwiędłe bez kwiatu! zgasłe tak marnie!...
 Tyś mnie oszukał! zdradził okrutnie!
 Więc zabierz swoją bezduszną lutnię!

I z gniewem lutnię cisnął bluźnierca —
 A struny lutni tak smutnie jęły,
 Jakby rozprysły, jakby rozpekły
 Nie w martwej lutni, lecz w głębi serca!

A bóg poezji milczy — czy słucha —
 I znowu cisza smutna i głucha. —

Nagle znów święty zaszumiał krzew
 Trzeci poeta wyszedł z za drzew,
 Wyszedł i stanął w pobożnej czci —
 A marmurowy głos Boga grzmi: —

„A ty? czy także pomocy zwiesz
 Czy także jęczyć i płakać chcesz?“

Czując szyderstwo w tej bożka mowie
 Z dumą poeta trzeci odpowie:

„Nie! — ja'm nieprzyszedł szerzyć tutaj jęków,
 Boć nie dla ludzi tworzę ja powieści! —
 Pieśń moja twarda, bez niewieścich wdzięków,
 Słodką melodją ucha niepopieści;
 Huczna jak trąby obozowej tony,
 A chropowata, jak miecz poszczerbiony.

Nie na to dzisiaj trąbą Archaniola
 Sen wieczny spędzam z bohaterów czoła,
 Nie na to wzruszam święte popielnice
 I po imieniu wzywam wielkich przodków,
 W zagasłe piersi tchnę dawnego ducha
 I w zardzewiałe przybieram zbroice,
 By wstyd przywołać w lica zniewieściucha
 Albo gryzotę do piersi wyrodków! —

Niech młodzi piewcy mają tę nadzieję —
Ja z tej nadziei dziś gorzko się śmieję.

Ja dzisiaj śpiewam dla umarłych tylko! —
Olbrzymiém truny odwaliłem wieko,
Dawnego życia jedną tylko chwilką
Ostygłe piersi ożywiam na nowo!
Gdy wielkich przodków bezpotomne cienie
Swoje laurowe rzucając wezglowie
Stają przedemną z otwartą powieką
Zdziwione we mnie nurzając spojrzenie;
Wtedy w ich dawnéj, bohaterskiéj mowie
Nim, jak ich czyny, pójdzie w zapomnienie,
Wielbię ich pieśnią — jak oni — grobową! —

Ha! toć niedawno'm wśród ludzi żył!
Bylbym jak oni zmałał i zgnił,
Ale mi wielcy bogowie dali,
Ducha ze stali, z niebiańskiéj stali.
Żadna go dotąd nie kala rdza,
Ni plama hańby, ni wstydu ła.
Więc dumny taką czystością moją
Ja'm się od ludzi odgrodził zbroją!
Zawsze z daleka i zawsze sam —
Niechcę ich uczuć — bo niechcę płam!

Zyję przeszłością — bo tam się lśni
 Wielkość nie naszych karłów i dni!
 Nie pragnę ludzkich ni serc, ni lic —
 A i od ciebie nieżądaj nic!
 Prośbą ni żalem cię nieobarczę,
 Bo ja sam sobie zawsze wystarczę.“ —

Umilkł — i dumnie wzrok w bożka tkwi —
 A marmurowy głos z głębi grzmi:

„Na toż ci dałem ducha ze stali,
 Byś dumny sobą braci się rzekł?
 Byś, kiedy oni z hańbą padali,
 Samego siebie wielbił i strzegł?
 Ja'm ci dał ducha, byś słabych wzmógł,
 Byś był dla braci czém tobie bóg:
 Wzorem, dowodem, że ludzka rzecz
 Potęgą ducha odeprzeć miecz!
 Zamiast śród słabych, na jaw, na dzień,
 Ty się wygodnie zamknąłeś w cień,
 I zamiast braciom zdrój życia nieść
 Umarłych wielbisz i śpiewasz cześć!“
 Nagle głos bożka umilkł — a wieszcz
 W korném milczeniu słuchają jeszcze. —

Aż oto słyhać płomienia trzask
 I od stóp bożka niebieski blask

Ognistym wieńcem strzelił w około
 Na lica wieszczów, na bożka czoło; —
 Poeci milczą w pobożnej czi —
 A marmurowy głos Boga grzmi:

„Patrzcie ten płomień, to dzieło bogów,
 Zstąpił na ziemię z niebieskich progów,
 I nazad w niebo nieprędzej wróci
 Aż ziemski żywioł w popiół obróci. —
 Kto chce dla ludzi płomieniem lśnić,
 Kto chce prawdziwym poetą być,
 Kto chce lud podnieść, kto chce go zbawić,
 Musi, jak ogień, sam siebie strawić!
 Rozkosze ziemskie w jeden stós zwalić,
 I własną ręką ten stós podpalić!
 Bo niezostanie wieszczem, płomieniem,
 Jeno samego siebie spalaniem!
 I tylko wtedy — jak kazał Bóg,
 Rajskiego szczęścia przestąpi próg.

Lwów 1848. r.



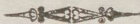
MICHAŁOWI ŁEMPICKIEMU

NA PAMIĄTKĘ

chwil razem w Sibirze spędzonych

i

w dowód prawdziwego szacunku a serdecznej przyjaźni.



UNIVERSITY OF CHICAGO

LIBRARY

Department of Chemistry

University of Chicago

DZISIEJSZY RYCERZ.

Czy słyszałeś bracie młody,
Czy słyszałeś o rycerzach,
Co w żelaznych rośli pierzach,
A szli w boje jak na gody?
Całe życie bojowali!
Całą ziemię krwią zalali!
Aż się miecze pokruszyły —
Więc pokładli się w mogiły!
Stało się bożym rozkazem:
Bił żelazem, legł żelazem.
Dziś w grobach, zimni, surowi,
Jak za życia, marmurowi! —
Zostawili cóż po sobie?
Popiół w pieśniach! popiół w grobie!

Dziś — już nie ten jest rycerzem
 Kto najwięcej dusz wytraci,
 Lecz ten kto życia pacierzem
 Porwie w niebo swoich braci.
 Dziś rycerzem cię nie stworzy
 Złote cacko z ręki króla —
 Dziś rycerstwem jest duch boży
 I miłością święta wola!

Białe pierze twego ptaka,
 Nie ma skazy w jego pierzu —
 Takim ma być duch Polaka,
 Takiem tve serce rycerzu!

Dawny rycerz był odważny,
 Bowiem cały był żelazny,
 Gdy na boje występował,
 W stalną zbroję się okował. —
 Więc i ty idąc na boje
 Weź najlepszą z wszystkich zbroję.
 Nie żelazną ani złotą
 Ty się cały okuj — cnotą!
 A jak z rycerza zbroicy
 Światło biło jak z krynicy,
 Tak od zbroi twego ducha
 Niech dokoła jasność bucha.

Trony stoją — wiedz to dobrze,
 Tylko na duchów ciemnocie,
 Więc w tę ciemność błysnij chobrze,
 A wnet króle runą w błonie!
 Walka miecza nadaremna,
 Póki w sercach zimno, ciemno!
 Nerozerwiesz wprzód łańcucha,
 Aż go stopisz ogniem — ducha!
 Więc ty walcz dziś nie szablicą,
 Nie toporem, nie obuchem —
 Ale myśli błyskawicą,
 Ale szczerym polskim duchem!

Słuchaj — choć serce zaboli —
 Co nas pchnęło do mogiły?
 Czy brak broni? .. czy brak siły?
 Nie! jeno brak ludu woli!
 Niema boju — niema trudu,
 Coby złamał wolę ludu!
 Kiedy silną wolą pała —
 Jak Bóg wielki! jak Bóg działa!
 Kto chce walczyć sercem szczerem,
 Z kijem będzie bohaterem!
 Czapką działa brał Głowacki
 Z dział drewnianych grzmocił Puszet!
 Ale wielki duch nasz lacki,
 Przygasał w sercach, choć nieuszędł.

Więc, co tleje, rozplomienić,
Iskrę ducha w żar zamienić,
To rycerzu cele twoje,
Twoje trudy, — twoje boje!

Gdy wejdiesz na bojowisko,
A zapyta cię poganin
O twe godła i nazwisko —
Mów: żeś Polak — chrześcijanin!
Innych nazwisk nie przybieraj,
Wszystkie inne są pogańskie!
Z krzyżem walcz, z krzyżem umieraj,
Jak owe męże chrześcijańskie,
Co w nocy dziejów, bez końca
Świecą nam dotąd jak słońca!

Lecz nim w krwawe wejdiesz szranki
Czy wiesz, jaka twa zapłata?
Może wieniec z rąk kochanki?..
O tak! wieniec! lecz z rąk kata!
Męztwa twego niezobaczy
Jeno Bóg i tłum siepaczy!
Bo plac boju — ciemna izba,
A widzami katów ciżba!
O! pozdrowią cię uściskiem!
A zachęcą pośmiewiskiem!

W walce z wrogiem kto nie legnie,
 Tego czeka sroższa — z braćmi!
 Nieraz serce krwią zabiegnie!
 Nieraz boleść świat ci zaćmi! —
 Bo są serca bardziej twarde
 Niż więziennych krat okucia! —
 Zechcesz myśli — czynu — czucia —
 Dadzą ci śmiech i pogardę
 Na najczystszy żar zapalu
 Rzucają tobie morzem kału!
 Aby głos prawdy osłabić,
 Muszą cię u braci zabić,
 Więc okrzyczą winowajcą
 Zaprzędanym, albo zdrajcą!
 I nie prędko się obmyjesz,
 O nie prędko! — częściej zgnijesz!

A prawdę choć najjaśniejszą
 Jakże w serca przelać trudno!
 A sam poznasz najsmutniejszą!..
 Że na świecie... och! bezładno!
 Jeśli serce gdzie szlachetne,
 To rozdarte tak boleśnie!
 Jeśli gdzie zamiary świetne,
 To w grób wbite! — tak zawcześnie!

Ach! nim jedno serce wzniesiesz!
 Ach! nim jedną duszę zbawisz!
 Wprzód tysiące bólów zniesiesz,
 Tysiąc razy sam się skrwawisz!

A gdy troski kark ci zegną,
 Gdy cierpienie zmieni lica,
 Przyjaciele cię odbiegną,
 Tkliwa wyprze się dziewica,
 I zostaniesz sam na świecie!
 Sam! jeno z Bogiem na niebie!
 Chyba w mękach polskie dziecko
 Myślą w pomoc wezwie ciebie!

Teraz ruszaj w imie Boże!
 Lecz wprzód policz się z sumieniem,
 Czy duch mękę ciała zmoże,
 Czy nie legnie pod cierpieniem...
 Gdybyś braci pod katowski
 Miecz miał wydać, w ręce wroga,
 To złam ciało, jak Rakowski,
 Wolnym duchem wzleć do Boga!



TOWARZYSZOM

byłego Legjonu Akademickiego Lwowskiego

poświęca

Towarzysz kompanii 2giéj.

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

PHYSICS DEPARTMENT

PHYSICS 101

LECTURE 1

MECHANICS

LECTURE 1

REQUIEM

STAREMU SWIATU

przy pożarze Pragi, Krakowa i Lwowa:

Patrzenie! w koło słup ognisty!..

Czy wy wiecie, co to jest?..

To świat prawdy wiekuistój!

Obiecany z ognia chrzest!

To Archanioł miecz dobywa!

To monarchizm dogorywa!

To świat stary w gruz się wali!

To poganizm tak się pali!

Giń! przepadaj stary świecie!

Świecie złota, łez i krwi!

Ja, męczeńskiej Polski dziecie

Requiescat śpiewam ci!

Requiescat wielkie, głośne,
 Długie jak ludzkości dni!
 A przeczyste i miłośne
 Jak Ten, co na krzyżu lśni!

Stary świecie! w prochu lica!
 W proch przedemną czoło zniź!
 Moją matką — szubienica!
 Moim ojcem — ból i krzyż!
 Moje imie jest — szubiennik!
 Dziecie knuta, więzień, min!
 Jutro: — z kajdan wyzwolennik
 I nowego świata syn!

Suń się mieczu płomienisty!
 Świat ten zbrodni w popiół zniszcz!
 Niechaj nowy a przeczysty
 Prędzej wyjdzie z jego zgliszcz!
 W brew tym królom, co dawali
 Na drzwiach ofiar krzyża znak,
 Tych ocalisz, co zostali
 Biali jak nasz polski ptak!

Prędzej! prędzej! dla podniety,
 Nową pastwę rzucam ci!
 Berła, trony i bagnety
 Przegniłe od lez i krwi!


Wszystkich katów kraty, śmiecie,
 Ha! kajdany!... słyszysz szczęk?...
 I nieznanym w nowym świecie
 Niewinnej ofiary jęk

Bracia! bracia! zbliżmy chwilę!
 Zbawczy pożar spóźnia się,
 Pochłonął już zbrodni tyle,
 Ale jeszcze pastwy chce!
 Rzućmyż jemu z głębi łona
 Wszystko czarne — teraz czas!
 Bo nie prędzęj zbrodniarz skona
 Aż zbieleją serca w nas!
 A gdy skończy panowanie,
 Bóg się zbliży — Polska wstanie!

Kraków, 1848. r.



MODLITWA WIOSENNĄ.

jczy nasz Ojczy! znowu dajesz wiosnę,
Znow skarby sypiesz dłonią twą rozrzutną!
Wszystko dokoła wesole, radośne —
Ale nam Ojczy! nam... smutno!

Śnieżne zimowe gdzieś przepadły chmury
Już niebo żywszą barwą błękitnieje,
Trawka kielkuje i pnie się do góry —
Z nią razem nasze nadzieje!

Ziemia odżyła — słyhać ptasząt piosnki,
Bo zbawczą rosę dały im niebiosy —
Panie! a naszych nadziei pierwsnki
Czyż jeszcze zwiędną bez rosy!

Zamorska ptastwa skończyła się jazda
 Wraca, i zdala już radośnie nóci!
 A my tułacze — do swojego gniazda
 Czyliż z nas który powróci?

Oto już rzeki z kajdan uwolnione
 Na cześć swobody szemrzą hymny święte
 Wszystkie już, wszystkie kajdany skruszone
 Ach! tylko nasze nietknięte!

Na te kajdany — och! my już wylali
 Tyle łez gorzkich, tyle krwi niewinnej,
 Że choć z piekielnej ukute są stali
 Dawnoby pęknąć powinny!

Ale to jarzmo Ojczy! jest zatrute
 Niedość niestety! że nam karki sprzęga!
 Niedość, że dłonie w żelazo zakute —
 Lecz jadem serca dosięga!

Ach! nim dosięgnię, nim dojdzie do duszy
 Zapal nam serca! zapal twojém tchnieniem!
 Bo jad niewoli niczém się niegłuszy
 Jeno miłości płomieniem!

Już nowe słońce dla świata się pali
 Wszystko ożywia potęgą tajemną —
 My!... ni promyka dotąd niedostali!...
 Ciemno nam Ojczy! och! ciemno!

Więc téż błądzimy — poznać się niemożem!
 Niejeden w kacie mniema widzieć brata!
 Niejeden w brata tym uderza nożem,
 Którym chciał przebić pierś kata!

Toż póki siły, póki tchu nam stanie,
 Póki męczarniom niewymodlim końca,
 Głosem miljonów wołamy: o! Panie!
 Słońca nam! słońca! ach! słońca!

Dębicz 3. Marca 1849. r.

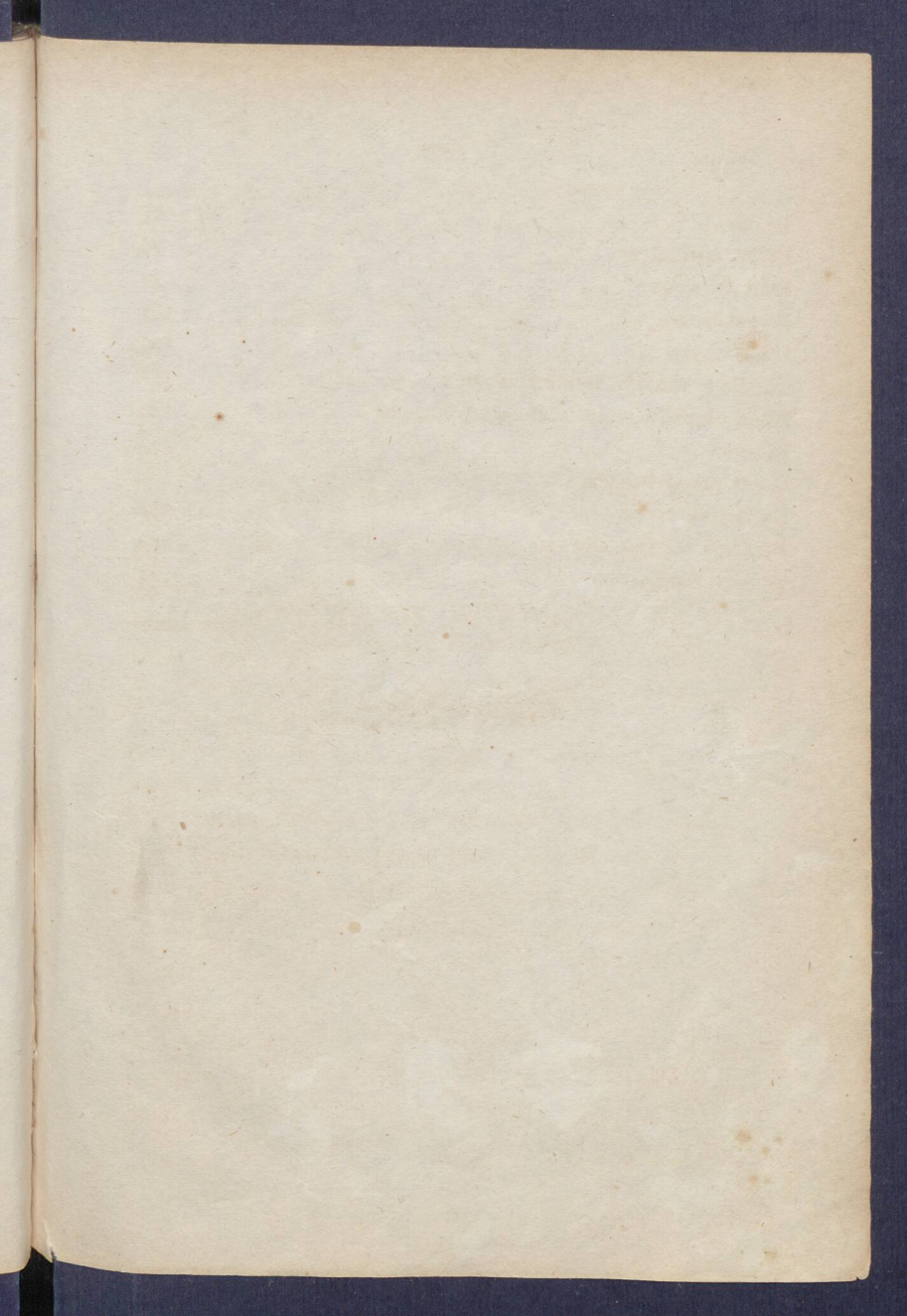


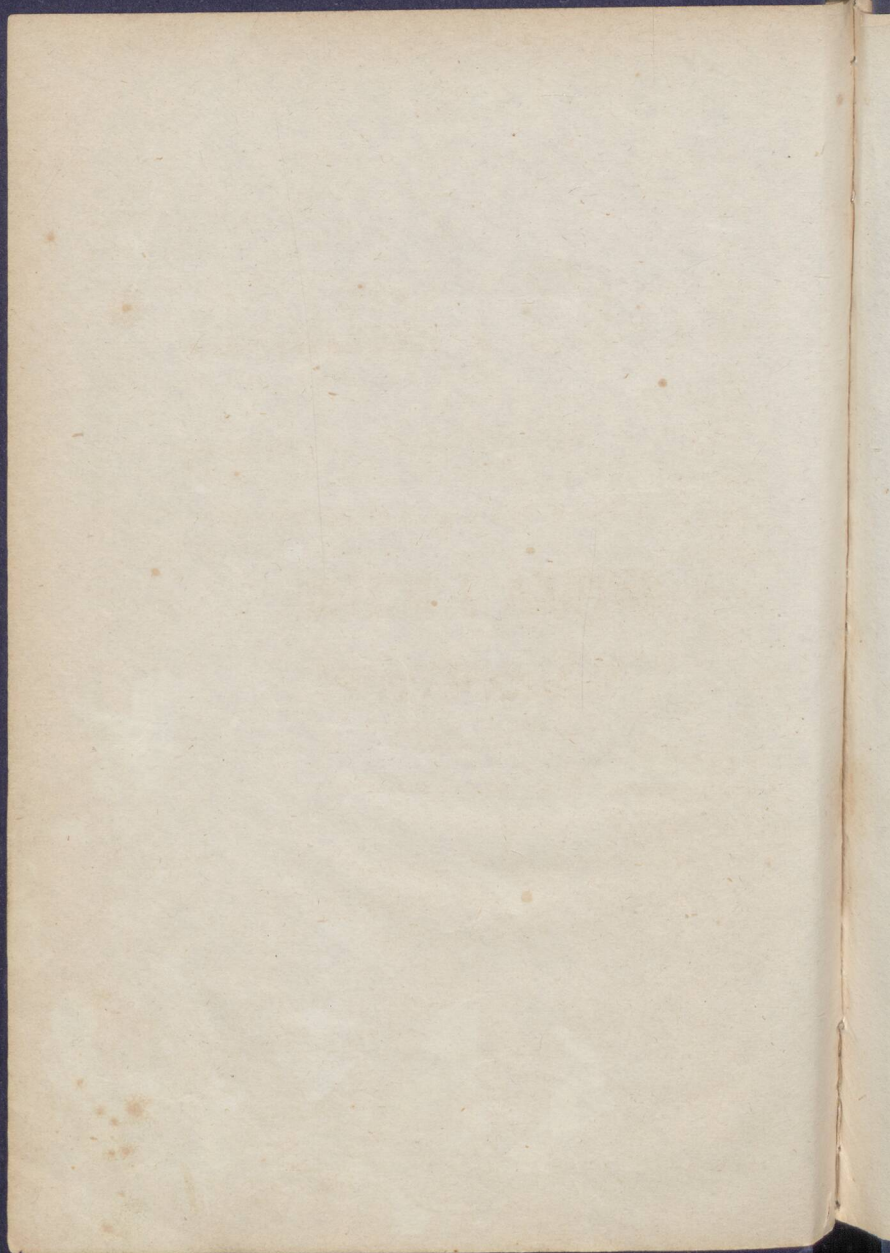
SPIS PRZEDMIOTÓW.

	Strona.
Do piewcy	1.
Pożegnanie	4.
Do współtowarzysza wygnania	6.
Do majowego wietrzyka	9.
Przypomnienie	11.
Piewca oniemiały	14.
Konik Zwierzyniecki	18.
W imionniku Marji Gum.	29.
W dzień ślubu Marji Gr.	31.
Prawdziwa piękność	34.
Prośba o krzyżyk	39.
Farys - Wieszcz	42.
Palma przeklęta	50.
Odpowiedź Wenecjanina	57.
Do braci lekarzy	61.
Spowiedź przed aniołem	64.
Nasza pieśń	68.
Podobieństwo rozsiewce	75.
Piosnka rolnika	77.
Więzień do zbiorów	79.
Żywy trup	83.
Cześć szaleńcom	85.
To nie miłość	88.

	Strona.
Jesień	91.
Kwiat tajemniczy	95.
Emil Debraux	98.
Samobójstwo	101.
Do Narcyzy	105.
Chwila z czasów Łokietkowych	111.
Kilka obrazów z życia Polski i Niemiec	123.
Piosnka	135.
Poeci przed Bogiem	138.
Dzisiejszy rycerz	151.
Requiem staremu światu	159.
Modlitwa wiosenna	162.







SZTUKA I MIŁOŚĆ.

DRAMAT.

STORIA I MESSIC

DRAMAT.

SZTUKA i MIŁOŚĆ.

[Kunst u. Liebe]

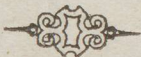
DRAMAT

w 2ch dobach rzeczywistego życia

przez

[Maurycy Manna]

MAURYCEGO MANNA.



POZNAŃ.

W KSIĘGARNI JANA KONSTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO.

1849.

STUTKA i MIŁOŚĆ

DRAMAT



POSZEN

STUTKA i MIŁOŚĆ

1849

SPIS RZECZY.

	Stron.
Na wstępie	VII.
Prolog	3.
Doba pierwsza	23.
Doba druga	75.
Epilog	129.
Jeszcze o Doktorze Karolu słów kilka	137.



SPIS TREŚCI.

Na wstępie	1
Prolog	3
Doba pierwsza	7
Doba druga	17
Epilog	120
Wzrost o Doktorze Karolinie i jej życie	131

Bochaterem — albo raczej — tak literatura tegoczesna mieć chce — człowiekiem dramatu — jest lekarz. Nazywać go będziemy Doktor Karol. O nim na wstępie słów kilka.

Urodzony w stołeczném mieście dawnéj polskiej prowincyi, z ubogich rodziców — prawdziwe dziecko ludu — Karol, za staraniem jedynie biednéj matki (bo ojciec trzechletniem odumarł go chłopięciem) kończy szkoły gimnazyalne. Przechodzi na uniwersytet: naprzód w Heidelbergdze, a potém w Berlinie.

Tam — równie jak w rodzinném mieście — pracą dni całych zażywia Karol lampę, która bezsennym i nauce poświę-

conym nocom jego przyświeca. Często, w gorzkich zniechęcenia chwilach, pamiętne w starożytności *oleum perdidit* na myśli mu stawa. Uposażony wszakże wysoką umysłowością i żelazną wolą — trawiony żądzą i potrzebą wiedzenia — oddany umiejętności — zwycięża przeszkody i otrzymuje w dwudziestym drugim roku życia stopień doktora medycyny obu fakultetów.

Skoro los przeciwny w silną uderzy naturę i krzepkiej organizacyi nieszczęśliwych swych ciosów, wtedy najczęściej dobywa z jej łona i w fatalnej doskonałości szermierce wszystkie przymioty, jakie w sobie mieści charakter, nad którym się pastwi. Dusza Karola była szlachetna — serce było czyste: stąd ambicya do dobrego, a bezinteressowność granic nie mająca. Nieszczęścia, których doznał, odjęły mu tkliwość — zostawiły głęboką czulość na każde cierpienie. Samotność, w której przebywał, skupiając ogień serca — rozżarzała go więcej. Zawody i trudności, które miał do zwalczania, i zwalczył stałością i energią; zazdrość, o którą trącał

w każdym niemal kroku dziennego poży-
cia, a którą pogardzać i upokarzać mu
się podobało — zrobiły go porywczym,
wyniosłym. Ta sama przeciwności kolój,
przerywana silną Karola wołą, gdy się na-
reszcie w świetną przemieniła karyerę,
pozwoliła mu nietykalnie przechować, dwie
zalety . . . dwa kosztowne, téj bogatěj na-
tury klejnoty — dobroć i prostotę. Do-
świadczenie, zasada empirycznych umie-
jętności i podstawa sztuki lekarskiej, sta-
nęło na przeszkodzie ku nabyciu tego, co
przez wychowanie było zaniedbaném —
uczuc religijnych. Miał wiarę Karol: —
ale nie wierzył tylko w wolę swoje, bo
w niéj saméj jedyną znalazł był podpore
wśród walk i cierpienia. Miał nadzieję;
— lecz nie ufał tylko sztuce, która usiło-
wania jego wdzięcznie uwieńczyła. Ko-
chał wreszcie Karol — lecz miłości zda-
wał się nie pojmować, tylko gdy mówił
o ojczyźnie — ludzkości i sławie.

Rysy twarzy szlachetne, wydatne, w wy-
razie nie twarde, lecz pewne, — oko by-
stre, przenikliwe, zachowujące w surowém
swém wejrzeniu dobroć i swobodę, —

wysoka i piękna postawa, — budowa ciała muszkułarna i sucha, — gesta czasem nagle, najczęściej skupione w poważnej godności, — oto fizyczność, jaką natura pod rozkazy wzniosłej duszy Karola oddała.

Wraca więc Karol jako lekarz do rodzinnego miasta. Obojętny na prywatę, złamany w niewygodach, dalej w skromnym mieszkaniu studenckie prowadzi życie. Oddaje się całkiem szpitalom — ubogim — ludzkości. Rzut oka zawsze trafny i podziwiająca znajomość sztuki, w Berlinie już wysoko ceniona, przysparzają mu niebawem wziętość niesłychaną. Słowa profesora jego z uniwersytetu, z ust do ust powtarzane, ustalają reputacją. Sławny ten w podeszłym wieku lekarz, w ważnym bardzo przypadku wezwany do miasta, gdzie się Karol znajdował, oświadcza, że chce zwołać konsylium, lecz że nadewszystko żąda wiedzieć opinią Doktora Karola. Za ledwie ten ostatni we drzwiach się ukazał, powstaje staruszek, ściska mu ręce z prawdziwie serdecznym affektem, mówiąc z uśmiechem pełnym

przywiązania: — „Ale jakżeś nam urosł kochany kolego!“ — I w samej rzeczy. Doktor Karol miał lat dwadzieścia cztery i dwa całe go od czasu wyjazdu z Berlina przybyło.

Nie zadługo spostrzegł się Karol, iż mu większego, nie apartamentu, ale przedpokoju potrzeba. Szczupłe pomieszkание pomieścić nie może przychodzących na poradę, którą codziennie o godzinie piątej rano bezpłatnie udziela. Najmuje więc inne, z dwóch wielkich pokoi złożone, w domu Aptekarza, u którego się stołuje. Bo Karol pomimo znacznych intrat nie zmienia w niczém trybu swego życia. Jedyny zbytek, którego sobie pozwala, są konie wierzchowe. Jazda konna odpowiada lepiej nagłości jego myśli — niepodległości woli. Upatruje w niej także znaczną oszczędność czasu. Wizyty za miastem — po wsiach, tym oddaje sposobem. Na większe odległości rozstawiają mu konie. Wytrwały na wszelkiego rodzaju znoje i fatygi, nieraz Doktor Karol idzie do szpitalu, lub odwiedza chorego, odbywszy w dniu piętnaście mil drogi.

Poszukiwany dla nauki i talentu przez wszystkich w prowincyi intelektualnie wykształconych ludzi; — ceniony wysoko i poważany od każdego dla cnót i przymiotów, — znany wszystkim dla szczęścia, które jego gorliwości w praktyce ciągle towarzyszy; — błogosławiony i wielbiony od ubogich, za bezinteresowność i nieustanne dobrodziejstwa, Karol staje się prawdziwie popularnym człowiekiem.

W téj to świetnej epoce życia Doktora Karola kładziemy scenę, o której Prolog traktuje. Prowadzi ona nas do zdarzenia — przedmiotu Akcyi — które się w rodzinném mieście Doktora Karola odbywa.

Mówiąc: Akcyja, nie używamy właściwego wyrażenia. Ściśle rzeczy biorąc w dramacie niniejszym nie ma *akcyi* — jest tylko: *narracya*.

Wybraliśmy zaś dramatyczną formę z powodu, że forma ta najwierniej szkicuje człowieka. Zdaje nam się, że w dyalogu lepiej stosunki życia rzeczywistego ujęte być mogą — takie zaś sam tytuł dramatu zapowiada; — że dyalog najwłaściwszym jest kształtem dla szczegó-

łów, jakie dzień w biegu swoim naznacza. Wybraliśmy tę formę dla tego zwłaszcza, że monolog niezaprzeczenie najlepiej — najżywiej i najzwężlżej stan duszy maluje: a dramat nasz jest dramatem wewnętrznym (intime) w najwyłączniejszém tego wyrazu znaczeniu — jest, jeżeli tak powiedzieć wolno, dramatem *w sobie*.

Wiemy, że kształt ten powieści najtrudniejszym jest do przeprowadzenia, że najwięcej reguł do zachowania w wykonaniu przedstawia. Nie pochlebiamy sobie, abyśmy wszystkie przeszkody zwyciężyć — i zadaniu godnie odpowiedzieć umieli. Cała nasza nadzieja, że charakter Doktora Karola wyjedna może niejakię pobłażanie dla słabości wyobraźni i nieudolności pióra.

Grudzień 1848.



SZTUKA I MIŁOŚĆ.

DRAMAT

w dwóch dobach rzeczywistego życia.

STORER & MILES

YAMAHA

W. B. STORER & MILES

0 2 0 1 7

Prolog.

O S O B Y.

HRABIA JAN,
WŁADYSŁAW, } przyjaciele Doktora Karola.
SŁUŻĄCY.

Rzecz dzieje się w pomieszkaniu Hrabiego Jana —
w końcu Listopada roku 1830.

je

wie
wcz

Gabinet Hrabiego Jana. — Hrabia siedzi przed stolikiem i czyta. —

WŁADYSŁAW.

(Wchodząc). Dzień dobry Janie.

HRABIA.

Jak się masz Władysławie — czy dzisiaj przyjechałeś?

WŁADYSŁAW.

Co dopiero, i zaraz przychodzę do Ciebie dowiedzieć się, jak się ma twoja kuzyna. List mnie wczoraj zatrwożył

HRABIA.

I miał czego — (*przysuwając krzesło*) siadaj. Kassylida jest mocno chora — lubo, jak to mówią, złego jeszcze nic nie ma. Ale słabość ciężka — niebezpieczna. Doktorzy według zwyczaju nie chcą wyraźnie się oświadczyć — by się nie skompromitować — jednak widzę ich wachających się — niespokojnych ... Cała moja nadzieja dla Kassylidy w Karolu.

WŁADYSŁAW.

Widziałeś go dzisiaj?

HRABIA.

Dzisiaj? .. chyba żartujesz ... godzina dziewiąta z rana! Toć trzeba być żebrakiem lub leżeć w szpitalu, aby Karola o tej zobaczyć godzinie.

WŁADYSŁAW.

Prawda ... zapomniałem. A wczoraj?

HRABIA.

Wczoraj i zawczoraj .. i codziennie przy łóżku chorej Kassylidy ... pilnuje ją z pieczołowitością prawdziwego przyjaciela.

WŁADYSŁAW.

Powiedz mi — jakim Ci się wtedy wydaje?

HRABIA.

(Z zadziwieniem). Kto? . . .

WŁADYSŁAW.

Karol

HRABIA.

Doktor? . . .

WŁADYSŁAW.

Tak jest . . . on . . . Chciałbym wiedzieć, czy nie zmienia w czém sposobu postępowania, z jakim się zwykle z pacyentami obchodzi?

HRABIA.

Doktor? .. on tam — przy Kassyldzie — taki jak wszędzie — taki, jakim go znasz od dawna .. jakim go sto razy widziałeś. W obec cierpienia spokojny — niewzruszony: lekki uśmiech w uldze, którą sprawił, dopiero znajduje . . . Ale czemu mnie o to pytasz? ..

WŁADYSŁAW.

Więc żadnej nie spostrzegłeś zmiany? ..

HRABIA.

Najmniejszej. —

WŁADYSŁAW.

(Z przyciskiem). Żadnej? — żadnego niezwykłego drgnięcia? .. znaku bojaźni ... trwogi ... żalości? ... łzy w oczach? ...

HRABIA.

Nic wcale, powtarzam. Ale cóż znaczy ta inkwizycja? ..

WŁADYSŁAW.

(Do siebie). Zwyciężył! ... co to za człowiek! ... co to za siła woli! ...

HRABIA.

Proszę Cię, powiedz — bo nic nie rozumiem, a ciekowość moję, wyznaję, do najwyższego pobudziłeś stopnia. —

WŁADYSŁAW.

Pojmuję — i po tém, co mówisz ... po tém zaręczeniu nie widzę, czemu bym jój nie miał zaspokoić. Pytałem się Ciebie o te szczegóły, bo wiem, że nasz przyjaciel był w Kassyldzie zakochany.

HRABIA

(zrywa się i staje).

Zakochany? ... to być nie może!

WŁADYSŁAW.

Było przecie, jak mówię. —

HRABIA

(chodzi po pokoju).

On? .. doktor Karol? .. zakochany? ... to być nie może, powtarzam. — On? ... którego Bogiem Polska, a religią Ludzkość ... on ... który oddał się całej ludzkości w nadziei, że przez nią Boga swego kiedyś ujrzeć potrafi ... Nie! miłość nie może znaleźć miejsca w sercu tak zajętem ... w umyśle tak czynnym ... w życiu tak pracowitem ...

WŁADYSŁAW.

Masz rację — ja to samo myślałem. —

HRABIA

(zatrzymuje się).

Zapewne kuzyna moja ... kobieta, jak Kas-sylda z tém ognistém sercem w ciele tak schorza-łem, przy tylu prostocie — z tak bujną imagina-cją — z opiniami tak stałemi ... wykończonemi — z tą excentrycznością w wykonaniu energicznem tego, co jój się wola nazywać podoba — szcze-gólniej téż z tą żądzą niepohamowaną ofiary i po-święcenia ... zapewne, mogła zrobić wrażenie na

człowieku, jak Karol. Nic też naturalniejszego nad tę sympatyą, którą czuli jedno ku drugiemu . . . Ależ miłość . . . miłość? .. czy wystawiasz Ty sobie Władysławie to uczucie w Karolu? . . . czy nie widzisz tę burzę straszliwą te druzgoty . . . te łomy . . . konieczne jój skutki? .. bo czyż nie z gwałtownością pioruna namiętność uderzyłaby musiała chcąc się przedrzeć w ten charakter z granitu? . . . (*siadając*). Nie, mój przyjacielu — uwiodły Cię pozory prostej przyjaźni, którą widziałem . . . na którą patrzę ciągle . . . przyjaźń tak spokojna i wyraźna, że co do mnie, przypuścić nie mogę innego między niemi uczucia.

WŁADYSŁAW.

Twój sceptycyzm nie dziwi mnie wcale. Byłem i ja niewiernym Tomaszem, aż do chwili, gdzie się dowiedziałem.

HRABIA.

(*Z żywością*). Od kogoś się dowiedział? . . .

WŁADYSŁAW.

Od niego. —

HRABIA.

(*Powstając*). Od Karola? . . .

WŁADYSŁAW.

Tak jest — od Karola.

HRABIA.

Od doktora ... to rzecz niesłychana! .. i jakimże dla Boga sposobem? ..

WŁADYSŁAW.

Najprościejszym w świecie. Usiądź i postuchaj.

(Hrabia siada).

Przypominasz sobie zapewne nagłą w humorze Karola zmianę ... we dwa lub trzy lata po powrocie z Berlina? — On taki otwarty i dobry, stał się raptem ponurym ... gniewliwym: — w rozmowie przebijała głęboka melankolia, a niespokojność w ruchach świadczyła o wewnętrznej walce.

HRABIA.

Tak — tak — mawiał wtedy o projektach podróży.

WŁADYSŁAW.

Otóż właśnie. — Ja, za nadto znałem Karola, aby mnie widok tych symptomatów nie miał niepokoić, prawie nie nieznaące dla świata — mnie przestraszały. Żyjąc w zażyłości z Karolem

jeszcze w uniwersytecie, wiedziałem, ile on cierpieć musiał, by spokojność i myśl swobodną utracić. Oszczędzę Ci domysłów poszukiwań, do których stan moralny doktora był dla mnie pobudką — słowem — włożyłem to na karb jego samotności i w konkluzyi ułożyłem, że się winien ożenić.

HRABIA.

Ale z kim? . . .

WŁADYSŁAW.

To też sęk. — Przechodząc przez sklep właściciela domu, by odwiedzić Karola, spotykałem był nieraz młodą i piękną osobę, mniej więcej ośm-nastoletnią . . .

HRABIA.

Znam ją także . . . prześliczna — jest tam jeszcze — to córka aptekarza Romualda. —

WŁADYSŁAW.

Ona sama. — Otóż miałem ją w podejrzeniu, że kocha Karola. Jakżeż nie mieć téj myśli? . . . Każdy kto go zna lepiej, ulega tym czarownym przymiotom, jakie z jego natury nadzwyczajnej, a tak dziwnie dobrej wynikają. Tysiące talarów, które płaci za przepisane dla ubogich le-

karstwa, a które prócz należnej za najem pomieszkania summy corocznie w ojca przechodziły ręce — musiały swym wspianiałej szczydrotę blaskiem, córki zażywiać entuzjazm. Uważałem ją pilnie — wiesz Janie — w czasie choroby pierśsiowej przez Karola przebytęj, która dotąd została ślady — i przekonałem się o słuszności mojej konjektury.

HRABIA.

I myślałeś, że toby była dla Karola osoba? ..

WŁADYSŁAW.

Tak jest — myślałem. Sądziłem bowiem, że miłość już na zawsze uduszona jest w sercu wyłącznie przejętém żądzą dla dobra kraju — sądziłem, jak ty Janie, że jest niepodobną w exystencyi tak przepelnionęj. Karol mówił mi często ... pochlebnie .. z dobrocią i przyjaźnią o Helenie — to jęj imię: — mawiał jakby to czynił ojciec o swoim dziecięciu. Chciałem powierzyć więc Helenę tęg miotanęj czemsiś tajemniczém duszy — w nadziei, że obowiązek tak słodki spokój jęj przyniesie. Łatwość zawarcia tego związku — bezinteressowność Karola — nakoniec przekonanie, że małżeństwo to nie mogło nigdy stać się w przy-

szłości dla niego przeszkodą najwięcej mnie do tego zdecydowało przedsięwzięcia. —

HRABIA.

(*Z uśmiechem*). Dodaj, że zasady demokratyczne tak głośno przez doktora proklamowane były ci więcej jeszcze, niż ostatnia, ta przyczyna, do tego kroku pobudką?

WŁADYSŁAW.

W istocie — dobrze mówisz. Udzieliłem planu mego Twemu kuzynowi — Eustachemu. Karol — wiesz — często bywał w jego domu, jako doktor Kassylidy i wiele ku jój bratu okazywał przychylności. Eustachy podzielał moje zdanie — obiecał pójść razem i popierać. Udaliśmy się więc jednej nocy do doktora — i zastali jak zawsze zatopionego w książkach. Przyjął nas serdecznie, ale z tą surowością — która go nigdy nie porzuca. Pomimo pewnego rodzaju niedowoli — powiem nawet bojaźni, która się zawsze przejawia w jego obecności — pomimo, mówię Ci, tego uczucia prawdziwej jego wyższości, a trudnego przedmiotu . . . silny będąc przekonaniem, że chcę dobrze czynić — po prostu przystąpiłem do rzeczy. Słuchał mnie Karol spokojnie — bez najmniejszej nie-

cierpliwości — bez oznaki wstrętu. Gdym skończył, miałem sprawę za wygraną. Przeszła chwila milczenia — podczas której czoło Karola się zachmurzyło — i brwi się ściągnęły. Moi przyjaciele — rzekł wreszcie — to być nie może. — Dla czego? zapytałem. — Obrócił się wtedy do Eustachego i odpowiedział tonem najnaturalniejszym w świecie: bo twoją siostrę kocham

HRABIA.

(Porywczo). A to nie do pojęcia!

WŁADYSŁAW.

Osądź nasze zdziwienie — staliśmy osłupieni.

HRABIA.

Ah spodziewam się — i było też czego . . .
vox faucibus haesit!

WŁADYSŁAW.

Szczerością i otwartością za szczerść i otwartość Waszę odplacić winienem — ciągnął dalej po krótkiej pauzie Karol — wszystko jest niepodobnym i być nie może dla mnie — co się na drodze mojej nie znajduje. Znam ją doskonale — bom ją przejrzał w całej jej przestrzeni — przyjąłem ją — nią idę. Sam na niej jestem — sam

na niej pozostać muszę . . . tak chcę! . . . Po-
wstał — przeszedł wzdłuż pokoju razy kilka —
wrócił — wyciągnął ku nam obie ręce . . . i rzekł
z prostotą, która się w nas boleśnie odbiła: Dzie-
kuję wam kochani za waszą troskliwość Do-
wód mojej wdzięczności macie w tém, com wam
powiedział Zatrzymał się — i pokrótce do-
dał z tym akcentem decyzji, który, jak wiesz Ja-
nie, żadnej nie przypuszcza repliki: Dałem wam
ten dowód, byście mi już nigdy nic więcej w tym
przedmiocie nie mówili — uczyniłem to, bo uzna-
łem za sposób, by świat o tém nie wiedział . . . tak
jak sam o tém wiedzieć nie chcę! . . . Nie trwo-
źcie się o mnie — niech was samotność moja nie
przeraża . . . Jest ona w mojem powołaniu, a wie-
cie — dorzucił z uśmiechem — czy moją karierę
miłuję? . . . Wiercie zwłaszcza méj woli! . . .
ufajcie jej. — Ona losy dziecka ludu zwa-
czyła . . . ona, nieszczęście z twardej potrafiła
wyrzucić kolei — ona może przeznaczenie prze-
mogła . . . Ufajcie jej . . . ona przytłumi namię-
tność silną głęboką . . . ale powtarzam wam, dla
mnie nie podobną . . . Tak jest — niemoże-
bną to właściwy wyraz Ścisnął nas
za ręce i usiadł. — Czoło się wypogodziło —

twarz swobodną przybrała expressyą. Spokojnie zaczął o polityce rozmawiać.

HRABIA.

Nie mogę przyjść do siebie z ciągłego podziwu Cóż to za szczególny człowiek ten Karol! . . . A Kassylida, nigdy o tém nie wiedziała — co? — Władysławie? . .

WŁADYSŁAW.

Nie myślę, aby brat był jój kiedy to zwierzenie Karola objawił. Ja, wierząc w jego siłę moralną — lecz nie widząc koniecznej celibatu potrzeby — próbowałem raz jeszcze szczęścia mu przychylić. Kassylida, od śmierci rodziców żyje w odosobnieniu — używa całkowitej niepodległości osoby i majątku, — zasady jój nadzwyczaj liberalne — dowody żywój sympatyi, któremi, widziałem nieraz, tak chojnie obsypuje Karola — wszystko to . . . ośmielało mnie do nowój wyprawy. Pewnego wieczora . . . po długiej o Karolu rozmowie, namieniłem zrećźnie, jak bardzo życzyłem sobie móż go ożenić . . . i dodałem podstępne oświadczenie, że znam zaporę, przed którą znika dla mnie wszelka udania się szansa. Naprowadziłem pomału konwersacyą na nią samę — i to dosyć delikatnie, aby jój zostawić

pole do dania mi choć jedném słówkiem odwagi do całkowitéj konfidencyi Ale wszystko na-próżno. Podobnie, jak u Karola, żaden gest . . . żadno poruszenie . . . najlichszej nawet nie zdradziło emocyi. Z naiwnością i doskonałą gracyą opowiadała mi Kassylida swoją dla Karola przyjaźń — rozwodziła się wielce nad wdzięcznością, którą mu winna i winną będzie całe życie, ale — patrz Janie na szczególność spotkania — ale, dodała, ja lepiej niż ktokolwiek rozumiem jego samotności pociąg — gdy sama jestem zdecydowana nigdy za mąż nie pójść

HRABIA.

W saméj rzeczy — dziwnie! osobliwie! . . . No! — przynajmniej się nie zawiodłem na Kassylidzie. U niej nie było tylko uczucie przyjaźni. Co zaś do naszego przyjaciela, wyznam ci szczerze, że ja podobną siłę woli — z niebytem wszelkiego uczucia, na jednéj szali kładę.

WŁADYSŁAW.

Być może — a może téż upadło pod brzemieniem czasu. Blisko pięć lat upływa, jak nam sekret swój odkrył — mówić Ci niepotrzebuje, czy choć raz od téj doby na wargach naszych

postał. Wydałem go dzisiaj — bo widzę, że martwy. Po tém, coś mi powiedział o Karolu przy łożu cierpiącej Kassylidy . . . chorój i to niebezpiecznie — pewny jestem, że sekret istnąć przestał.

HRABIA.

I to dawno — już dawno. Zaręczam Cię Władysławie, nie potrzebowałeś tego ostatniego dowodu panowania Karola nad sobą. Pan to absolutny! . . . Pięć lat temu mówisz? . . . i ani jedna zapomnienia chwila? . . . ani godzina szału . . . uniesienia . . . niewstrzymanego pociągu? . . . oh jakże miał racją doktor, rzucić wam te wyrazy: ufajcie méj woli!

(Służący wchodzi.)

Co powiesz?

SŁUŻĄCY.

Pan doktor Karol kazał Panu Hrabiemu oświadczyć, że Pannie Kassylidzie dzisiaj dużo gorzej — prosi zatem, abys Pan Hrabia mógł tam przyjść, gdyż chciałby z nim przed odejściem pomówić.

HRABIA.

Odpowiedz, że przybywam natychmiast.

(*Służący odchodzi — Hrabia do wyjścia się gotuje.*)

WŁADYSŁAW.

Więc brata jój tu nie ma?

HRABIA.

Właśnie téż, że nie ma Eustachego — wczoraj posłałem do niego sztafetę. Musiała nie zastać go w domu — boby już był zdążył. — Biedna Kasylida! . . umrze niezawodnie! . . .

WŁADYSŁAW.

Nie trać otuchy Janie — mam dobre przecucia. —

HRABIA.

Bodajby prawdziwe! — Bądź zdrow . . .

WŁADYSŁAW.

Odprowadzę Cię — mam przykry z landszaftą interes — muszę się Pawła poradzić — w jedną więc idziemy stronę. —

(*Odchodzi.*)

KONIEC PROLOGU.

SZTUKA I MIŁOŚĆ.

DRAMAT

w dwóch dobach rzeczywistego życia.

OSOBY.

DOKTOR KAROL.

KASSYLDA.

EUSTACHY, jój brat.

HRABIA JAN, jój krewny.

WŁADYSŁAW, przyjaciel Doktora Karola.

ROMUALD, aptekarz.

HELENA, jego córka.

JAKÓB, służący Doktora Karola.

DWAJ LEKARZE.

ELEW MEDYCYNY.

DOZORCA SZPITALU.

UBOGA KOBIETA.

CHŁOP.

BRYFTREGER.

FILIP, lokaj.

DZIEWCZYNA, służąca niemiecka.

PODOFICER.

SZYLDWACH.

KOBIĘTY, służące Kassylidy.

STRÓŻE przy szpitalu.

(Rzecz dzieje się w mieście rodzinném Doktora Karola.)

DOBA PIERWSZA.



DORA FIRRWSSA

Pokój doktora Karola — między dwoma oknami stolik do pisania — na nim książki ... papiery — lampa z zieloną zasłoną — na prawo szafa otwarta, pełna ksiąg .. foliaków — na lewo kanapa — przed nią okrągły stół — kilka stołków w około — dalej na lewo komin — na nim zegar — naprzeciw komina łóżko proste, jakby obozowe — na ścianie wisi para pistoletów — naprzeciwko stolika do pisania drzwi w głębi na pół otwarte — przez nie widać obszerny przedpokój oświetlony małym kagankiem — ławki do koła ścian — na jednej spoczywa człowiek na wpół ubrany.

DOKTOR.

Karol siedzi przed stolikiem do pisania w krześle safianowém — nieruchomy — z założonemi na piersiach rękami — z głową na dół zwisłą — oczy w jedno wlepione miejsce świadczą głębokie zadumanie — po chwili podnosi z wolna głowę.

To ona ... Kassylida! ... wciąż ona! ... jój obraz wciąż przedemną — jój rysy schudzone — wzrok boleści pełen — wyraz jedno cierpienie — żądają méj pomocy ... błagają o ratunek i wyrzucają niemoc — a przeszkadzają ciągle w myśleniu — czytaniu — szukaniu. ...

(Pauza.)

Każda chwila, co od przeszłości oddała, to smutne przekonanie ... gorzkie doświadczenie! ... W Heidelbergu — spracowany — znużony — dla wypoczynku błąkałem po ruinach — ot tak mi się zda nie dawno ... marzyłem ... o miłości — o sercu — i głos jakiś proroczy w samym sobie słyszałem: — Nie, ty nie będziesz kochał! .. nie dla twego serca to uczucie Karolu! ... To być nie może! ... Wierzyłem — jakże życia nieświadom ... oh, jakże zarożumiał byłem! ... gdym głosowi zawierzył — A później? to już tak niedawno ... to wczoraj ... w Berlinie ... gdy żałowałem, że trudów mojej sztuki słodzić nigdy nie będę mógł myśla ... kochaną leczć kiedyś osobę! ... że nigdy nie poznam tego nad wyraz szczęścia! .. oh jakże wtedy z życia nic jeszcze nie widziałem ... oh jakże głupi byłem! ...

(Zamyśla się — i znów mówi po chwili. —)

Stoję na ostatecznej granicy sztuki — heroicznego muszę użyć środka — — to być, albo nie być ... szekspirowska kwestya — Hamlet mówił te słowa — dla siebie *(z uśmiechem)* dla siebie? .. to łatwo — jedno skinienie woli ... tak chcę — ją roztrzyga. — Co chcę — to się stanie ... stać

się musi — — to łatwo! ... Ach wrzucić na szalę
być lub nie być dla kogo ... dla kogo, co się kocha
— i nie wiedzieć, czy życie, czyli śmierć się rzu-
ca? ... to okropność! .. to jest heroiczny środek —
tam to wie dzie sztuka — przepaść ... nad którą
stoję. ...

(Chwila niespokojnego milczenia. —)

A cóż to za cierpienie! .. jakże boli ta bojaźń
— takie powątpiewanie! .. jakże męczy to wacha-
nie w użyciu tego, co się wie .. co się umie! ..
Chcieć tyle i tak silnie .. chcieć więcej, niżli sztuka
— a nie móżdż tyle nawet ... ile może sztuka ...
dla braku spokojności — zimnej krwi — decyzji! ..
Boję się ... bo woła milczy ... O niestety! miłość
to ogień, co pali — ale nie oświeca! ..

(Po pauzie.)

Lecz dawniej? ... umiałem chcieć — spokojny
byłem — pewny ... a przecie kochałem. Tak —
prawda — ale ta, co kochałem, nie była przy sko-
nie. ...

(Zegar bije — doktor wstaje i słucha. —)

Północ — godzina przeszło jak odszedłem —
cóżem zrobił? .. przebieżmy w myśli całą jeszcze
raz chorobę. ...

(Chodzi po pokoju — potem staje przed stolikiem i rachuje.)

Dwódziesiąty pierwszy dzień — tak — niezawodnie dzień krytyczny — Moxa postawiona o dziesiątej godzinie . . . zobaczymy, jakie winny być skutki . . .

(siada i bierze książkę.)

W każdym sposób nic gwałtownego zająć nie może . . .

(Czyta.)

To wiem — nie traćmy czasu, by nie było za późno . . . za późno!.. straszne słowo . . . dręcz mnie wskrósź przechodzi. —

(Rzuca książkę — bierze inną i szuka.)

Aha!.. otóż to właśnie . . .

(Słychać gwałtowne dzwonienie.)

Cóż to być może? strach mnie ogarnia . . .

(Wstaje.)

Ale nie . . . to być nie może . . . to nie. —

(Siada i woła.)

Jakóbie!.. ktoś dzwoni . . . Jakóbie! idź zobaczyć — może mnie kto potrzebuje . . .

(Człowiek w przedpokoju wstaje i wychodzi.)

Nie — to być nie może — to nie od Kassyldy — cóżby tak niespodziewanego zajście miało?...

(Patrzy w książkę.)

Ot nowy jeszcze jeden zaspokajający dowód...

JAKOB

(powraca i mówi z przedpokoju.)

Człowiek od panny Kassyldy przybiegł donieść, że pani jego umarła.

DOKTOR.

(osłupiały.) Umarła!?..

(Porywa się.)

Umarła!.. . przekłety — za późno. —

(Odpycha książki.)

Umarła — precz odemnie próżna sztuko!..

(Porywa za kapelusz — idzie ku drzwiom i staje.)

Umarła?.. to być nie może ... to sen. —

(Wychodzi.)

Sypialnia Kassylidy — drzwi uchylone — naprzeciwko drzwi w oknie dwóch lekarzy rozmawia po cichu — na lewo łóżko, na którem spoczywa Kassylida przykryta bielą — w około łóżka klęczy kilka kobiet — na prawo hrabia Jan o piec oparty — dalej drugie drzwi do przedpokoju wiodące.

DOKTOR.

(Karol na progu drzwi głównych — do siebie.)

Te drzwi otwarte!.. więc nie sen — to na jawie...

(Stoi i zatacza okiem po pokoju.)

HRABIA

(do siebie.) Ach to on .. doktor — biedny człowiek, jakżeżby cierpieć musiał ... gdyby...

PIERWSZY LEKARZ.

Otóż nasz kolega — zdaje się zdziwiony.

DRUGI LEKARZ.

Wszystko jedno — zaraz łąać będzie. —

(Doktor idzie po mału do łóżka — daje znak kobietom, by się oddaliły — bierze lampę ze stolika obok stojącego — odrzuca prześcieradło kryjące rysy umarłej — zaczyna doktorski examini.)

HRABIA.

Nie spuszcza jmy go z oka — cóż za spokojność!.. jaki zimny — jak puls domacać się stara. —

DOKTOR

(puszcza rękę Kassylidy.)

Ani znaku *(półgłosem)* o moje biedne serce!...

HRABIA

(do siebie) Szuka teraz bicia serca, z jakąż doktorską zimnotą! Tak .. szukaj ... napróżno!.. o czemuż tu Władysława nie ma — przekonałby się, czy to jest kochanek!..

DOKTOR.

Nie! żadnej iskierki — nadziei! — Kończmy... *(dotykając nóg)* śmierć.. zimna!.. *(ciężkim głosem nachylając się)* Kassylido!.. mnie zimniej, jak Tobie!...

HRABIA.

Jakże na nią zarzuca pośmiertne przykrycie... jacto?.. i ani jednej łzy uronić nie zdoła?.. ani

jednego nie uchwyćę serdecznego gestu?.. To nie-
podobna .. tyle natura ludzka nawet najsilniejsza
dokazać nie jestw stanie. —

DOKTOR

(po krótkiem zamyśleniu stawia lampę.)

Consummatum est!

HRABIA.

Nie kochał jój nigdy!...

(Idzie na przeciw doktora, który ku oknu zmierza.)

Tak więc Karolu ... umarła?

DOKTOR

(z prostotą.) Widzisz, jak ja — skończyła!
(do lekarzy). Prosiłem był Panów, abyście mi
znać dali, skoro tylko najmniejszą w stanie cho-
roby spostrzeżecie zmianę — nie uczyniliście
tego. —

DRUGI LEKARZ.

(Cicho do pierwszego.) A co nie mówiłem?..

PIERWSZY LEKARZ.

Nie bylibyśmy omieszkali tak zrobić, lecz mo-
żności nie było. —

DOKTOR.

I dla czegoż czekaliście śmierci, aby mnie przywołać? ...

DRUGI LEKARZ.

Dla tego właśnie, żeśmy jój nie czekali — przyszła tak niespodzianie.

DOKTOR.

(*Z żywością*). Bez poprzedniego osłabienia? ..

PIERWSZY LEKARZ.

Bez najmniejszego wyniszczenia sił — nasze doświadczenie, wyznajemy, nie było wystarczającym. —

(*Doktor robi poruszenie zadziwienia*).

Tak jest panie — skończyła rzecz można bez skonu — spazm mały nie znaczący . . . ledwo poruszenie podobne do czkawki. —

DOKTOR.

(*Z namysłem*). Doprawdy? . . . to rzecz nadzwyczajna. —

DRUGI LEKARZ.

(*Do Hrabiego*). Po użytych przez nas środkach — szczególnie po stawieniu moxy śmierć ta pra-

wie nagła jest wyjątkowém zdarzeniem, zagadką dla sztuki. W jój to imieniu chcemy prosić Pana Hrabiego, aby pozwolił przez dyssekcją, dowiedzieć się istotnej jój przyczyny. Pan doktor Karol przyczyni się, sądzimy, do naszej prośby, bo patrz Panie Hrabio, *(wskazując na doktora)* z jaką uwagą cały skład jój rysów przechodzi.

DOKTOR.

(Podczas gdy lekarz mówił do hrabiego Jana, poszedł do łóżka umarłej, odkrył jój twarz i z pilnością się w nią wpatruje).

(Do siebie). Na nic — to na nic wszystko! Ja nie widzę trupa — sam za nadto cierpię.
(Bierze kapelusz i wraca do okna).

PIERWSZY LEKARZ.

Zdanie nam swe powie.

DOKTOR.

(Podaje rękę hrabiemu).

Bądź zdrów Janie — w dzień wrócę.

HRABIA.

Bądź zdrów przyjacielu! *(na stronie)* co za dziwny człowiek!...

PIERWSZY LEKARZ.

Słówko Panie kolego: jakaż twoja opinja o wypadku tak ciekawym?

DOKTOR.

(Przerywając). I tak nieszczęśliwym!
Nie rozumiem go wcale. Żegnam Panów.

(Wychodzi i starannie drzwi za sobą zamyka).

HRABIA.

I my tu więcéj podobno nie mamy co robić — kobiety się zostaną — przejdźmy do salonu.

(Odchodzą).

Pokój doktora Karola.

DOKTOR.

(Wchodzi — kładzie kapelusz na stoliku — i rzuca się na krzesło, jakby wielkim tłoczony ciężarem — po chwili milczenia.)

Tak — istotnie — to było na nic! . . . Trupa nie widziałem! . . . ja widziałem Kassylde . . . śpiącą — snem spokojnym — kołysaną na skrzydłach najpiękniejszych marzeń! . . . Twarz jój nie zmieniła wyrazu — lecz serce bić przestało — członki zlodowaciały — umarła! . . . Umarła? a ja — ja — Doktor Karol nie mogłem tego widzieć? . . . ja — odejść musiałem? . . . Cóż się więc zemną dzieje! . . .

(bierze głowę oburącz i spiera na kolanach — po chwili wstaje i chodzi po pokoju).

Czemuż ja ją porzucił? . . . czemu za nadchodzącą śmiercią trop w trop nie kroczyłem! . . . ileż to razy

udało mi się pochwycić życie już na fatalnej pochyłości skonu — w samej chwili, gdy już nieodwołalne pożegnanie świata wyrzekało. —

(Staje).

Lecz podobno mówili tamci, że śmierć nagle zaskoczyła — tak — tak — przyszła niespodziewanie — wa — nie mówili *(z goryczą)*. Ciekawy dla nich wypadek — w samej rzeczy. — Zda mi się, że wyraz dyssekcya uderzył me uszy... że sztuka tego żąda... *(jakby przebudzony)*. A ja sam? od jakiegoż to czasu sztuka dla mnie obcą... obojętną? ... nie dosyćem jej przyniósł poświęceń w ofierze? ... po cóż wreszcie przyszedłem tu — kiedy tam ona umierała? ...

(Patrzy na stół i spostrzega otwarte książki).

Otóż pamięć mi wraca — do sztuki tu przyszedłem ... do sztuki! do niej, aby ją błagać o pomoc ... o światło! ... do niej — do celu mych nauk méj pracy! ... do niej — jedynéj w mych cierpieniach pociechy ... *(z exaltacją)* Sztuko! ty mnie wołasz? nie prawda? ... Oto przychodzę na twe zawołanie — oto jestem — rozkazuj!...

(Idzie szybko do stolika — siada i czyta — lecz po chwili przestaje i zmęczony opiera się przechylając głowę w tył krzesła.)

Nie — czytać nie mogę — ciało upada...
potrzebuję spoczynku — czuję to — położę się,
by spać kilka godzin.

(Kładzie się na łóżko — po chwili się zrywa).

Spać! ... oh to gorzkie szyderstwo! ...

(Chodzi po pokoju).

Ale przecie by myśleć jak należy — jak powinienem — muszę trochę wypocząć — *(z decyzją)*
więc śpijmy. —

(Kładzie się).

Niepodobna? ... o nie — bo chcę spać.

(Po chwili).

Jakże tu zimno. —

(Przykrywa się płaszczem).

Będę spał! —

(Zasypia — po jakimś czasie przebudza się i twarz rękami zakrywa).

Srogie przebudzenie! — Umarła! ...

(Długie milczenie, podczas którego siedzi na łóżku z spuszczoną głową).

Uzbrójmy się w wolę. —

(Wstaje i chodzi po pokoju)

Jestże co do czynienia? — otóż całe zadanie.

(Zatrzymuje się nagle i uderza ręką o czoło).

Czyż wczoraj nie postawiono moxy chorój No. 6.
zda mi się? . . . Choroba téj kobiety ma cokolwiek
analogii . . . więc idźmy natychmiast.

(Porywa za kapelusz i staje).

Nadaremnie . . . wszak Kassylida umarła — o to
nic — bo to dla sztuki — dla sztuki!

(Wybiega z pośpiechem).

Sala w miejskim szpitalu — napelniona łózkami — oświeca ją lampa zawieszona u suffitu — dwoje okien — dwoje drzwi otwartych — jedne prowadzą do całkiem podobnej sali — drugie do małego gabinetu, gdzie widać młodego człowieka siedzącego przy stoliku i piszącego — dozórca i stróża przechodzą usługując chorym — nad każdym łóżkiem wisi tabliczka z numerem — pod No. 6. spoczywa kobieta z zamkniętymi oczami — po głośnym, a ciężkim oddechu wiedzieć tylko można, że żyje. —

DOKTOR.

(Karol wchodzi do sali — mija kilka łóżek i zatrzymuje się przed tem ostatniem — za nim jeden z dozorców).

Kto miał nadzór téj nocy?

DOZORCA.

Pan Elew.

DOKTOR.

Gdzie jest?

DOZORCA.

Pisze w izdebce ustępowej.

DOKTOR.

Powiedz mu, że tu jestem — chciałbym z nim mówić.

(Doktor zostaje przy łóżku w obserwacji chorób — dozorca idzie do gabinetu i ciągnie Elewa za suknię).

ELEW.

(Piszcząc). Cóż tam znowu?

DOZORCA.

Panie! Doktor Karol przyszedł i woła Pana.

ELEW.

(Obracając się). Doktor Karol o tej godzinie?

(Wstaje i z pośpiechem wchodzi do sali).

Jestem na rozkazy Panie doktorze — przepraszam, że rapporta jeszcze nie wykończyłem — szóstka, zdaje mi się, nie była ...

DOKTOR.

Nie nie szkodzi — przeczytam je później. — Czy umarł kto tej nocy?

ELEW.

Nie, Panie doktorze.

DOKTOR.

Nikt! (*do siebie*) czemu mnie to dziwi? ...

(*Chodzi wzdłuż sali — potem jakby sam do siebie wracając, wraca do łóżka N. 6.*)

(*Do Elewa wskazując chorą*). Żle bardzo z tą kobietą.

ELEW.

Kona biedna już bardzo długo.

DOKTOR.

(*Z żywością, nie spuszczaając chorą z oka*). Mówisz Pan, że kona od dawna?

ELEW.

Tak panie doktorze — według ostatniego pańskiego przepisu, postawiłem moxę o siódmiej w wieczór.

DOKTOR.

(*Z wzrokiem do chorą przykutym*). Dobrze, no — i cóż dalej? ... proszę mi wszystkie symptomata opowiedzieć — z godziny na godzinę, z chwili w chwilę ...

ELEW.

Jeżeli pan doktor chce czytać — raport jój aż do tej godziny już gotów — przyniosę.

DOKTOR.

To jeszcze lepiej — lecz wolę go przeczytać u Ciebie.

ELEW.

Służę panu doktorowi. —

(Wchodzi do gabinetu — doktor czyta z uwagą podany papier — poczem wracają do sali i wykonywają na chorąj długą i szczegółowy examina).

DOKTOR.

(Półgłosem jakby do siebie). Życie nie może!

ELEW.

Tak mniemałbym Panie.

DOKTOR.

(Podobnie). Muszę być przytomnym jej śmierci.

ELEW.

Każę na czas Pana doktora uprzedzić.

DOKTOR.

Nie — bo muszę ją obserwować — ciągle aż do chwili, gdzie ducha wyzionie.

ELEW.

To jeszcze długo potrwać może — a jeżeli pan doktor ...

DOKTOR.

(*Przerywając*). Wszystko jedno — poczekam.
(*Do stróża*). Daj mi stołek. (*Do Elewa*). Możesz
Pan iść raporta wykończyć.

(*Siada u nóg łóżka na podanym stolku*).

ELEW.

(*Odchodząc do stróża*). Nie zapomnieć zgasić
lampy — skoro tylko dzień się zrobi — jeden z was
niech tu ciągle będzie na usługi pana doktora.

DOKTOR.

(*Kładąc rękę na czoło*). Co za okrutne do-
świadczenie potrzebne (*z westchnieniem*)
konieczne.

(*Wzrok w chorąg zatapia — i siedzi nieruchomy*).

ELEW.

(*W gabinecie*).

Doktor jakiś nieswój dzisiaj — ale jak też ten
człowiek swoje sztukę kocha — to aż patrzeć
niło.

(*Siada i pisze*).

Przedpokój doktora Karola.

JAKOB.

(Suknie chędoży na stole).

A toż mi to mróz dzisiaj! *(zacierając ręce)*. Pan Romuald mi powiedział: jedenaście nad zerem . . . co ja pletę . . . pod zerem — przecie to człek rozumie, kiedy u doktora służy od lat siedmiu *(chędożąc dalej)* i nadal służyć będzie — jeśli Bóg pozwoli . . . i pan doktor — dobre panosko — nagły trochę, trochę bardzo nawet — rozgniewa się co moment — ale nie gdyra nigdy — nie marudzi. — — Gniewa się? .. no i cóż z tego? . . . alboż to jego wina? . . . takim go Bóg stworzył. — — Ależ dobry . . . to serce dopiero! — gdym chorował, on koło mnie chodził — jak brat jaki . . . to téż go Kocham za to . . .

(Rzuca szczytkę i zaciera ręce).

Panie — to piękne zimno jedenaście stopni.

(Patrzy na płaszcz leżący na stole).

Wziąć go nie mógł — a gdzie tam — czyż
jemu kiedy ciepło albo zimno. —

(Chłop otwiera drzwi pomalu — i patrzy).

No to wchodźcież — ale przez Boga drzwi
zamykajcie *(do siebie)* musi mieć naturę doktora.

CHŁOP.

Niech będzie pochwalony!

JAKOB.

Na wieki wieków. Cóż to powiecie ojczy?

CHŁOP.

Czy tu mieszka doktor?

JAKOB.

Który?

CHŁOP.

Doktor Karol.

JAKOB.

Tu — cóż to od niego chcecie?

CHŁOP.

Mam list do niego.

JAKOB.

Pana nie ma w domu — ale list zawsze dać możecie (*biorąc list*) skądżeście to?

CHŁOP.

Z Pakowa.

JAKOB.

(*Patrząc na list*). Do kogoż to należy?

CHŁOP.

Ha do Pana.

JAKOB.

Toć przecie ja wiem — ale jak się nazywa?

CHŁOP.

Zowią go Pan z Pakowa.

JAKOB.

(*Do siebie*). Nigdy o tój wsi nie słyszałem — to nie musi być jeden z przyjaciół doktora — może jaki znajomy — może i to nie. (*Do chłopca*). Dobrze mój przyjacielu — list zostawcie, a przyjdźcie jutro po odpowiedź.

CHŁOP.

Jutro? jako, toby doktor nie jechał dzisiaj?

JAKOB.

A czy to do chorego?

CHŁOP.

Abo nie co innego — Pan słaby — Pani dając list mówiła, bym spieszył — że trza rażno.

JAKOB.

A dalekoż do Pakowa?

CHŁOP.

To pół mili od Gniezna.

JAKOB.

(*Do siebie*). Pod Gniezno — to mi spacer, — trzeba go odesłać, (*do chłopca*) kiedy tak, to słuchajcie. Weźcie list i idźcie, ztąd na lewo, o trzy kamienice na drugie piętro — tam mieszka doktor inny ... ale doktor. — Powiecie mu odając list, że doktora Karola nie ma i jechać nie może — zobaczycie, ten zaraz pojedzie.

CHŁOP.

Na koniu?

JAKOB.

Czemu na koniu?

CHŁOP.

Bom przyprowadził ztąd o cztery mile konia
co tam czeka na doktora . . . doskonała szkapa.

JAKOB.

Idźcie tylko — idźcie — skoro wam trza ra-
żno — mówię wam, że tamten pan zaraz pojedzie
(*do siebie z uśmiechem*) ale pocztą.

CHŁOP.

(*Kłaniając się*). Niech będzie pochwalony!

JAKOB.

Na wieki.

(*Chłop odchodzi*).

Pocziwina . . . konia przyprowadził . . . do-
skononą szkapę. — Tego téż memu Panu trzeba
było — szesnaście mil konno po dwóch bezsen-
nych nocach.

(*wyciąga rękę i ziewa*).

Czuwamy nielada — trzeba przyznać — słu-
żba nocna przykra bardzo — ale za to cały
dzień nie ma nic do roboty, prócz o dwóch koniach

myśleć — on niczego nie potrzebuje — nie mam się czego skarżyć — trudno mniejsz jak doktor wymagać.

(Składa płaszcz.)

Onby był gotów pojechać . . . i bez płaszcza do tego — dalipan, kto go nie zna, myślałby, że zdrowie, jak u konia — ja wiem, co się święci — pokaszluje i często. — Broń Boże, byś powiedział, bo się gniewa. — — Wszystko jedno . . . kontent jestem, żem pocziwca odprawił z kwitkiem do tego — bez jego wiedzy; muszę go pilnować — jak się da.

(Bryftregier wchodzi).

Dzień dobry panie bryftregier.

BRYFTREGIER.

Dzień dobry — oto gazety i listy.

JAKOB.

Dużo się należy!

BRYFTREGIER.

Talar i ośm srebrników.

JAKOB.

(Rachując pieniądze). Cóż tam słyhać na mieście?

BRYFTREGIER.

Panna Kassylda umarła téj nocy.

JAKOB.

Sławna nowina! (z dumą) przecie my to wie-
dzieć musimy najlepij.

BRYFTREGIER.

Ani słowa. — Poczta warszawska nie przy-
szła.

JAKOB.

I cóż z tego?

BRYFTREGIER.

Ha nic.

JAKOB.

Prawda — przepraszam. Wszakżeście wy
z poczty — to was obchodzić musi — oto są
pieniądze.

BRYFTREGIER.

Dziękuję. — Do widzenia panie Jakóbie.

(Wychodzi)

JAKOB.

(Zbiera listy i dzienniki).

Jest i tak dosyć, choć z Warszawy nie ma, ale
to jednak dziwno, że niema — bo w królestwie
to tak przecie wszystko, jak mówią porządnie idzie,
jak w zegarku — co go knut nakręca — *(śmieje
się)*. — Gdyby mi też to wszystko czytać przyszło?
ale bo pytam się, czemu doktor tak pracuje, skoro
nie dba o pieniądze — bo że nie dba, toć pewno
— ma — daje — znów nie ma — tylko się
migają talary — na jego miejscu inaczejbym żyć
umiał!...

*(bierze listy i wchodzi do pokoju — słychać pu-
kanie do drzwi — wraca nazad).*

Któż puka?

DZIEWCZYNA.

(Wchodząc). Herr doktor Karl?...

JAKOB.

Hier — *(do siebie)* przystojna Niemeczka.

DZIEWCZYNA.

Mein Herr...

JAKOB.

(Przerywając.) Mener nie umie deutsch —
polnisch sprechen.

DZIEWCZYNA.

Pan prosila Doktor Karl przyjść bo chora . . .

JAKOB.

(Idzie do tablicy wiszącej na ścianie.)

Pan chory?

DZIEWCZYNA.

Nein — Pan — Frau Rätin ist krank.

JAKOB.

Mniejsza o to. — Jak się nazywa?

DZIEWCZYNA.

Von Wohlleben.

JAKOB.

(Pisząc na tablicy). Fonleben.

DZIEWCZYNA.

Ach ne . . . von Wohlleben.

JAKOB.

Tak też piszę — Fonleben — gdzie mieszka? . . .

DZIEWCZYNA.

Am Ring No. 15.

JAKOB.

(Piszqc). Rynek No. pięćdziesiąt — powiem,
jak doktor przyjdzie — bo go nie ma.

DZIEWCZYNA.

Bitte sehr. — Herr Rath wird erwarten.

(Idzie ku drzwiom.)

JAKOB.

Rad mu będzie — a wierzę *(do siebie)* to głupia, czy ja nie wiem, że jemu wszyscy radzi, — *(do dziewczyny, która wychodzi)* gut gut *(do lokaja w liberyi, który we drzwiach spotkał się z dziewczyną).* A Filipku, jak się masz? . . .

FILIP.

(Wskazując na drzwi). He Panié Jakóbie!

JAKOB.

To Niemka. — Czy mego Pana szukasz?

FILIP.

Abom go nie zastał?

JAKOB.

Nie — i nie wiem, gdzie być może.

FILIP.

Wczora wieczór mówił, że przyjdzie dziś rano,
— dwunasta, niewiadać go! — a Pani Hrabina
czeka niecierpliwie ..

JAKOB.

Zapiszę, bym nie zapomniał, — i poszę go
zaraz.

FILIP.

Tylko pewno, bobym znowu musiał biegać.

(*Wychodzi.*)

JAKOB.

Nie bój się Filipku.

(*Idzie do tablicy i pisze.*)

Fonleben — istny Niemiec — szczególny téż
to ten doktor — bo że Niemców nie lubi, to nie
sekret — a jak który chory go zawezwie ... to
leci — to przecie tak kuruje, że wnet Niemiec na
nogach — dalipan, jakby Polak jaki. — Ale, ale
— gdzie może być doktor tyle czasu? gdyby Panna
Kassylida nie była umarła — rozumiałbym, że nie

wraca do domu — naturalnie przy niejby siedział — bo to wielki jój przyjaciel — szkoda, dobra to była pani.

(Kobieta wchodzi nieśmiało).

Nie bójcie się matko, *(z dobrocią)* nie wyście to byli dzisiaj rano?

KOBIETA.

Ja Panie.

JAKOB.

Doktor jeszcze nie wrócił — trzeba, jeśli go pewnie zastać chcecie, przyjść jutro znów o piątą rano — wszakżeście wy nie bardzo chorzy? .. co?

KOBIETA.

Ja? zdrowam dzięki Bogu — ale mój chory .. bardzo chory. — Ja za niego dziś przyszłam — on nie może — leży — prosić Pana Doktora, aby był taki łaskaw i pomógł mu trochę — uzdrowił...

JAKOB.

Będzie taki łaskaw — ja ręczę za niego — powiedźcie mi tylko, czém wasz mąż się trudni i gdzie mieszkacie.

KOBIETA.

Mój mąż? szewc Panie — mieszkamy na Gwarzędzu — ostatni dom na prawo — daleko stąd i boję się . . .

JAKOB.

Nie bójcie się matko — wy nie wiecie, jaki mój Pan dobry.

KOBIETA.

Któżby tego nie wiedział! . . . Dziękuję, niech Panu Bóg płaci!

(Wychodzi.)

JAKOB.

Nie ma za co — *(Pisząc na tablicy.)* Tak — tak, bądź spokojna biedna kobieto — chociaż cię tu wielka pani poprzedza, doktor do ciebie pójdzie, — dziwny człowiek! — ubodzy to jego passya — on się do nich pali.

(Słychać głos za drzwiami: Jakóbie!)

To panna Helena woła.

(Otwiera drzwi.)

Niech Panniczka wejdzie — ja tu sam jestem — zawsze gotów na usługi.

HELENA.

Nie nie potrzebuję mój dobry Jakóbie — przysłałam cię tylko spytać, czy cię Pan nie uprzedził, że będzie na obiedzie?

JAKOB.

Nie wiem nic Panniczko — wrócił późno bardzo — usnął trochę. Potem widziałem, jak wychodził — jeszcze nie dniało. — Wołałem: Panie! Panie! wróci Pan na poradę?

HELENA.

Odpowiedział, że nie? . . .

JAKOB.

Przeszedł jak głuchoniemy.

HELENA.

(Z *niespokojnością*). I dotąd nie powrócił.

JAKOB:

Nie — chorzy czekali godzinę — potem się rozeszli.

HELENA.

Był może bardzo smutny — zamyślony?

JAKOB.

Daruj mi Panniczka, spałem — więc powiedzieć nie mogę. Ale myślę, że nie — on zawsze trochę, z przeproszeniem, gburowaty — trochę posepny.

HELENA.

A ta śmierć, co mu o niej donieśli?

JAKOB.

Panny Kassylidy? o zapewne go gryzie — musi ją żałować — on ją tak kochał.

HELENA.

Ale mi zaręczycie możesz Jakóbie, że twój pan nie chory?

JAKOB.

A z czego? ze śmierci?... doktor?... Panniczko, alboż to on mało widzi w życiu umarłych?

HELENA.

Sądziś więc Jakóbie, że po prostu tak jest zatrudniony, że na obiad nie przyjdzie?

JAKOB.

Z pewnością ja nie wiem — ale przecie już nieraz doktor jeść nie miał czasu.

HELENA.

Prawda — ale jaby'm go tak dzisiaj widzieć
była chciała — *(po chwili milczenia)*. A ty prędko
zejdziesz Jakóbie?

JAKOB.

Ja — nie już nie mam do czynienia — ja
schodzę z Panniczką — obrok koniom zasypię
— to nie będzie długo — i zaraz przyjdę do
kuchni na obiad — na takim mrozie jeść się
chce djabelnie. —

(otwiera drzwi Helenie i wychodzi za nią.)

Pokój doktora Karola.

JAKOB

(stoi przed kominem i zapala lampę.)

Doktor cały dzień nie wrócił — Niemiec nie mógł się doczekać — tém lepiej — Dziewiąta godzina — o! musiał gdzie na wieś pojechać...

(słyskać szelest w przedpokoju.)

Nie, nie pojechał — to on, poznaję po chodzie.

DOKTOR

(wszedłszy — po pokoju szybko w głębokiem zajęciu się przechadza.)

Zrób ognia Jakóbie. —

JAKOB.

Zaraz Panie — *(wkładając szkło na lampę.)*
Myślałem, że Pan na wieś gdzie pojechał.

DOKTOR

(chodząc). Czy mnie wołano?

JAKOB.

A jakże — Był naprzód chłop z Pakowa
z końmi wierzchowemi...

DOKTOR.

(chodząc) odesłałeś go?

JAKOB.

Odesłałem. —

DOKTOR.

Dobrześ zrobił. —

JAKOB.

(Stawia lampę na stole do pisania.)

Idę po drzewo. —

DOKTOR.

Spiesz się.

(Jakób wychodzi — doktor chodząc ciggle.)

Dwadzieścia cztery godzin niebawem — ani
ślądu życia — ani pewnej oznaki śmierci — naj-
mniejszego rozkładu — to nie do pojęcia! *(zwal-
niając kroki)* to rozum się mięsza. —

*(Za-
wis-*

JAKOB.

(Wraca z drzewem i ze świecą — klęka przed kominem
i uklada polanka.)

Był tu także lokaj Pani Hrabiny...

DOKTOR.

(Chodząc prędzej.) Dobrze — już wiem.

JAKOB.

Ale bo tu był w południe....

DOKTOR.

Wiem — ja byłem później. —

JAKOB.

Potém żona szewca....

DOKTOR.

Dobrze .. (do siebie) wróci jutro. —

JAKOB.

Ależ bo ta biedna kobieta...

DOKTOR.

(Zatrzymując się nagle.) Biedna?... biedna mó-
wisz?..

JAKOB.

Tak jest Panie — ta biedna kobieta była dwa razy. — Mąż jej bardzo chory — prosi Pana pięknie, byś go Pan wyleczył. —

DOKTOR.

(Do siebie z goryczą.) O tak wyleczył — *(do Jakóba.)* Gdzie on mieszka — pójdę do niego.

JAKOB.

Zapisałem go sobie — daleko bardzo. —

DOKTOR.

Nie szkodzi — daj mi adres. —

JAKOB.

Czy zaraz Panie?

DOKTOR.

Zaraz. —

(Jakob wychodzi.)

Mógłbym zapomnieć — dziś łatwo. — Ta kobieta żąda, bym jej męża uleczył — żałuję ją *(z pogębieniem.)* Alboż ja cc umiem?.. alboż ja co mogę?...

JAKOB.

(Wracając.) Na przedmieściu Gwarzędzu ostatni dom na prawo. —

(Kłęka przed kominem.)

DOKTOR

(zapisuje w pugilaresie i chowa.)

(Do siebie.) Zaniedbałem moje dzieci dzisiaj — moje biedne dzieci — to źle .. źle bardzo.

(idzie do komina zacierając ręce i staje za Jakóbem.)

JAKOB.

(Do siebie.) Zimno mu — to słaby — Panna Helena przecię miała rację. —

DOKTOR.

Co tam mruczysz o Pannie Helenie Jakóbie?

JAKOB.

(Do siebie na w pół się obracając.) Aj — był za mną i słyszał — gniewać się będzie. —

DOKTOR.

I cóż? odpowiedź — *(z przychylnością.)*
Może Panna Helena słaba?

JAKOB.

O nie Panie Doktorze (*na stronie.*) Co tu po-
cząć . . . (*głośno.*) Nie . . . Panna Helena zdrowa
. . . bardzo zdrowa . . .

DOKTOR.

Tém lepiej (*na stronie.*) Strachu mnie naba-
wił — (*głośno*) więc o cóż idzie?

JAKOB.

(*Na stronie.*) Daj go katu! ani sposób — ot
na nią wszystko złożę (*wstając.*) Panna Helena przy-
szła się pytać, czy Pan nie chory — i jeszcze . . .
zaraz, nie chciałbym słów przekrzywiać — czyś Pan
nie smutny — stroskany. —

DOKTOR.

(*Stawa przed ogniem i opiera się o komin.*)
I cóżś odpowiedział?

JAKOB.

Że Pan taki — jak zawsze. —

DOKTOR.

I dobrześ odpowiedział — (*smutnie,*) bo téż tak
jest Jakóbie. —

JAKOB

(*przynosi gazety i listy.*)

Przepraszam Pana — ale tak nie jest — tylko się Pan nie gniewaj (*śmiejąc się*), na to niech Pan czasu nie ma. — Oto pańskie gazety i listy. —

(*Kładzie na stoliku wskazanym przez doktora.*)

Wszystko z Polski brakuje — bo poczta nie przyszła — (*patrzac na doktora, który nie słucha.*)
Czy już mogę się oddalić?

(*na skinienie doktora — odchodzi.*)

DOKTOR

(*po długim zamyśleniu.*)

Jakob dobrze mówi — nie jestem sobą samym — czuję to aż nadto. — Niszczę resztę sił w walce z małym światem — jakież to znój . . . cóż to za trudgestami ten świat zwodzić! . . . ten świat, nad którym się panuje i głową i sercem — tak, sercem. . . . kto serce widzi? . . . kto go sądzi? . . .

(*Milczy chwilę.*)

Pytała się, czym smutny — przeczuła — Helena, kochane dziecię . . . co się dzieć musi we mnie — A inni? . . . może zgadują — o nie (*z ironią*), bo oni sądzą — inni — wyciągają wnioski! . . . Nie wiedzą . . . że przez każde z mych poruszeń wierzą — w to — co chcę, by uwierzyli . . .

W każdym spojrzeniu widzą — to, co chcę, by widzieli . . . każde z mych słów tłómaczą — tak — jak chcę, by tłómaczyli . . . Nie wiedzą, że ja chcę, — by oni nie wiedzieli! . . . Biedni ludzie znacież wy, co to serce? . . . znacież wy siłę, jaką posiada, gdy jest proste i czyste? . . . macież wyobrażenie o woli, którą daje temu — nad kim wyłącznie panuje? (*zapalając się*). Wy patrzycie biedni ludzie — a ona was zaślepia . . . Sądzicie biedni ludzie a ona was w obłąd wprawia . . . Może wnioskować chcecie . . . ona na was woła: Mnie się pierwej nauczcie, zanim serce poznacie, co mną rozkazuje . . . o nędzoto ludzka! . . .

(*Po chwili milczenia.*)

Lecz to drogo kosztuje ta ze światem zabawka, bo on uważa i ciągle i pilnie (*ściskając rękę czoła*). Byłoby to okropnie . . . gdyby mówić zaczęto teraz — po śmierci — świat głupi . . . ale świat zły — Ciągnijmy dalej walkę — choćby serce pęknąć miało . . . niechaj pęka w skrytości! . . . tak trzeba.

(*Spuszcza głowę na piersi i mówi pomalu.*)

Skoro żywą oszczędził najlżejszy nawet cień potwarzy . . . umarłą niech szanuje . . . dziś . . . to moja powinność! . . .

(Po długim zamyśleniu.)

Umarła i ta biedna kobieta w szpitalu — byłem przytomny, jak oddała ducha — badałem ją aż do ostatniej chwili — tropiłem każdą stawkę tej gry strasznej muszkułów i nerwów — widziałem jak się ściągały . . . zwijały . . . rozprężały w miarę, jak passowanie z śmiercią przybierało potęgę! . . . ani jeden prąd arteryi . . . ani jedno bicie pulsu . . . drgnienie serca mi nie uszło — trzymałem tę kobietę przykutą pod mém śledczém okiem i każdy punkt jęj ciała całkowitem przebijalem wejrzeniem. Cała ma dusza wglądała przez pryzmat nauki — cóż nie przewidywałem? . . . wyrachowałem grymasy . . . zgrzytania . . . wiedziałem, kiedy westchnie . . . pod epidermą byłem! . . . Śledząc ostatnie tchnienie . . . czulem, gdy uchodziło . . . czulem — tu granica (*z niechceniem*) dziś nie móglęm pochwycić! . . . Skonała! . . . ale jakżem się jęj skonu wyuczył — świat powinien być kontent — byłem dosyć zimny — tak jak wymaga sztuka — jak lekarz być winien — bez znaku serca — tak chciałem!

(Po chwili milczenia.)

Lecz cóż czynię? . . . myśli puszczam samopas. Wszak porównać chciałem tę śmierć z śmiercią Ka-

syldy, której najdrobniejsze szczegóły kolega mi powiedział. — Do pracy więc, tylko spokojnie — spokojnie.

(Siada przy stoliku i różne przerzuca książki — czyta w jednej i drugiej z uwagą — nakoniec zamyka je i opiera się całkiem na plecach krzesła.)

Rzecz osobliwsza! — ci dwaj autorowie przeciwnego zdania zarówno mnie prowadzą do myśli — która głowę moję, jak strzała przeszła w chwili — gdym się już o śmierci Kasyldy dowiedział: — do myśli, której rozum mi wzbraunia, a którą dusza radzi — do myśli, którą usta moje ani razu wyrzeknąć nie śmiały, a którą serce tysiąc już powtórzyło razy ... Nie! ona nie umarła! ...

(Wstaje — pokój w okolo pare razy obchodzi.)

Symptomata jednak śmierci są oczywiście — wiem ... widzę je, dotykam — a pomimo tych dowodów idea ta mnie dręczy ... gniecie ... jak sen szczęścia, w rzeczywistém, okropném nieszczęściu! *(namiętnie)*. Miałażby to być szalona myśl miłości w zapasach z poważném sztuki przekonaniem? Jeżeli tak jest — ulegnie niezwłocznie ...

(Siada i chwytła książkę.)

Jestemli w mym normalnym stanie? — jestem — więc dociekajmy jeszcze.

(Czyta — po chwili odrzuca książkę.)

Nie! — ta myśl nie jest szaleństwem — nadto mnie oświadczyła! Wszak mi towarzyszy już przez całą dobę — nie opuszcza na krok ani chwilę — ciągle ję tylko słucham . . . ciągle staram się sztukę dać ję za podporę — ile razy przyszedłem do Kassylidy, ta myśl przez moje przemawiała usta — w nię dawałem rozkazy . . . by nie otwierać okien i pokój ogrzewać . . . (z decyzją) za nią pójdę do końca! . . .

(Wstaje.)

Życie nie porzuca bez zmiany wyrazu na twarzy — bez zwichnienia ję rysów . . . bez przeciągnięcia choć lekkiej powłoki — trzeba więc zgłębić.. przeniknąć . . . odkryć ten wyraz . . . te rysy . . . dotknąć to śmierci piętno! . . . trzeba dociec, co znaczy ta stagnacya . . . to wstrzymanie się toku odwiecznego zniszczenia . . . psucia! . . . Bo tak jest — widziałem . . .

(chodzi po pokoju.)

Czym tylko dobrze widział? . . . przeświadczyć by się trzeba . . . długo . . . doskonale . . . Na to muszę być samym . . . Trzy razy byłem, zawsze jest otoczona. — Każę odejść kobietom . . . wszystkim.

(zatrzymuje się).

Mają odejść — precz — na długo — może na noc całą ... Ale jakżeż to zrobić? ... Cóż mi się dzieje? ... Mnie taka rzecz wstrzymuje? ... mnie? ... lekarza? ... Idźmy ...

(Bierze za kapelusz — nagle ręką zakrywa oczy i pada na krzesło.)

Oh! a nuż tamci przyjdą, by robić dyssekcję!.. ludzkość im daje prawo ... brat jój nie przyjechał.. nikt im nie zabroni!..

(Milczenie).

Jakże tu zimno.

(Idzie do komina).

Więc dobrze, niech i tak będzie ... jeżeli się mylę — niech zwycięży sztuka — niechaj robią autopsyą ^z (z westchnieniem). Nie! ... to niepodobna ... Czemu? ... jeżeli moja myśl mnie zwodzi (drżąc) wtedy ... ja ... ja sam to wykonam ... (z goryczą) wszak mam prawo, jak tamci, więcej może jeszcze! ...

(Wraca do stolika — dobywa z szuflady szkatułkę — otwiera ją i ogląda instrumenta do dyssekcji służące)

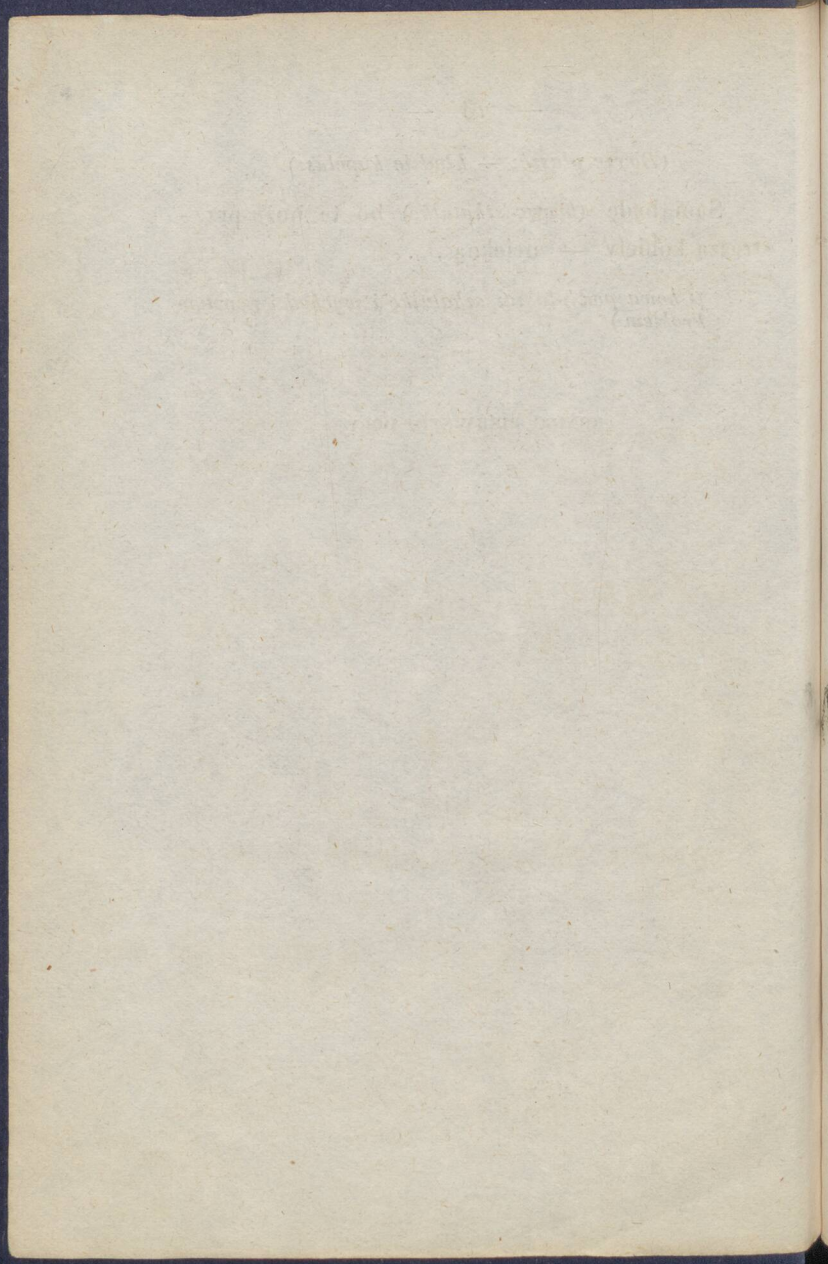
Welo! ... bądź mocną ... utrzymaj się ... nie! ty mnie nie zdradzisz.

(Bierze płaszcz — kładzie kapelusz).

Sam będę *(biorąc szkatulkę)* bo te noże przestraszą kobiety — uciekną . . .

(Chowa pod płaszcz szkatulkę i wychodzi pewnym krokiem)

KONIEC PIERWSZEJ DOBY.



DOBA DRUGA.



DOBA DRUGA

Sypialnia Kassylidy — łóżko na pokój wysunięte -- na niem Kassylida spoczywa z złożonemi rękami jak miewają umarli — w rękach krucyfix — cztery wielkie świece palą się w czterech rogach łóżka — obok łóżka stolik, który trzy kobiety ubierają w obrazki świętych — kilka obrazków leży na łóżku.

DOKTOR.

(Karol w płaszczu — kapelusz na głowie — wchodzi przez drzwi od przedpokoju.)

Co tu światła! ... aha, to światło śmierci — śmierć zawsze oświeca ...

(Sklada płaszcz na stolku — na nim kapelusz i szkatułkę — przybliża się do łóżka i patrzy na obrazki.)

JEDNA Z KOBIET.

(Do drugiej cicho). Doktor nie mówił, że jeszcze raz wróci? ...

DOKTOR.

(Do siebie.) Rozumiem — to śmierć — śmierć ciągle — a ja — ja jój nie chcę! *(do kobiet wskazując obrazki.)* Cóż to jest?

JEDNA Z KOBIET.

Ołtarzyk układamy Panie — będziemy się modlić czuwając przy ciele.

DOKTOR.

Idźcie się modlić do siebie — mówiłem, żeby jój dać pokój — zdjąć to wszystko! *(do siebie odrzucając z łóżka obrazki.)* Ten obrządek katolicki ma coś okrutnego — *(do kobiet)* zabierzcie . . . zabierzcie to wszystko.

JEDNA Z KOBIET.

Czy Pan doktor będzie nas potrzebował?

DOKTOR.

(Idzie po szkatułkę)

Nie.

DRUGA KOBIETA.

Kiedyż mamy powrócić?

DOKTOR.

Zostanę noc całą.

(Otwiera szkatulkę — kilka nożów wypadło)

WSZYSTKIE KOBIETY.

O Jezus miłosierny!

DOKTOR

(Zimno zbierając noże). Czyba, że widzieć
chcecie?

(Kobiety odchodzą, płacząc).

Odeszły! . . .

(Układa instrumenta na stole).

Teraz od najścia zabezpieczyć się trzeba.

(Oboje drzwi na klucz zamyka i wraca do łóżka).

Ach jestem nakoniec, jak chciałem — sam
— z nią! . . . Umarła, czy żywa, pożegnanie mi
winnaś Kassylido! . . . ciężko zasługuję na nie.

(Wpatruje się).

Kontent jestem z siebie — nic nie widzę jak ..
— nie trupa — lecz ciało.

(Wyciąga z rąk krucyfiks).

Śmierć pod ręką — lecz nie w oku, nie w myśli — szukajmy znaku dla pierwszego — dla drugiej przekonania.

(Siada na stolku w nogach łóżka — zakłada ręce — zatapia wzrok w rysach Kassylidy — i zostaje długo nieruchomy.)

Teraz jak pierwój . . . jak zawsze — nie — nie widzę nie — nie widzę śmierci — prze-rwijmy.

(Wstaje i chodzi po pokoju).

Nie widzę nie . . . ale czy ja chcę widzieć? . . . czy chcę dostrzedz śmierci? . . . czy ja śmierci mam upatrzeć wolę? . . . Dobrze, więc skoro tego koniecznie potrzeba . . . *(z przyciskiem)* Chcę!

(Zatrzymuje się).

O moja woło daj mi przekonanie na sztuce oparte! . . . Woło moja! wszakże dziecku jeszcze pokazywałaś mi okropne wśród nędzy pożycie . . . parłaś mnie ku niej mówiąc, że aby ją zwyciężyć wręcz do niej iść trzeba — czyliż wtedy opierałem się tobie? . . . Gdy później stawiałaś mi obraz wszystkich cierpień, trudności i zgryzot w celu dojścia do sztuki — czyliż nie usłuchałem ciebie? . . .

Czy był opór, którego bym nie zniósł w imię twoje?..
(z czułością) Jeżeli od lat pięciu nie zdołałem przy-
tłumić uczucia ... nie skrepowałem go ... nie ści-
snałem go, nie wtłoczyłem go w serce, tak mo-
cno, tak głęboko — że choć miłość była — żyć mu-
siała bez żądy, — bez nadziei ... Jakże była ukry-
ta! ... Jeżeli więc tak stoi w przeznaczenia księdze,
że dziś skończyć się musi ... Wolo moja! o daj siłę
— bym się o tém w téj dowiedział chwili ... niech
śmierć zobaczę — koniec! ... A choćby na ten wi-
dok ... choćby to przekonanie ostatecznym życia me-
go było kresem ...

(Zatrzymuje się chwilę).

Wolo moja — błogosławić cię będę! ...

(Chodzi po pokoju w milczeniu).

Niepewność ta nad siły — to piekło! ... więc
po raz ostatni ... ostatni ... patrzmy!

*(Szybko zbliża się do łóżka — trąca o stolik —
nóż spada z metalicznym brzękiem — cofa się
przerażony.)*

Ach! ... jakże dźwięk ten przeszedł mi po ży-
łach — jakież przesywające echo jego w sercu!..
(z ironią). I jaż to mam śmierć widzieć? ... ja ...
taki wątły ... słaby? ...

(Milczy chwilę).

Cofnąłbym się? ... i czemu? ... Jeśli ona nie żyje, dbamże o resztę świata ... o kogo?

(Chce siadać).

Nie — trzeba wprzód przyjść do siebie.

(Podnosi i uklada noże — potem siada).

Teraz — tak, teraz — zda mi się — jestem pewny ... będę szczerym z sobą.

(Po chwili bierze krucyfik i wciska go w ręce Kassylidy.)

Zimne, jak lód — ale nie dość stężałe — — wszystko jedno ... wróćmy jój tego Chrystusa, którego tak kochała — to godło śmierci tutaj — wszak ja za śmiercią gonię — wszak ja śmierć chcę zobaczyć ... dotknąć ...

(Zostaje w niemój i spokojnej kontemplacji — po niej jakim przeciągu czasu powieki Kassylidy wolno, z trudnością się podnoszą i opadają natychmiast. — Doktor zrywa się).

Przebóg ... com ja widział? ...

(Zakrywa oczy rękoma — potem je pomału rozsuwa — patrzy).

Nic? ... nic? ... jakto? ... ja życie widziałem ... a to nic nie było? ... nic?

(W twarz Kassylidy patrzy dziłim wzrokiem.)

Byłozto spojrzeńie anielskie lub czarta pomruęi? Czy ja widzę? czy jestem na jawie — lub może padłem pastwą przywidzenia hallucynacyi, jaką chyba piekło zsyła, gdy nadzieję przedrzeźńia ... naigrawa się ze sztuki? ...

(Stoi chwilę nieruchomy — oczy w suffit wlepione — poczem chwyta prawą ręką za lewą i ra- chuje uderzenia pulsu.)

Nie — to ani jedno, ani drugie *(zimno)* to ja mam gorączkę ...

(Idzie do okna — otwiera — oddycha głęboko, odgarnia włosy z czoła.)

Jakże mnie głowa pali, *(patrząc w niebo)* błękitne gwiazdziste księżyc świeci jaki spokój w naturze — jakże niewzruszone prawa, któremi postępuje! ludzkość tylko wpleciona w koło odwiecznego ruchu, szamoce się i męczy — bo każdy szczebel — to inne cierpienie.

(Słychać zegar miastowy.)

Dwónasta — wczoraj o téj godzinie znać mi dano — wczoraj o tym czasie pierwszy raz wyrzekłem — umarła! ...

(*Po chwili jakby przebudzony.*)

Właśnie dwadzieścia cztery godzin (*zamykając okno*) posłużyło mi zimno.

(*Idzie do łóżka i stawa z założonemi rękoma.*)

To nic nie było — przywidzenie (*z wzgardą*) jakież człowiek słaby na przeciw mocy żądy.

(*Po chwili podnosi się pierś Kassyldy ledwo dostrzegalnym ruchem — doktor nieruchomy.*)

Tylko czy ja spokojny? ... tak — spokojnym — znów mi się zdawało ...

(*Ruch się powtarza — nachyla się.*)

Tak jest ... nie myślę się ... widzę ...

(*Ruch przestaje.*)

(*Przytłumionym głosem.*) Tak, niezawodnie.

(*Podnosi się.*)

(*Z krzykiem.*) O szczęście — to letarg! ...

(*Biegnie do drzwi — znika i wraca.*)

Nieszczęsny! głowę tracę (*wyjmując klucz z zamku*) cóżbym był zrobił ... gdyby tamci tymczasem nadeszli. (*ze zgrozą*) Okropność!

(Wychodzi do sieni — słychać jak drzwi na klucz zamyka — loskot po schodach — głos wola: Karolu! Karolu! — doktorze! zmiłuj się ... słuchaj! osoby do drzwi się zbliżają — rozmawiają pod drzwiami.)

GŁOS MĘZKI.

Gdzież może tak biedz doktor bez kapelusza?

GŁOS KOBIECY.

Alboż ja wiem Panie.

GŁOS MĘZKI.

Popchnął mnie jak waryat.

GŁOS KOBIECY.

Doktor jest przy ciebie od godziny — przyszedł z instrumentami — nożami — oh! to człowiek bez serca.

GŁOS MĘZKI.

Z nożami! ... on ... to być nie może.

GŁOS KOBIECY.

Na własne widziałam oczy, jak je przygotowywał.

GŁOS MĘZKI.

Nie uwierzę — aż zobaczę.

(Dobrywa się do drzwi).

GŁOS KOBIECY.

On taki Panie nielitościwy.

GŁOS MEZKI.

GŁOS MEZKI.

Moja siostra! moja biedna siostra! ... oh to okropnie — drzwi zamknięte — trzeba czekać, aż wróci.

GŁOS KOBIECY.

Zamknął ją okrutnik — słyszałam, jak zamykał także drzwi od przedpokoju — niedostanie się Pan ...

(Głosy się oddalają rozmawiając — słychać chałas innych drzwi otwierających się i zamykających — poczem cichość zupełna.)

Po chwili wchodzi doktor pomalu z flaszczką w rękę — rzuca okiem niespokojnym na łóżko — zamyka drzwi na klucz z ostrożnością — przybliża się do łóżka — stawia flaszczkę, wyjmuje krucyfiks z rąk Kassylidy — trzymając go sam nachylony, przygląda się pilnie.)

Rozpatrujemy się naprzód — za zimne mam ręce — nic — nic — jeszcze nic — przecie — ach! tak — to wszystko — jeszcze trzeba wiedzieć, by zobaczyć — poruszenie takie słabe — a jednak to życie (z radością). Życie! ... natura zwyciężyła — zachowała tchnienie — pomóżmy

jój cokolwiek — dodajmy sztukę do zwycięztwa
— mogłoby się zatrzymać.

*(Rzuca krucyfix — porywa flaszkę — otwiera
i przyklada do ust Kassylidy.)*

Zęby zaciśnięte! . . .

(Próbuje otworzyć).

Napróżno.

(Stawia flaszkę — próbuje oburzczyć).

Ani sposób — jakiż to spazm mocny! co tu
robić? . . . jakto? . . . i ja się wacham . . . ja? . . .
kiedy jój życie i moja powinność razem . . .

*(Porywa nóż — gwałtem roztwiera szczękę —
wlewa rachując kilka kropel z flaszeczki — potem
cisnąc nóż).*

Jakież to żelazo zimne! . . . *(z namysłem)* więc
moja ręka nie zimna.

(Bierze Kassylę za rękę).

Jeszcze skośniała — lecz wkrótce — niedługo.

(Siada i czeka — słychać lekkie westchnienie).

Żyje! oh żyje — bo się skarży — kilka kro-
pel jeszcze. —

(Zadaje kilka kropel).

(Z pychą). Wspaniały skutek . . . jak ciepła
przybywa — ręka już mięknie.

(Kłęka przy łóżku, trzymając Kassylde za rękę.)

Ot — puls już bić zaczyna.

(Słychać bicie zegaru).

O jakże to czas długi w oczekiwaniu szczęścia
(cicho w najwyższém uniesieniu). Ach ... Ach ...

KASSYLDA.

(Otwiera wolno oczy, które chwilę bez wejrzenia
zostają — doktor patrzy zachwycony — Kassyllda
osłabionym głosem.)

Gdzież jestem? ...

DOKTOR.

(Na kolanach — trzymając rękę, po cichu).

W Niebie!

KASSYLDA.

(Zatacza wzrokiem — zatrzymuje go chwilę na
Karolu i mówi pomalu.)

W niebie? o nie — bo — nie on — ale
ty jesteś przy mnie ...

DOKTOR.

(Nieporuszony jak statua, ciągnie żarzącym wzro-
kiem za wzrokiem Kassylldy, której powieki się
zamykają — oddech zaczyna być regularny i po
chwili w sen spokojny przechodzi.)

Śpi ...

(Chwila milczenia).

Tak — śpi ...

(Znowu chwila milczenia).

(Ciężkim głosem). Bo nie on — ale ty ...

(Nowa pauza.)

To jój pożegnanie ...

(Ciagle w tój samej nieruchomości — iza mu w oczach staje — świeci, błyszczy coraz więcej — wypelnia źrenicę — toczy się po licu i pada na rękę Kassylidy — którą w swojej trzyma).

Płacę ... tak — płacę! oh przyjmij
przyjm tę łzę Kassylido! ... to iza także pożegna-
nia ... pożegnania kochanka ...

(Nachyla się i całuje rękę Kassylidy).

Kochanka — który przepadł! (z przymusem)
człowiek sztuki powstaje.

(Podnosi się i stoi chwilę patrząc spokojnie).

Czynimy naszą powinność.

*(Bierze flaszeczkę i jeszcze parę wlewa kropel
w pół otwarte usta Kassylidy — gasi trzy świece
— czwartą stawia za łóżkiem — pokój się ściem-
nia — chwilę jeszcze stoi nad łóżkiem).*

Wszystko idzie jak najlepiej.

(Chowa flaszeczkę do kieszeni i po cichu udaje się do okna, o które się opiera).

Więc to był sen — nie! ona nie umarła!

(Po chwili słychać szelest w przedpokoju).

Ktoś przychodzi — brat zapewne — prawda, na schodach go spotkałem . . . muszę całą mą zimną krew zachować z *(goryczą)* aby się nie spostrzegł, że tu zawsze jeden trup jest jeszcze.

(Idzie do drzwi przedpokoju — które ktoś otworzyć próbuje — obraca pomalu kluczem.)

EUSTACHY.

(Staje w progu.)

(Z akcentem wyrzutu). Więc to prawda? . . .

DOKTOR.

(Przerzymając). Cicho! *(prowadząc go do okna).* Mówmy cicho Eustachy — tak jest prawda . . . to był letarg tylko.

EUSTACHY.

(Z krzykiem radości). Boże . . . co ja słyszę!

KOTORA.

Cicho! . . . śpi . . . trzeba snu jój strzedz pilnie — nic jój tyle sił powiększyć nie może.

EUSTACHY.

Więc kiedyś mnie na schodach o mało nie wyrócił . . .

DOKTOR.

Biegłem po lekarstwo — nie miałem czasu ani uważać, ani stanąć.

EUSTACHY.

(*Do siebie*). A ja go oskarżałem (*do doktora*) Karolu! jakże ci podziękować! . . .

DOKTOR.

Dziękuj naturze — to jej sprawa mój przyjacielu — ja tylko powinność wypełniłem.

EUSTACHY.

(*Z czułością*). Masz racją Karolu! powinność tak słodką . . . ob jakież szczęście twoje! . . .

DOKTOR.

(*Zachmurzając czoło*). Wielkie zapewne — ratowałem przyjaciółkę — oddaję ci siostrę — tak — jestem bardzo szczęśliwy.

(Idzie do stolika i chowa noże do szkatulki.)

EUSTACHY.

(Patrząc na niego). Co? noże? . . . więc ta kobieta prawdę mówiła . . . o zgrozo! . . . jakżeby on był mógł? . . . a jednak po to przyszedł, jak się zdaje . . . Ach okropniem się zawiódł . . . ależ bo jaki on zimny.

DOKTOR.

(Bierze szkatulkę pod pachę i wraca do okna).

Zostawiam cię przy siostrze Eustachy.

EUSTACHY.

(Z zadziwieniem). Odchodzisz — porzucasz ją teraz? . . .

DOKTOR.

(Z prostotą). Mam ubogiego bardzo niebezpiecznie chorym. Na teraz ona nic prócz spokojności nie potrzebuje. Jeśli się przebudzi — tylko spokój — wciąż spokój — żadnych wzruszeń — jak najmniej być może emocyi. — Jeżeli zażąda czego — możesz jój dać łyżkę . . . dwie, bulionu. Tylko powtarzam, wypoczynku i cichości — mil-

czenie jak największe. — Bądź zdrow Eustachy...
wróć w poranku.

*(Kładzie płaszcz — kapelusz — zatrzymuje się
jeszcze moment i patrzy na łóżko — potem wy-
chodzi).*

EUSTACHY.

(Patrząc za nim). Prawdziwy człowiek sztuki!
ale Kassylida żyje ... kochana siostra żyje ...
O dzięki ci Panie! ...

(Siada przy łóżku).

Mieszkanie biednego rzemieślnika — w głębi izby przy cyganie leży człowiek na mizerném łóżku. W kącie dwoje dzieci śpi na gołym tapczanie — wzdłuż ściany szafa drewniana na naczynia — ława — przed nią stolik — dalej warsztacik, na którym skóry i kilka par starych butów leży w nieporządku — na cyganie stoi szklanka napelniona pół wodą, pół olejem — po którym pływa knot zapalony i migocąc płomykiem, niepewne rzuca na izbę światło.

DOKTOR.

(Karol u drzwi słucha opowiadania kobiety — potem płaszcz rzuca na stół.)

No teraz już wiem dosyć.

(Przybliża się do leżącego człowieka, zacierając ręce.)

Dajcie tu bliżej światło.

KOBIETA.

(Przynosi szklankę za lampę służącą.)

Świecy nie mamy — racz Pan doktor darować.

DOKTOR.

(*Na stronie*). Biedni ludzie! . . . (*examinując chorego*) Nie mówi? . . .

KOBIETA.

Nie — ani słowa.

DOKTOR.

Dawno? . . .

KOBIETA.

Od wieczora — onegdaj nieborak pamięć stracił.

DOKTOR.

(*Z wyrzutem*). Czemużeście pierwój do mnie nie przyszli?

KOBIETA.

Byłamci wczoraj z rana o piątój godzinie.

DOKTOR.

(*Przerywając*). Ale mnie nie było!

(*Obraca się nagle i bierze ją za rękę*).

Moja wina — prawda, źle zrobiłem (*z serdecznością*) darujcie mi — wybaczcie (*gorzko*) nie mógłem.

KOBIETA.

(*Chce go w rękę całować*).

Ja zaś Panu darować — wszak ci to łaska
Panie — nie powinność ...

DOKTOR.

Najświętsza owszém — jedyna — (*do siebie*)
gdzie cierpienie ludzkości — gdybym był wczoraj
przyszedł ... zapalenie nie byłoby do tego doszło
stopnia — (*głośno*) trzeba natychmiast postać po
chirurga.

KOBIETA.

Polecę zaraz po niego ...

DOKTOR.

Wy? ... onby tu sam pozostał? ... nie to ja
polecę — (*na stronie*) najmniej co zrobić mogę ...
(*głośno*) przyszę go tu natychmiast ... Dajcie mi
teraz papieru i pióra ...

KOBIETA.

(*Z ambarasem*). Nie mam, panie doktorze prze-
praszam.

DOKTOR.

Nie nie szkodzi — poradzimy na to.

*(Wyrzywa ćwiartkę ze swego pularesu — i pisze
olówkiem — kobieta mu przyswieca.*

Będzie to mixtura — słuchajcie — dacie
zażyć mężowi połowę od razu — w godzinę re-
szte — potem zobaczymy *(dodając słów kilka na re-
cypcie)* pójdziecie wtedy, gdy tu będzie cyrulik, do
apteki pod Lwem.

KOBIETA.

To tam, gdzie dobrodziej mieszka.

DOKTOR.

Tam.

KOBIETA.

Lekarstwo będzie drogie? !..

DOKTOR.

Nie — prawie nic kosztować nie będzie.

KOBIETA.

Mam dawną flaszeczkę — wezmę z sobą —
zawsze o tyle taniiej.

DOKTOR.

W wielkiej więc jesteście biedzie?

KOBIETA.

Kiedy mój ma robotę — to życie idzie jako tako panie — ale od niejakiego czasu i roboty nie było — i choroba złożyła.

DOKTOR.

Jak wyzdrowieje, bądźcie pewni, roboty mu nie braknie.

KOBIETA.

(Z radością). Więc mój człek żyć będzie! o ja tego pewna byłam, skoro dobrodziej wstąpił w nasze progi.

DOKTOR.

Mam nadzieję — natura silna — rozpętać nigdy nie potrzeba — cyrulik jak przyjdzie już będzie wiedział, co ma czynić.

(Wdziękuje płaszcz.)

KOBIETA.

(Z nieśmiałością). Panie doktorze .

DOKTOR.

No — i czegoż chcecie?

KOBIETA.

Ale bo to — widzi pan doktor — bo to z dobrodziejem inaczéj — zna go się — wie się, że dobry — że miłosierny.

DOKTOR.

(Przerywając.) No — no — skończyć pro-
szę — nie mam czasu.

KOBIETA.

Że od biednych nic nie przyjmuje ludzi — ale ten, co przyjdzie — ten Pan.

DOKTOR.

Nie bójcie się — i ten od was nic nie przy-
mie — ja wrócę, nim do szpitala pójdę — skoro
mąż będzie trochę lepiéj — tam go wezmę —
bym go miał pod ręką.

KOBIETA.

(Chce ująć doktora za kolana — doktor się broni.)

Panie ty jesteś aniołem!

DOKTOR.

(*Surowo.*) Jestem człowiekiem (do siebie)
i człowiekiem, który zawinił . . . (*odchodząc*) do
zobaczenia.

KOBIETA.

Niech Bóg błogosławi! . . .

(*Doktor wychodzi.*)

Pokój doktora Karola — lampa się świeci na stoliku do pisania — doktor wchodzi, za nim Jakób.

DOKTOR.

(Do siebie chowając szkatułkę). Posłałem chirurga — wszystkich użyję środków ... bo choroba tego biednego szewca całym brzemieniem wyrzutu sumienia mnie przygniotła.

(Siada kaszłąc).

Słowa jego żony były dla mnie balsamem — miałooby jeszcze nie być wyschniętem to źródło słodyczy? ...

(Kaszle mocniej).

JAKOB.

(Do siebie). Otóż znowu ten przekłety kaszel! jakże ma być inaczej — lata z odkrytą głową po takim mrozie ... jakby się chciał zabić... *(głośno)* Daruj Pan, ale bom ciekawy ...

DOKTOR.

Czego? ...

JAKOB.

Bo proszę pana — gdy w nocy usłyszałem dzwonek ... wstałem, sądząc, że pana wołają ... zbiegłem — widząc światło w Aptece ... wszedłem — Pan Romuald mi powiada — że Pan był po lekarstwo ... że dla Panny Kassylidy — w nos mu się rozsmiałem ... daruj Pan mówiąc: śni się panu, lekarstwo umarłemu to kadzidło! ... Ale on utrzymywał, że tak jest w samej rzeczy.

DOKTOR.

Miał rację — tak było w istocie — bo panna Kassylida nie umarła — żyje.

JAKOB.

A toż mi kuracya dopiero ... to to pan mój kochany szczęśliwym być musi.

DOKTOR.

(Przerrywając). Która godzina Jakóbie.

JAKOB.

(Patrząc na zegar). Po piątą.

DOKTOR.

Idź teraz i daj mi znać — gdy kto przyjdzie.

JAKOB.

Czy mam dolać oleju do lampy?

DOKTOR.

Weź ją z sobą — przyniesiesz dopiero, jak wrócisz.

JAKOB.

(Zabiera lampę i mówi odchodząc).

A to mi sztuka umarłego uzdrowić.

DOKTOR.

(Sam). Tak umarłego uzdrowić — a nie być w stanie powiedzieć sobie: życie to rezygnacya! — oh ten cios jest straszny — okropny — boje się, by nie był nad siły . . . Dobrze mi w téj ciemności . . . bo téż ciemno w méj duszy — głucho w sercu.

(Siedzi pochylony w głębokiém marzeniu).

JAKOB.

(Wchodzi z lampą).

Panie! — otoż jeden pacjent przyszedł w téj chwili.

DOKTOR.

(*Jakby przebudzony ze snu*).

Już! . . . , (*Poprawiając się*). To dobrze
wprowadź.

(*Kaszele*).

JAKOB.

(*Odchodząc*). Boże, jak on kaszle.

DOKTOR.

(*Z ciężkiem westchnieniem*). Daléj Karolu! . . .
daléj . . . nowy dzień się otwiera . . . rozpoczynaj
życie! . . . (*Do pacyenta, który wchodzi*). Proszę
— bardzo proszę.

Pracownia przy aptece właściciela domu, gdzie doktor Karol mieszka — dwoje drzwi, jedno szklanne do apteki, drugie na prawo do jadalnej stancyi — meble porządne, prawie wikwintne — przy oknie Helena haftuje na tamborku. — Ojciec jęj stoi przy pulpicie — przed nim księga rachunkowa.

ROMUALD.

Dwa a cztery — sześć a ośm . . .

(Słychać dzwonek w aptece).

Helenko! pójdz zobacz — subjekt wyszedł.

HELENA.

(Wstaje — idzie ku drzwiom szklanym — przy nich spotyka się z doktorem).

To ty panie Karolu!

DOKTOR.

Ja Heleno.

(Bierze ją za rękę — patrzy chwilę z rozrzwiniem — potem jakby do siebie mówi.).

(Półglosem). Biedne dziecię! . . . i ciebie to chciano do mnie przykuć — do trupa.

HELENA.

(*Z przestracchem*). Doktorze! ... co ty mówisz? ...

DOKTOR.

Ot — nic wcale — nic.

HELENA.

(*Drżąc*). O trupie.

DOKTOR.

Tak — prawda — marzyłem — (*z dobrocią*) daruj mi Heleno — czy nie wiesz, że ja doktor? (*z uśmiechem*) nas śmierć straszyc nie może — daruj mi. (*Idąc ku Romualdowi*). Dzień dobry Romualdzie!

HELENA.

(*Wracając do okna*). Cóż chciał przez to powiedzieć?

ROMUALD.

+ Sługa twój doktorze — przepraszam, zaraz skończę kolumnę — otoż jestem.

DOKTOR.

Cokolwiek raptusowo zbudziłem cię téj nocy, nieprawda?

ROMUALD.

A spodziewam się ... w takim razie.

DOKTOR.

(*Siadając na kanapie*). Tak ... był to letarg.

HELENA.

(*Haftując*). Opowiedz nam to doktorze kochany.

ROMUALD.

Dobrze mówi Helena — prosimy cię — całe miasto o tém gada i wszyscy się dziwią ...

DOKTOR.

Zapewne przypadek rzadki — chociaż bardzo prosty. (*Z przymusem*). Przyszedłem był w nocy zrobić autopsją ciała ...

HELENA.

(*Przerywając*). Jak to? sam ją chciałeś robić? ... ty doktorze? ...

(*Zasłaniając sobie oczy*).

DOKTOR.

(*Z prostotą*). Czemu nie? to powinność lekarza — (*Odpowiadając na wejrzenie pytające Heleny*).

Byłem jój przyjacielem — zaiste kosztowało mnie to — (z przymusem) bardzo nawet — wyznając. Ale sztuka przedewszystkiém — ma ona swoje wymagania ... ma swe poświęcenia ... ofiary! Ostatnie chwile panny Kassylidy uderzyły mnie niespodziewanością — powinienem był przeni-
knąć ten fenomen medyczny — i w tym celu poszedłem.

(Kasze.)

ROMUALD.

Wiedziałem o tém od jednego z lekarzy przy-
tomnych skonu panny Kassylidy. Spotkałem go
dzisiaj. Mówił mi, że był téj nocy dla téj sa-
mój przyczyny, lecz już nie zastał ciebie. Brat
panny Kassylidy Eustachy opowiadał mu swe szczę-
ście — i twoje. Dodał, żeś miał w nocy z so-
bą skalpele noże zgoła instrumenta do
dyssekeji potrzebne — i dla tego żalił się twój
kolega, żeś zazdrośny ...

DOKTOR.

Zazdrośny? ... sztuki — może.

(Zamyśla się).

HELENA.

(*Do siebie*). Jakież dziś smutny wyraz jego twarzy! ... (*głośno*). Nie skończyłeś opowiadać Panie Karolu.

DOKTOR.

(*Zimno*). Symptomata, jak mówiłem, téj śmierci mocno mnie dziwiły — dla tego zacząłem od starannéj, troskliwéj obserwacyi ciała. — Śladu zepsucia uchwycić nie mogłem, któryby mnie do zaczęcia czynności uprawnił. Dwie godziny tak przeszły — nagle zdało mi spostrzedz lekkie drgnienie — daléj nieznaczne odkryłem poruszenia — daléj jakby tchnienie w oczy mi wionęło — nakoniec przyszło przekonanie letargu i przybiegłem tutaj. — Skutek kordiału twego nadzwyczaj był prędki. — Ocknęła się panna Kassylda i spokojnie znów zasnęła.

(*Kaszele mocno*).

HELENA.

Jakże kaszlesz Panie Karolu!

ROMUALD.

Zaziębiłeś się trochę — i teraz coraz zdrowsza?

DOKTOR.

Znacznie do sił przychodzi — byłem u niéj dwa razy — ale czy nie czas na obiad ... spieszno mi cokolwiek ... wybaczcie.

ROMUALD.

Prawda — pierwsza godzina — (*do Heleny*).
Nie uważam, czy subjekt powrócił?

HELENA.

(*Patrząc w okno u drzwi*). Tak jest ojciec —
widzę go ztąd.

ROMUALD.

No to spytaj się Helenko, czyli obiad gotów.

(*Helena wychodzi*).

Doktorze! reputacya twoja za nadto ustalona, aby potrzebowała blasku, którym ten wypadek uświetni wysokie twe zdolności — ale jednak przyznaj, że jesteś nadzwyczajnie szczęśliwym (*śmiejąc się*). Dalibóg, jabym z tobą nie śmiał grać w zielone!

HELENA.

(*Wracając*). Obiad już na stole.

DOKTOR.

Słusznie mówisz Romualdzie — jestem nadzwyczajnie szczęśliwym — a jak zawsze na świecie — więcej szczęścia niż zasługi — *(wstając)* chodźmy jeść.

ROMUALD.

Na to się nie zgadzam — to jest na to, co mówisz — bo na obiad ci służę.

(Doktor wychodzi — za nim Romuald.)

HELENA.

(Patrząc za doktorem). Mój Boże! cóż to za prostota w tym człowieku.

(Odchodzi.)

Pokój doktora Karola — lampa na stoliku przed kanapą.

DOKTOR.

(Przechadza się wolno po pokoju).

Lepiej temu biedakowi — i mnie lżej nieco — okropnie byłoby to powiedzieć sobie: Umarł — osierocił żonę ... dzieci ... boś ty twojej uchybił powinności — obowiązku względem cierpienia ... bliźniego *(z dumą)* uchybiłeś twój sławie — skłamałeś powołaniu — karyerze.

(Zatrzymuje się i spuszcza głowę).

O mojej karyerze ... sławie ... wszystko byłem zapomniał ... ona jedna tylko była na świecie.

(Rzuca się na kanapę).

I jój lepiej ... żyć będzie ... a ja?

(Po dłuższej medytacji — z czoła odgarnia włosy).

Tu gorąco — *(Z smutnym uśmiechem patrząc w komin)* to wczorajsze popioły — przypominam sobie — wczoraj mi zimno było.

(Kasze).

Zwyczajnie — chory jestem po prostu.

(Wstaje — chodzi — po chwili staje przed zegarem).

Jedna doba się kończy — życia nowego! — Nowego? ... Czemu? ... czy miałem jaką żądę która dziś ustała? ... miałem jaką nadzieję, która dzisiaj spełzła? ... nie — nie wcale.

(Milczy i wzrokiem w koło siebie zatacza.)

Taki sam jestem! ...

(Chodzi znowu.)

Czyliż sam zawsze nie byłem? ... nie chciałem być zawsze samym? ...

(Kasze).

Cóż się w tej koniecznej dla mnie samotności zmieniło? ... nie mamże moich książek ... moich chorych? ... nie dosyć że to, aby zatrudnić i rozum i duszę? ... a moja ambicya, którą chcę zaspokoić ... która tego wymaga? ... Sztuka ... reputacya ... ludzkość ... ambicya, czyż to wszystko wystarczyć mi nie ma? ... Oh powinno wystarczyć ... to wszystko piękne ... użyteczne ... wielkie ... musi zapełnić istnienie człowieka ... musi! ...

(Chwila milczenia).

Ależ to wszystko zimne — to dosyć dla głowy
— dla umysłu ... Lecz dla serca ...

(Staje nagle).

Moje serce zniszczone — starło się na pył
w okropnej z mą wolą szermierce — przewidzia-
łem — chciałem — stało się — (z wyrazem go-
ryczy) Nieprawda! ... słowo straszne! ... Kłam
zadany duszy ... woli ... sobie! ... (Kładąc rękę
na serce) Czuję ... o czuję ... serce moje zgru-
chotane — lecz żyje! ... Czuję konwulsyjne jego
drgnienia ... słyszę jak woła ratunku ... zbawie-
nia ... w myśli, któraby u niego balsamicznie
tchnęła ... zcaliła go ... ogrzała krew zastygłą ...
by znów biło ...

(Jakby w gorączce).

Nieprawda! ... jemu tylko myśli téj potrzeba
— myśli téj kochania ... miłości ... Nieprawda!
nie! ono nie umarło! ... serce moje w letargu ...
Ale któż go przebudzi, któż go z niego wyciągnie?
Nikt na to nie umieć — nie chcieć — ale
kochać ... miłości potrzeba ... (z ironią) któż ko-
cha! ... (z decyzją). Ja sam jestem — bo sam
w myśli — na zawsze! ...

*(Siada na kanapie — po chwili bierze maszynal-
nie leżące gazety i listy — przegląda adresa.)*

Nie ma nic z królestwa — ni gazety ni listu . .
(Wolając) Jakóbie! . . .

(Kasze.)

JAKOB.

(Wchodząc — do siebie.) Kaszle ciągle — co
Pan każe? . .

DOKTOR.

Brakuje mi dzienników — gdzie są? . .

JAKOB.

Z królestwa? . . wczoraj Panu mówiłem, że
poczta z królestwa nie przyszła — i dziś także.

DOKTOR.

To dziwna. —

(Otwiera jeden z listów.)

JAKOB.

Śniegi zapewne spadły.

(Idzie ku drzwiom i wraca.)

Ale — zapomniałem powiedzieć, że Pan Wła-
dysław był u Pana — chciał się z Panem
widzieć.

DOKTOR.
Władysław? .. kiedy? .. widziałem go w po-
łudnie.

JAKOB.
Kwadransiem, nim Pan wrócił.

DOKTOR.
Musiał go jakiś nagły interes zaskoczyć.

(Czyta dalej.)

JAKOB.
Nie zrobić ognia na kominku? ..

DOKTOR.
(Czytając) Nie.

JAKOB.
(Do siebie — przedrzeźniając.) Nie — powie-
działby kto, że zdrow jak ryba.

(Ochodzi.)

DOKTOR.
(Czyta listy — potem myśli chwilę i zabiera się do
gazet — gdy Władysław wchodzi.)

Dopiero co mi Jakób powiedział, żeś był
u mnie Władysławie — że się ze mną chcesz
widzieć — byłbym poszedł, ale bałem się minąć —
czekałem, byś wrócił — siadaj tu koło mnie.

WŁADYSŁAW.
Wszak jesteście sami? . . .

DOKTOR.

Czy ja sam, pytasz? (*z uśmiechem*) czy mnie nie znasz? — mów tylko — co rozkażesz? . . .

WŁADYSŁAW.

Mam Ci (ważną) udzielić nowinę.

DOKTOR.

Nowinę? . . . (*obojętnie*) spodziewałem się, że samie potrzebować będziesz . . .

WŁADYSŁAW.

Nie Karolu. (*ciszéj*). Rewolucya wybuchła w Warszawie.

DOKTOR.

(*Z żywością.*) Kiedy?

WŁADYSŁAW.

29. Listopada — onegdaj.

DOKTOR.

Onegdaj . . . (*do siebie*) Była w letargu — nie umarła — zmartwychwstała . . . traf szczególny! . . .

(do Władysława) a jakże to wiesz?.. przez kogo?..
co się dzieje?..

WŁADYSŁAW.

Czytaj ten list — doszedł mnie na drodze
handlowej.

DOKTOR.

(Przebiega list — i oddaje.)

Więcej nic nie wiesz?

WŁADYSŁAW.

Nic — cóż mówisz na to Karolu?

DOKTOR.

(Z oczywistém roztargnieniem.) Co mówię... co
ja mówię...

(Wstaje nagle i woła.)

Jakóbie! Jakóbie!.. (z decyzją) Ja mówię,
że jadę przyjacielu.

JAKOB.

(Wchodząc.) Jestem Panie.

DOKTOR.

Okulbacz mi konia.

JAKOB.

Śmiałą — czy — Wolnego?

DOKTOR.

Wolnego (z *uśmiechem*) naturalnie Wolnego.

JAKOB.

(*Do siebie.*) To biegus — gdzieś daleko pojedzie... a słaby... (*głośno*). Czy zaraz osiodłać mam Panie?

DOKTOR.

Natychmiast... chcę jechać.

WŁADYSŁAW.

(*Do siebie.*) Co mu się dzieje?

DOKTOR.

(*Do Jakóba, który wychodzi.*) Czekaj chwilę — (*cicho do Władysława.*) Sądziysz, że już Rząd o tem się dowiedział... może zawiadomiony...

WŁADYSŁAW.

O bez wątpienia.

DOKTOR.

(*Zdejmuje pistolety ze ściany.*)

Przypnij olstry do siodła — włożysz pistolety — (z *prostotą*) droga przez bór wypada.

JAKOB.

(*Bierze pistolety.*)

(*Do siebie wychodząc.*) Boi się troszkę — to już chory być musi na dobre.

WŁADYSŁAW.

I gdzież jedziesz?

DOKTOR.

Do królestwa.

WŁADYSŁAW.

Jakto? .. tak jak jesteś ... teraz zaraz? ..

DOKTOR.

Za dziesięć minut — tylko list jeden napiszę.

(*Kasze i chodzi szybko po pokoju.*)

WŁADYSŁAW.

(*Na stronie.*) Zwyczajnej zimnej krwi dziś nie ma ... spróbuję go zatrzymać (*głośno*) Karolu co tobie?

DOKTOR.

Nic. —

WŁADYSŁAW.

Tys chory?

DOKTOR.

Tak, trochę — ale to nic nie szkodzi — ja mogę jechać.

WŁADYSŁAW.

Nie jedź dzisiaj — proszę Cię.

DOKTOR.

Ja muszę . . . chcę jechać — pojedę Władysławie.

WŁADYSŁAW.

(Do siebie.) Przepadło — pojedzie — nic w tém nie poradzę — *(idąc do doktora).* Bądź zdrow zaśm Karolu — do zobaczenia . . .

DOKTOR.

(Biorąc go za rękę.) Gdzie?

WŁADYSŁAW.

No gdzieżby? . w Warszawie.

DOKTOR.

(Ściskając go.) Wybacz mi Władysławie to pytanie . . . jam wiedział . . . ja cię znam . . . Bądź zdrow i do rychłego.

WŁADYSŁAW.

(Idzie ku drzwiom — obraca się — i patrzy na doktora, który nieporuszony stoi.)

Karolu! ty masz coś na sercu.

DOKTOR.

Moż . . . lecz nie to.

WŁADYSŁAW.

(Z czułością.) Powiesz mi? . .

DOKTOR.

Powiem — kiedyś — może na placu bitwy.

WŁADYSŁAW.

Na placu bitwy? *(z uśmiechem)* więc ci potrzebne do tego bicie bębnow . . . huk dział . . .

DOKTOR.

(Seryo.) Nie — lecz widok trupów . . . jęk rannych — wszak wiesz, że ja do nich należę.

WŁADYSŁAW.

Więc na pobojoisku — do widzenia. — Żegnam Cię.

DOKTOR.

Bądź zdrow.

*(Władysław wychodzi — doktor po chwili namy-
słu przenosi lampę i siada do stolika.)*

Zostawmy list Romualdowi — niech ułatwi
bieżące interesa — niech pamięta o chorych —
a z resztą? — — nic — ja sam jestem.

(pisze.)

(Wielkiemu wybuchowi — dołator po chwili nudy —
nie przynosił żony i siostry do zdrowia.)

— Kostawny jest Romualdowi — niech władzi
— białego interesu — niech panie o chorob
— a z resztą? — — nie — ja sam jestem.

(Waż.)

Plac przy bramie mlasta na drodze do Kalisza — na prawo odwach — dwie latarnie go oświetcają — przed odwachem szyldwach przechodzi tam i nazad — wśród nocnej ciszy słycać w oddali tentent kopyt końskich po bruku.

SZYLDWACH.

(Staje — i patrzy w ulicę ku bramie wiodącą.)

Nic nie widać, jak na złość — chmury niebo zaciągnęły — księżyc przebić się nie może — wczoraj to jasno, jak w dzień było — dziś co befel: patrz! uważaj! to ciemno, wykluj oczy...

(Słucha — kroki końskie się zbliżają.)

Niezawodnie tu ktoś na koniu jedzie — muszę go zatrzymać — taki rozkaz.

(Idzie ku budce pod latarnię — człowiek na karym koniu z bramy wyjeżdża.)

Stój! kto idzie?

JEZDZIEC.

(Galopem puszcza konia i osadza przed budką.)

Polak!

SZYLDWACH.

To wy Panie Doktorze — jedźcie z Bogiem.

JEZDZIEC.

(*Poprawiając płaszcz.*) Mylisz się przyjacielu
— to nie doktor.

SZYLDWACH

(*przystępuje do konia z bagnetem.*)

Jakto się myślę? .. kiż tam djabli — prze-
cież ja Pana znam i dobrze — no jedź .. jedź
Pan Doktor — to nie dla Pana befel.

(*Wraca ku budce.*)

JEZDZIEC.

Powtarzam Ci — ja nie doktor dzisiaj —
tylko — Polak.

(*Spina konia i odjeżdża czwalem.*)

PODOFICER.

(*Wychodzi z odwoachu.*)

Szyldwach!

SZYLDWACH.

Słucham.

PODOFICER.

Kto to odjechał?

SZYLDWACH.

Zatrzymałem go — to Doktor Karol.

PODOFICER.

Poznałeś go?

SZYLDWACH.

Jeszczeby téż — gdyby nie on, dawnobym był wdowcem.

PODOFICER.

Czemuż on mówił: ja nie doktor, tylko Polak.

SZYLDWACH.

Ot zwyczajnie żartował — musi być dziś w bardzo dobrym humorze — ha wreszcie — bo i Polak.

PODOFICER.

(Patrzy za doktorem.)

Proszę jak leci — szkapa rwie gościniec — a gdzie jechał?

SZYLDWACH.

A licho go tam wie — zapewne gdzie kto cierpi.

PODOFICER.

(Patrzy ciągle.)

Płaszcz mu się rozwinął — podkowy iskry
sypią — w nocy to jak duch się wydaje.

SZYLDWACH.

To djabeł cały ten Doktor Karol — on tak
zawsze leci.

PODOFICER.

Choć zawsze tak jeździ — przecie ktoś bar-
dzo musi być chorym tej nocy.

(Północ bije na zegarze miasta.)

SZYLDWACH.

Godzina — Panie Podoficer — trza zluzo-
wać wartę.

(Wola.)

Do broni!

(Żołnierze wychodzą z odwachu i zmieniają wartę.)

KONIEC DRUGIEJ DOBY.

EPILOG.

Wydawnictwo Instytutu Literackiego

HRABIA JAN
WŁADYSŁAW
KÓŁNICKI

Wydrukowano w Warszawie r. 1831.

OSOBY.

HRABIA JAN, }
WŁADYSŁAW, } oficerowie jazdy polskiej.
ŻOŁNIERZ. }

Rzecz dzieje się w Warszawie r. 1831.

Kwatera wojskowa — na kanapie siedzą hrabia Jan i Władysław — fajki palą — pierwszy w szlafroku rękę prawą na czarnej ma chustce, jakby na temblaku — drugi w mundurze hulańskim.

WŁADYSŁAW.

Więc Ci lepiej Janie?

HRABIA.

I dużo — spodziewam się za dni kilka módrz wnijsć nazad do pułku. Na długoś w Warszawie?

WŁADYSŁAW.

Nie zdaje mi się — jestem tu z Karolem, razem mamy odjechać.

HRABIA.

I gdzie się obraca — co porabia nasz lekarz sztabowy?

WŁADYSŁAW.

Ciągle to samo — leczy — a pierwszy strzał armatni w żołnierza go zmienia. — Dziś tu przyjechał zwiedzić lazarety. A propos lazaretów — powiedziano mi — czy prawda, że Twoja kuzyna przyjechała i ciągle w szpitalach przebywa?

HRABIA.

Prawdę Ci mówiono — Kassylida jest tutaj —
zupełnie szarytką.

WŁADYSŁAW.

Widział ją Karol, — niewiesz?

HRABIA.

Jakto? nie mówił Ci o tém?

WŁADYSŁAW.

Ani słowa.

HRABIA.

Zawsze równie szczególny — Spotkali się przy
łóżku pocziwego wiarusa w lazarecie na krako-
wskim przedmieściu — w sali, gdzie i mnie po
Grochowie złożono — biedakowi amputowali rękę
— wystaw sobie, Kassylida trzymała

WŁADYSŁAW.

(Z ciekawością.) I widziałeś spotkanie?

HRABIA.

Naturalnie — widziałem.

WŁADYSŁAW.

No i cóż?

HRABIA

Co? nie . . . ot spotkali się jak dwaj starzy
przyjaciele.

WŁADYSŁAW.

Nic Cię nie uderzyło?

HRABIA.

A cóż uderzyć miało?.. źle mówię — prawda — uderzyło mnie, że całkiem ze spotkania nie byli zdziwieni — że tu — właśnie na tém miejscu — w takich okolicznościach. — Tak mi się przynajmniej zdawało — ścisnęli się za ręce (*śmieje się*) i zaczęli sobie Ty mówić.

WŁADYSŁAW.

I o czém mówili?

HRABIA.

O sobie ani słowa — o polityce wiele.

WŁADYSŁAW.

(*Po chwili milczenia jakby odpowiadając sobie.*)

Tak — tak jest.

HRABIA.

Có mówisz?

WŁADYSŁAW.

Nic.

HRABIA.

(*Śmiejąc się.*) No przyznaj się — myślałeś jeszcze o miłości Karola — ha, ha, ha, nie, to niepodobna!

WŁADYSŁAW.

Myślę więcéj, niż kiedy.

HRABIA.

Ha, ha, ha, doskonały ty jesteś Władysławie!

WŁADYSŁAW.

(Seryo.) Śmiej się jak chcesz — ja ci mówię,
że oboje przedmiot miłości zmienili.

HRABIA.

Oboje? (Z zadziwieniem.) Kto oboje?

WŁADYSŁAW.

Tak jest — Kassylida i Karol.

HRABIA.

Mniejsza o Karola — skoro już chcesz koniecznie, a jesteś nie do uleczenia — ale Kassylida? . . .
i ta się kochała? . . .

WŁADYSŁAW.

Może. —

HRABIA.

I w kimże przecie? — mój ty romanso-
twórco.

WŁADYSŁAW.

— Nie wiem — lecz na tém nie zależy — bo
dzisiaj

HRABIA.

Skończ, proszę Cię.

WŁADYSŁAW.

Dzisiaj — nie kochają się Kassyllda ani Karol
w nikim — prócz w Ojczyźnie.

HRABIA.

(*Ironicznie.*) To bardzo pięknie! . . .

WŁADYSŁAW.

O zapewne, że pięknem jest i bardzo, to cu-
dodne szlachetnych dwóch serc spotkanie w świę-
tej naszej sprawie!

HRABIA.

(*Z uśmiechem.*) To spotkanie, jak mówisz do-
skonale, sławnie romans kończy.

WŁADYSŁAW.

Nie — ale masz racją — rozwiąże dramat.

ŻOŁNIERZ.

(*Wchodzi — i oddaje Władysławowi bilet.*)

Od lekarza sztabu.

WŁADYSŁAW.

(Po przeczytaniu do żołnierza.) Idź naprzód —
powiedz, że zaraz przychodzę.

(Żołnierz wychodzi.)

Karol mnie uprzedza, że odjeżdża natychmiast
— *(wstając i przypinając pałasz.)* Pewnie się o ja-
kieś dowiedział rozprawie. — Bywaj zdrów Janie
— wyzdrowij prędko i powracaj.

HRABIA.

O chciałbym jak najprędzej. — Bądź zdrów —
dziękuję Ci, żeś mnie odwiedził — życzę szczęścia.

(Władysław odchodzi — hrabia zamysła się.)

Miałżeby Władysław mieć racya?

(Wstaje.)

Ej gdzie tam — to egzaltacya!

(Zapala fajkę.)

KONIEC EPILOGU

i

DRAMATU.

JESZCZE

O

DOKTORZE KAROLU

SŁÓW KILKA.



RECEIVED

JOHN B. WATSON

NEW YORK

1871

W końcu — jeszcze o Doktorze Karolu słów kilka: bo za nadto mamy sumienności literackiej, abyśmy charakter, w około którego cała treść osnuta, za utwór własnej fantazyi przedstawić chcieli. Próżnąby też może była i taka chęć nasza. Bez względu czy sobie pochlebiamy, lub nie, a czytelnicy, jeżeli będą, osądzą — wyznanie to na karb zasług sobie nie liczymy. Dramat ten jest tylko wrażeniem przez nas odebraném, na tle słabiej naszej wyobraźni, słabszym może jeszcze wątkiem naszych zdolności oddanem.

Dawniej — uważalibyśmy byli za brak winnego uszanowania piórem naszym dotknąć żyjącego męża. Nie byłibyśmy śmieli publiczny ten

karakter, do prywaty przenosić — obszerne to życie, w ciasnych ludzkiego uczucia ograniczać szrankach i w fantastyczném opisać zdarzeniu. — Nie bylibyśmy śmieli, wielką tę sztukę, nieświadomością tchnącemi skreślać szczegółami; — tę niezachwianą cnotę, wątlemi oblekać kolory; — tę potężną wolę naginać do błachych literackiej kompozycyi prawideł; słowem — więcej od nas trzeba było mieć odwagi, aby się pokusić o ujęcie w ramy przez Karla złożone — olbrzymia.

Później — w chwili, gdy łyzy, które jego wycisnęła strata, jeszcze w źrenicach błyszczały — gdy naród i ludzkość grubą po nim nosiły żalobę — wykonanie naszej myśli świętokradztwem nam się prawie wydawało. A chociaż byliśmy przekonani — tak jak dziś jesteśmy — iż ubliżyć mu, chęcią naszą, w żaden nie możemy sposób; wstrzymywała nas jednak bojaźń, aby cień tej wielkiej postaci, naszą wywołany pracą, samém ukazaniem się swoim . . . do właściwej nas nie stracił nicości.

Parę lat od tej bolesnej upłynęło chwili.

Dziś — Doktor Karol należy — do historii — do ludzkości — do każdego. Jest też w pamięci wszystkich — w pamięci każdego. Dziś, każdy go sobie, stósownie do wyobrażeń — za-

sad i uczucia, że tak powiem, wyrobił — przyswoił. Dziś każdy go ocenił — pokochał lub uwielbił.

Lecz jak życie Doktora Karola było jedno poświęceniem — tak i pamięć po nim tą nas uderza cechą. W ludzkości ginie postać człowieka: w czynach ginie jego życie: w pamiątkach, zaś — wspomnienia. Nigdy też i nigdzie nie widzimy śladu prywatnych tego męża cierpień. A jednak — kto takie jak on miał serce — taką jak on duszę — ten, nieraz wewnątrz siebie cierpieć ... z sobą samym ciężko walczyć musiał. Cierpienia, które w ogóle ukoił — zatarły w tym samym ogóle pamięć jego własnych.

Długo — jeszcze za życia Doktora Karola byliśmy przejęci myślą walki między jego wolą, a sercem stoczonej. Towarzyszyła ona osobie jego zawsze w umyśle naszym — dziś ciągle ją wywołuje każda o nim wzmianka. Ulegamy sile, która nam ją na świat rzucić każe — ulegamy w przekonaniu najlepszej woli i chęci. Falszywa miłość własna nie zatrzymuje nas wcale. Gdyby mocniejszą była nad to — co dusza wyrzec pragnie — sądzilibyśmy się być prawie idiotą.

To pół duszy — mawiał doktor Karol, o człowieku, u którego miłość własna górę brała.

Wszak i najmniej biegłym malarzom najwspanialszych wolno jest chwycić się przedmiotów. Rafaela sto osób co dzień w Galeryach Włoskich kaleczy. Z nami uczyni krytyka to, co komisye znawców z obrazami czynią. Niegodnych odsądzają od zaszczytu miejsca w muzeach narodowych — ^{ho}homazom wystawy wzbraniają. My, kwiatek nieznany ... lichy — na jaki nas stać — ciaskamy w kolój szerokiego gościńca, którym ciągnie pamięć tego wielkiego męża — nie pytając, czy zdeptanym zostanie. Woń nad grobem jego przeleci i zniknie — bo śmiałość nasza jest tylko uwielbieniem, nieudolność — hołdem.

Walka ta, że się kiedyś w Doktorze Karolu odbyła — przecucie nam wątpić nie pozwala: w jakich okolicznościach — nie wiemy: w jakich rozmiarach — dobrze nawet pojęciem ogarnąć nie możemy. Wszystko to, i jej skutek czyli wpływ przez nią na życie wywartu, leży w tajnikach, które ziemia dziś pokryła.

Lecz jakokolwiek bądź udało nam się wystawić tę walkę, czujemy aż nadto niedoskonałość skreślonej przez nas szkicy, jeżeli na nią publicznego życia nie zarzucimy togi. Do ułożenia

niezliczonych jej fałdów — najznakomitszych artystów przywołaćbyśmy radzi. Torwaldsen — Kanowa — ludzie naszego czasu, nie dopisałiby może zadaniu — nie dosięgliby może kolosalnego posągu. U starożytnych mistrzów, gdyby ich wskrzesić się dało, daleko znaleźćby można pewniejszą wykonania rękojmię. Nie znając ciastnego egoizmu panowania; nie zmrozeni jego zimnym duchem — gorętszemi byłyby ich ruchy — szerszemi składy — obszerniejszemi zwoje: słowem, życie obywatela łatwiejby można poznać w kształtowanym przez nich dziele.

Życie zaś Doktora Karola — to karta w narodu i ludzkości zapisana księdze — karta, którą patryotyczne usiłowania i filantropiczne ofiary zapełniają w całości. Wydrzeć ją — sam czas nawet nie potrafi: przepisać — prawie niepodobna: zrozumieć ją — może kiedyś będzie trudno. Jeden obywatel — tyle zasług; jeden człowiek — tyle poświęcenia. Z osobistego więc ją tylko naszego stanowiska, i w krótkim postaramy się oddać zarysie. Nie będzie to opinia — ani zdanie — tém mniej sąd jakowys, ale wierne znów tylko odbicie wrażenia, jakie zapatrywanie się na czyny Doktora Karola w głębi nas samych zostawiło.

Po wypadkach nieszczęśliwych roku 1831. udał się Doktor Karol za granicę. Tam — jak wszędzie i zawsze ludzkości oddany, życia swego nie zmienił: sztukę tylko wydoskonalił — reputacyi dokończył. Odtąd — Europejskim był lekarzem. Znalazł on i tam, wszakże wyprutą z łona Ojczyzny żyłę — którą skrzętnie do serca swojego przywiązał. W zasilaniu jój nie znał trudu ani ofiar — krwią własną chętnieby ją był zasycił. Nią, była Emigracya.

Wkrótce jednak poznał Doktor Karol, że nie na właściwem znajduje się miejscu. Z dzienników, z korespondencyi, które z krajem utrzymywał, przez przybywających rodaków przekonał się, że rok 1831. w działaniu zaborczych trzech mocarstw przeciw Polsce wymierzonym, nową stanowił Epokę. Każde z nich, inną — właściwą — ale zawsze ku całkowitemu jój zniszczeniu dążącą — obrało sobie drogę. Zawistne przeznaczenie wytrąciło było oręż, który Doktor Karol w celu wywalczenia niepodległości ręczo był pochwycił. Z końcem walki Wiara mu się tylko została. Lecz wiara w niepodległość martwą u niego nie była. Opierała się na nadziei — a tém samém prowadziła do czynu. Bo skoro ujrział podporę swój wiary w narodowości zagrożoną —

spieszyć na jój ratunek natychmiast postanowił. Jakoż przybył niebawem do rodzinnego miasta, gdzie powszechnój radości został powitany okrzykiem.

Tu, w prawdziwym już widzimy Doktora Karola występującego dramacie. — Sceną jego — kraj cały; Czasem — reszta życia; Intrygą — bój ze szcepem; Przeciwnikiem — mocarstwo; Powiernicą — ojczyzna; Katastrofą — fatalność; Spektatorem — świat cały: dramat — którego rylec historii jedyną może być krytyką.

Zaraz po przybyciu Doktor Karol zatoczył swym bystrym w około siebie wzrokiem. Spozstrzegł, jak zatruty żywioł wsączał się przez otwarte pory zboląłego ojczyzny ciała: — jak starannie się wlewał w arterye próżne brakiem krwi tylokrotnie wylanój: — jak nareszcie osadzał się i rozpierał wszędzie, gdzie wygodne miejsce do zajęcia dla siebie upatrzył. Rozgościwszy się zaś przekształcał się w narość silnie w kości uwiązłą: a lubo na oko nie psuł jeneralnój harmonii, zawsze jednak częśc ta, gdzie osiadał, celowi swemu więcej odpowiadać nie mogła. Brakowi temu zapobiedz, czyli próżnią wypełnić — aby zatrzymać zjadliwy ten napływ, osadził Doktor Karol być pierwszą i konieczną rątku potrzebą.

Stan więc nowy w kraju utworzyć trzeba było — bo żywioł obcy stan ten zastąpić usiłował. Miał on być węzłem czyli spójnią łączącą kończyny dwóch istniejących stanów, zarównaniem przerwy, z której nieprzyjaciel korzystał. Sprowadzenie narodu do troistości w klasyfikacji jego członków zamierzonemu przez Doktora Karola odpowiadało celowi. Stan ten, którego istnienie w przyszłości dopiero było naznaczone — nie mógł innego w kraju zabrać miejsca jak tylko wakujące: to jest między inteligencją i większą własnością — a nieinteligencją i małą własnością — musiał więc być przemysłem — czyli stanem pośrednim (tiers état.)

Wiedział Doktor Karol, że trzy główne w tej mierze napotkał przeszkody: brak tradycji, charakter narodowy i jeografią czyli położenie fizyczne, czyniące kraj rolniczym, a nie przemysłowym. Demokratyczne zasady, na których wychowany, wykształcony . . . którymi był przejęty — pchając go do ciągłej ofiary — w niej niesłychaną kazały upatrywać siłę. Ani też chwili nie zawątpił jednej — o podobieństwie przyprowadzenia do skutku tego ogromnego dzieła. Trzy wspomniane trudności troistem umyślił pokonać poświęceniem. Pierwszą — brak tradycji — poświęceniem wszelkich ko-

rzyści stanu wyższego jako takiego — czyli demokratyczną równością. Drugą — charakter narodowy — przełamać poświęceniem w edukacyjnym kroju czyli aby rzemieślnika uczynić oświeconym. Trzecią nakoniec — poświęceniem materialnem czyli dobrowolnym zrzczeniem się procentów, i chętnem poniesieniem strat, wynikłych z pierwszych usiłowań spekulacyjnego ducha. — Taką zdawało nam się widzieć myśl w Doktorze Karolu, gdy rękawicę przez obcy żywioł narodowości polskiej rzuconą, śmiało podejmował.

Doktor Karol był człowiekiem czynu. Myśl w dzielnej jego organizacji, żywotnymi siłami przepełnionej poczęta — w wykonawczej od razu formie się rodziła. Światłość dzienna, czynu dla niej stawała się blaskiem. I być też inaczej nie mogło. W charakterze, gdzie Wiara na prawości sumienia i uczucia oparta jedyną jest logiką; — wola sądem — a czyn koniecznem następstwem być musi. Powziąwszy zatem raz przekonanie o istotnej potrzebie stanu pośredniego, zwołał Doktor Karol przyjaciół — aby z nim razem wzięli się do dzieła. Jeszcze w uniwersytetach Niemieckich zaprzyjaźnił się był z synami wielu bogatych kraju obywateli. W ściślejsze z nimi wszedłszy później związki, przez nich na resztę młodzieży wpływając — mimowolnie

prawie znajdował się na czele silnej klienteli. Za jej pomocą, pierwsze w pomysłu Doktora Karola rozpoczęte prace.

Jawną było rzeczą, że żywił, z którym walczył, zawsze postępował cywilizacji okryty płaszczkiem: że pozorną swoją niezbędność, w dążności, ku oświecaniu klas niższych i polepszaniu bytu materialnego — wykazywać usiłował. Wielkie przeto narodowe przedsięwzięcie Doktor Karol założyć stowarzyszenie, w celu rozdawania biedniejszemu pomocy naukowej: wielki też gmach nasamprzód wybudować postanowił, w którym wszystko ku wygodzie i zbytkowi nawet służące przez krajowców dostarczaniem być miało.

Bezinteresowność Doktora Karola rozbrajała najzaciętszych jego przeciwników — cnoty i zasługi zaufanie mu jednały: — poświęcenia powszechne budziły uwielbienie. Nieprzyjaciół mieć nie mógł — został też królem opinii. Krzepko jej ujął panowanie, a wolą swoją jakby berłem nadając jej kierunek, był istotną w swą prowincję potęgą. Całą opozycją przeciw rządowi w swojej zawarł osobie — bo w niej skoncentrował całe narodowe działanie. Przez niego wszystko się działo: — znaczne przez jego ręce przechodziły fundusze: wielkimi rozporządzał zasoby — wielkie też przez nie

uskuteczniał przedsięwzięcia. Pod jego przywództwem liczne i użyteczne zawiązało się towarzystwo — stósownie do jego życzeń stanął gmach wspinały, z którego, jak z wątki, miał się dalej projekt Doktora Karola wysnuwać. Tu była Apogea jego potęgi i sławy.

Lecz jakkolwiek wysokim był szczyt, na którym wola go silna utrzymywała, — a gdzie go okoliczności wyniosły, charakter ten prawy nie mógł doświadczyć najmniejszego głowy zawrotu. Nie raz on wtedy mawiał, że jest dzieckiem ludu. Z prawdziwą opowiadał prostotą, jak w zamku wielkiego Pana — w obec zgromadzonych gości — przypominał mu wieśniak jego matkę — którą znał, bo często w jej małym sklepiku gorącym rozweselał się trunkiem. Jednakże zawsze dla ubogich wylany i dobroczynny — czas na te wszystkie zatrudnienia wystarczać mu nie mógł. Nocy całe ku usłudze ludzkości obracał — i w ciągłych wysileniach wiele nadwerżył zdrowia.

Tak minęło blisko lat dziesięć.

Myśl jego rosła w czyn — ale rosła i w trudności. Nie wejdziemy tu w rozbiór, czy jest możebnym — lub nie — utworzenie nowego żywiołu w niesamoistnym narodzie. Co pewna — to, że coraz więcej dobrej woli —

silniejszego przedsięwzięcia — ogromniejszego wymagało poświęcenia. Często wyczerpywały się zasoby — często nowych składek żądał Doktor Karol. Zaczęła się tu i owdzie odzywać opinia: że myśl stanu pośredniego jest tylko utopią. W umyśle i duszy Doktora Karola utopią być ona nie mogła i nigdy szczerzym nie był jak gdy powtarzał: Niech tylko pożyję lat pięćdziesiąt, a będzie nowy żywioł w Polsce. Bo on zdolnym był do podjęcia środka ku celowi — był człowiekiem nieprzebranój ofiary.

Nie cel — ale środek, wykazał się być utopią. Z jedną potęgą nie porachował się był Doktor Karol — to jest z naturą ludzką. Mniemał z chorą ciągle mieć tylko do czynienia: a tę zwyciężać był przyzwyczajony. Ma ona jednak pewny swój kres — tak w materyalnej jak w idealnej sferze: w chorobie — jak w poświęceniu, na zmierzenie którego wyjątek czyli indywiduum za normę posłużyć nie może. W nieuwzględnieniu tego kresu natury ludzkiej — całe nieszczęście Doktora Karola. Ogół swoim mierzył on kompasem — przeciągał go bez względu na miłość własną — na konieczny do istoty jego przywiązany egoizm. Ogół wymiarowi sprostać nie mógł — niesłusznym go osądził. W końcu się

oburzył — i usuwać począł. W całym przeto następstwie, tego ofiarnego processu — nie było błędu, ani winy nieczyjój — była prosta i naturalna — ludzkich rzeczy i zamiarów — kolój.

Wymagania coraz większe — większy coraz wywoływały opór. Stan zdrowia Doktora Karola drażliwym i gwałtownym go czynił. Wkrótce, łberło, które w rękę dzierzył, absolutnym zaczą władać trybem — wkrótce téż wyraz despotyzm w poświęceniu uszy jego uderzył. Nie pojmował — jak może być despotyzm tam — gdzie według niego konieczna panowała potrzeba: jak może być poświęcenie tam — gdzie u niego przekonanie tak czynić wskazywało. Niepojmował a nieugiętej woli, postępowania swego nie odmienił. Spostrzegał jednak, że coraz więcej ubywało mu stronników — coraz mniej przybywało zasobów. Różne podnosiły się przeciwko niemu zdania. Występowały raz w oczy, śmiało — to znów po za oczy, pokątnie. Skutkiem stałości jego przekonania było, że go nakoniec o ambicyą obwiniać poczęto. Miałże się wyrzec Doktor Karol téj szlachetnej ambicyi — dla tego by niesłuszne usunąć podejrzenie? . . . Miałże zaniechać swego celu, w którym ratunek narodości polskiej upatrywał — dla tego, że przy do-

pięciu wypadło mu kielich goryczy wychylić? . . . Miałże zniżyć z widowni politycznego życia, gdzie był przykuty pożytku z własnej osoby przekonaniem — gdzie tylokrotne z trudności pokonanych wynikające nabył przeświadczenie, iż go nikt w téj chwili zastąpić nie potrafi — dla tego, aby dowieść, że dla kraju jedynie pracuje, a dla siebie niczego prócz wewnętrznego zaspokojenia nie pragnie? Miałże udaniem się w domową zaciszę zniweczyć wielkie swoje zdolności, które za własność ojczyzny uważał, . . . miałże cofnięciem się od sprawy krajowej pozbawiać ją korzyści, które w popularności jego obficie czerpała — dla tego, aby odepchnąć od siebie koronę? . . . Koronę — ludzkości ręką z dębowych uwitą liści, a którą narodowość gwałtem mu na skronie wciskała! . . . koronę — z której tak świetne dla kraju promieniły nadzieje! . . . koronę — w której zasługi, jedyne stanowiły klejnoty! . . . koronę — która w skromnych swych splotach nosiła przez całą Polskę dla niego przepolszczony napis: Obywatel Polski jestem i żadne poświęcenie za obce dla siebie nie uważam *)! . . .

*) Homo sum, humani nihil a me alienum esse puto.

Stanął Doktor Karol!.. Raz wtóry rzucił w około siebie okiem i — ujrzał się samym!.. Samym — w pośrodku przyjaciół, na których polegał. Samym — wśród dzieł rozpoczętych a w przekonaniu jego wielką rokujących przyszłość... Samym — w pośród kraju, któremu się poświęcił! — Sam był Doktor Karol z myślą w czyn na pół zmienioną — na drugą połowę wola jego sama — ale ta wola z ognia i ze stali — wystarczyć musiała. Stanął, — ale się nie zatrzymał. Szybko przestrzeń zmierzył — i poszedł. I szedł dalej krokami nad siły człowieka.

Tym czasem — pod niem nurtowała idea drogami — nie ludzką wskazanemi prawicą, w kształcie — objętym nie ludzkim rozumem: sposobami — nie ludzką dozwolonemi wolą. Poczut wkrótce Doktor Karol jakieś drgania konwulsyjne — jakby posłanniki trzęsienia ziemi, po której stępował. Zdało mu się — tu i owdzie spostrzegać pod nogami rysy coraz większe — głębsze — z których od czasu — do czasu — jakby przez szczeliny — ogień małym wymykał płomieniem. Słyszał poświsty, gwary — wróżbieste technienia, które ruchy w narodzie poprzedzają — i nieraz powtarzał: Któż tak śmiały?...

rzekonał się nareszcie o istocie rzeczy i nie przeląkł się.. ale zadrzał. Odkrył Wulkan wrzący bez jego wiedzy, w łonie tego samego żywiołu — którego mniemał, że swą myślą ogarnia. Zapytał się w słusznój dumie: Kto są ci — którzy bez niego do takiego przystępują dzieła?... Jakiem prawem ten sam ogień, który on jawnie dla narodowości w obec świata rozniecał — oni — gdzie indziej — do ciemnych i ukrytych swych kuźni przenosić się ośmielają?... Badawczém okiem przeniknął nowy ten przeciwko sobie zamach. Zobaczył — że te wszystkie zasoby, które on z tak ciężką nagromadził pracą... które dla dopięcia swego przeznaczył celu; — że te materyały, które on do zagrzania wszystkich ku ojczystej przygotował sprawie... z których kiedyś ogromny płomień miłości i ofiary zapalić sobie obiecywał..... inni już, w daleko i głęboko, we wnętrzu ziemi, szerzący się zamienili pożar!... Że dodając mu różnych, nie u tego samego źródła zebranych, lecz żarzących płynów, podziemny ten pożar wkrótce wybuchem zakończyć się musi — bo cienka już tylko warsztwa od spokojnej i niepalącej się oddzielała go powierzchni.

Jakoż niebawem — bo szybko czas bieży w atmosferze wulkanów — przyszli do Doktora

Karola ci — których on od dawna już śledził. Żądali — aby przeważną swą dłoń przyłożył do gotowego dzieła — które już ostatnią tylko iskrą podsyć trzeba było. Przeżytemu Mistrzowi — honor zostawić chcieli! . . . Wiedział Doktor Karol, że ruchu tego on już wstrzymać nie potrafi. Pierwszy raz zwątpił o swój sile — o woli. Widział zaś, bo się przekonał, że to — do dopięcia czego on swoją wolę najbardziej wytężył, . . . to — za pół-środkami dopiero uważaniem było! . . . Potępił ich głośno i udziału odmówił.

Doktor Karol był demokratą. Lud kształcić — podnosić i bronić, było jego zasadą. Inaczej używać go nie umiał. Poświęcenie nieograniczone szczególnie dla ogółu, pojmował — poświęcenie niepewnych ogółu w niedokładnie określonym celu w prostocie serca swego się obawiał. Lekarz — rany Ojczyzny leczyć postanowił: — na nowe ją wystawiać dla problematycznej szansy, nie byłby się odważył. Człowiek dobrej woli — środków do najwyższego nawet celu, żadnych innych przyjąć nie mógł, tylko te . . . które w swém przekonaniu za dobre osądził.

Nadszedł rok 46. Buchnął wulkan!

Stanął nad kraterem Doktor Karol — samotnik wielkiej myśli — olbrzymiego dzieła — bezmiernego poświęcenia. Patrzył łzawém okiem i ujrzał — co przeczuwał!... Widział: jak płynąca szeroko lawa zabierała w ognistym swym prądzie jego drogie... uroczne nadzieje! — jak nurzała we krwi szlachetne jego dzieła czynniki! — jak niszczyła bez żadnej dla nikogo korzyści, najmozolniejsze jego zabiegi i usiłowania! — Widział: jak wyrzucone gromy wrogom tylko broń w rękę ciskały! — jak tłukły Nielitościwie najniewinniejsze ofiary! — jak popychały braci na braci... jak gniotły w tém straszném spotkaniu to, co wiecznie w zgodzie i jedności stać obok siebie miało przeznaczenie!...

Odwrócił szlachetne swe oblicze od przerażającego obrazu... bolesnego widoku!... Odszedł — i usunął się w dali.

Raz wtóry także srogie przeznaczenie, kord polski wytrącało mu z ręki!... lecz teraz wola jego złamaną się czuła. Oglądnał się — czy znikąd nie przyjdzie pociecha? Nie przyszła! I skądże bo, pociecha dla niego przyjść miała?... kiedy jedynemu źródłu, skąd płynie, nigdy przystępu do swojej nie otworzył duszy!... Wielka ta skołatana dusza byłaby w niém teraz obficie

czerpała! Byłaby pojęła — że to nie dla człowieka — nie darmo — nie przez zwyczaj jaki — codziennie świat cały na kolanach powtarza: Fiat voluntas Tua! Bądź Twa wola Panie!

Nie przyszła więc pociecha! . . . Ale równie i rozpacz do duszy człowieka takiego jak Doktor Karol zawitać nie mogła. Gdy posuwał wzrokiem po za siebie — zdało mu się — że jego kochanka . . . kochanka całego życia — ludzkość — wierną mu pozostała: zdało mu się, że ku niemu wyciąga ramiona. Do niej się też obrócił cały! . . . Rzucił się w jęj objęcia z całym ogniem ostatniego zapału . . . z całą siłą ostatniej nadziei . . . całym pożądaniem ostatniej pociechy . . . z całą potrzebą szukania ostatecznego końca w nieukojonym i nieprzebranym żalu! . . . Poświęcił jęj w tym ostatnim uścisku — nie pieniądze — ani czas — ani trudy . . . ale poświęcił — życie! —

Piers Doktora Karola, która pokrywała serce, takiej rozkazujące woli, taką ciągłą niczém nieposkromioną palającą żądzą; — piers ta jakby rycerzy średniowiecznych kirys — ledwo nieraz uderzeń potężnych jego ruchów wytrzymać zdołała. Pękło serce przy złamaniu woli — piers uległa pod tym okrutnym ciosem. Kirys często

odtąd żalosnym odzywał się jękiem. Nie zważał na to Doktor Karol, z coraz większym siłą żywotnych wyczerpnięciem — chyłej dochodził do mety. Stanął też u niej niebawem.

Ośm nie minęło miesięcy — a już bliski skonu, na wsi — w samotności ostatnie dni pędził. Wkrótce powstać i z łóża już nie mógł. Prócz jednego przyjaciela, który go nigdy nie opuścił, przystępu do niego nikt nie miał. Sam żył — sam chciał umierać. Cierpiał wiele w ostatnich chwilach. Skończył żywot słowami: Jezus! Marya! Józef!

Był to nowy — wielki krzyk: Galilee wicisti!!!... wyrwany nie przez boleść i rozpacz — lecz zesłany w nagrodę za łzy otarte ... za cierpienia kojone ... które razem z błogosławieństwem ludzkość stała mu teraz, na drodze do wiecznego spoczynku.

Życzył sobie Doktor Karol być pochowanym w prostej drewnianej trumnie — bez żadnego napisu — bez żadnej ozdoby — na cmentarzu — w mieście gdzie się rodził. Stało mu się zadosyć. Zwłokom towarzyszyły ... lecz na cóż wyliczać się przyda? Pogrzeb Doktora Karola był takim — jaki sama ludzkość tylko wyprawić mo-

że — jaki wyprawia ulubieńcom swoim: ludziom sumienia bez skazy — poświęcenia bez granic.

Wymowny głos, te między innemi wyrzekł nad jego ciałem słowa:

„O gdybym mógł w tej chwili wydobyć
„z zimnego już serca twego Karolu, choć jedną
„iskrę tej prawdziwej i pełnej czynu miłości Oj-
„czyzny i bliźnich, gdybym mógł tym ogniem sło-
„wa moje zapalić i ciskać niemi w serca Wam,
„aby przepaliły i poroztrącały mury i wały sa-
„molubstwa i miłości własnej, które zabraniają
„wstępu szlachetnym uczuciom do serc świątyni!“

Grób zaś Doktora Karola: (pożyczamy tu pię-
knego — bo niezmysłonej tęsknoty noszącego ce-
chę — nieznanego nam autora opisu.)

„Sześcian potężny granitowy, z gruba tylko
„obrobiony gniecie te drogie zwłoki — napisu
„żadnego nie ma — trzy smutne i chorowite
„drzewka sterczą po rogach — czwarty róg pu-
„sty — kamień klęśnie już w ziemię — bo ciężki,
„a podmurowania na stoku forttecznym dawać
„podobno nie wolno — skromne i zdziczałe tylko
„nagiętki otaczają go złocistemi koronami. Ogro-
„dzenie z łań zwyczajnych oddziela to miejsce od
reszty cmentarza.“

Tak spoczął Doktor Karol — ale spoczął z nadzieją. Powiedzieliśmy bowiem, że rozpacz do serca jego zakolać nie mogła. Lecz nie sama tylko szlachetność i wzniosłość duszy była jej na przeszkodzie. Broniła go także od niej — nadzieja: nadzieja — nie dla siebie — lecz dla idei, w którą wierzył — którą w siebie wcielił. Czuł się wprawdzie zgruchotany Doktor Karol w rozwoju dla niej przeznaczonym — lecz ani chwili o zwycięstwie jej w przyszłości nie wątpił. Wiedząc, że postęp idei, oślar koniec nie wymaga — on — za szczebel mu posłużył.

Żył w tém samym mieście, co Doktor Karol, i w tym samym czasie, mąż . . . wielkiej także nauki — wzniosłego umysłu — mocnej woli — szlachetnych uczuć — licznych w narodowości zasług — ale w przeciwnym . . . choć zawsze w polskim, stojący obozie. Podobnie jak Doktor Karol, przewidział mąż ten r. 46. wypadki — lecz nie miał on nadziei żadnego w przyszłości tryumfu. Przeczucie upadku idei, której sztandar z nieskazitelną przechowywał godnością i powagą — przeczucie to sprawiło taki zamęt wewnątrz niego, że tych wypadków do-czekać się nie chciał — nie doczekał. Ach cze-

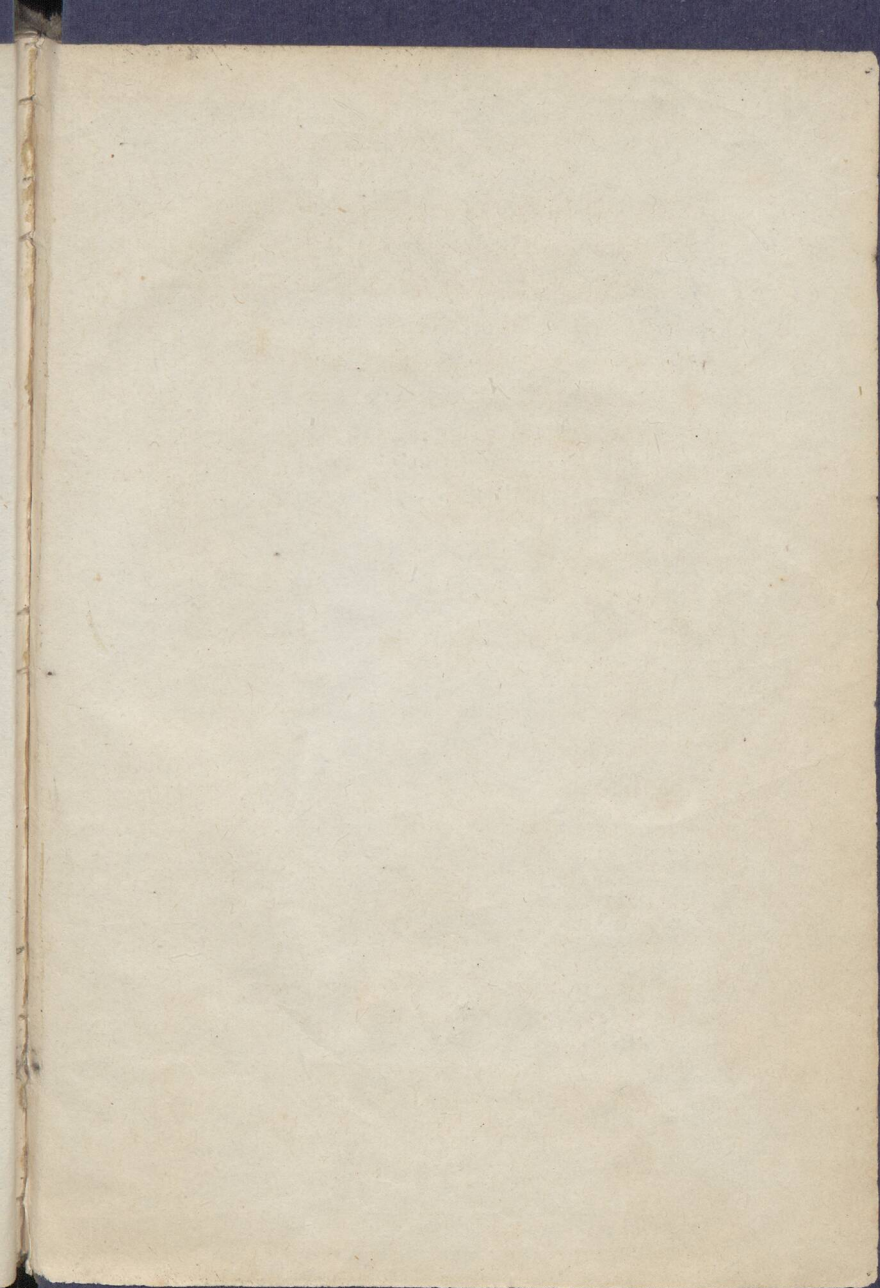
muż, niestety! doczekawszy się ich Doktor Karol przeżył długo nie potrafił!

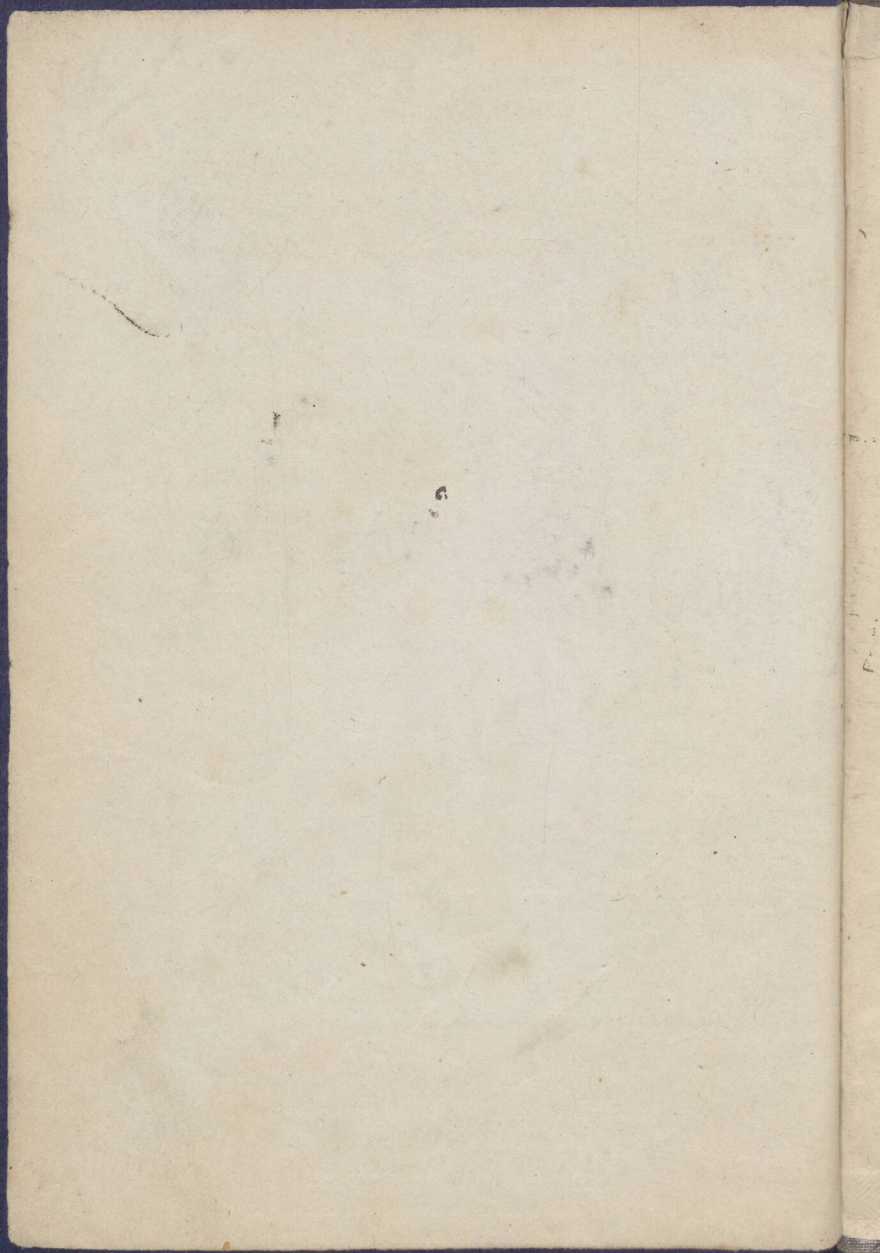
O zaiste, niestety! bo dziś — sprawa ludzkości zaczęta — księga poświęcenia na jaw do-
byta — rachunek z egoizmem otwarty — tam
tylko, gdzie ofiara — zasługa. Niestety! . . . bo
dziś — w ruchu, którego powyższy wywołał
rachunek, Doktor Karol byłby człowiekiem, za jakim
się ciągle napróżno oglądamy — człowiekiem na
jego skalę.

K O N I E C .



Czcionkami N. Kamińskiego i Spółki.





QZC 56041

Wypożycza się
tylko do czytelní